

# Podróż Polki do Persji





MARIA RATULD-RAKOWSKA

## *Podróż Polki do Persji*

### PRZEDMOWA

Maria Ratuldowa, z domu Rakowska, jest warszawianką. Ukończywszy tu III gimnazjum żeńskie z medalem, po odpowiednim przygotowaniu się dodatkowym wybrała się na dalsze studia do Paryża, gdzie wstąpiła na wydział przyrodniczy w Sorbonie. W krótkim bardzo czasie młoda studentka wyszła za mąż za kolegę z medycyny, Władysława Ratulda, nie wyrzekając się bynajmniej dalszej pracy dla nauki. Niestety, obowiązki żony i matki, boć cóż naturalniejszego być może niż macierzyństwo po zamążpójściu, często i na długo odrywały przyrodniczkę od studiów uniwersyteckich, w każdym razie mimo wszystko, mimo przerw i trudności, udało się przecież pani Marii skończyć przyrodę. Mąż tymczasem wcześniej załatwił się ze swoim doktoratem i rozpoczął samodzielną praktykę lekarską w Paryżu, pracując jednocześnie jako asystent w klinice okulistycznej doktora Gałęzowskiego, gdzie wyrabiał sobie po trochu opinię jednego z najzdolniejszych pomocników słynnego profesora. W ślad za tym i praktyka osobista wzrastała bardzo szybko. Sława jego jako specjalisty od chorób ocznych przeszła poza obręb dzielnicy, w której mieszkał, i ściągała mu pacjentów z całego miasta. Jakoż wkrótce wycofał się z praktyki ogólnej, od której każdy prawie młody lekarz w Paryżu zaczyna, i oddał się wyłącznie okulistyce.

W tym czasie szach perski, panujący jeszcze wówczas Nasr-Eddin, zwrócił się do profesora Gałęzowskiego z propozycją urządzenia mu w krainie Lwa i Słońca klinik i przygotowania z miejscowych lekarzy specjalistów do walki z trapiącymi okrutnie ludność tamtejszą chorobami oczu. Rzeczywiście szerzą się w całej Persji złośliwe, uparte zapalenia i inne dolegliwości oczne, z którymi miejscowi *hakimi* rady sobie dać nie umieją. Sam Nasr-Eddin zapadał był kiedyś bardzo poważnie na oczy i wtedy z Paryża sprowadził sobie do Teheranu doktora Gałęzowskiego. Po szczęśliwie dokonanej operacji król królów nie zapomniał o słynnym okuliście i jako dowód pamięci posyłał mu od czasu do czasu perskie znakomitości medyczne, ażeby pod kierunkiem słynnego lekarza europejskiego rozszerzyć nieco mogli ubogi zakres swego wschodniego wykształcenia zawodowego. Kiedy więc w r. 1894 perskie ministerium<sup>1</sup> oświaty postanowiło utworzyć w kraju coś w rodzaju szkoły okulistycznej i poszukiwano odpowiedniego kierownika, zwrócono się przede wszystkim do dawnego lekarza szacha. Organizacja całej instytucji i edukacja przyszłych sław lekarskich zrazu trwać miała dwa lub trzy lata. Dr Gałęzowski na stanowisko to polecił swego asystenta, doktora Ratulda, który też, nie wahając się długo, po przeprowadzeniu bezpośrednich rokowań z ministrem oświaty Melibere-Dowleh pożegnał paryskich pacjentów i wyruszył w podróż z żoną i sześciolletnią córeczką. Nadmienić tu jeszcze należy, co zresztą autorka szeroko opisuje w swej *Podróży*, że państwo Ratuldowie do tego kraju, zabitego deskami przesądów religijnych i innych od reszty świata cywilizowanego, jechali drogą nie najłatwiejszą, utartą po części przez Europejczyków, ale owszem, najbardziej mozolną i niebezpieczną. Drożynami, po których drepczą karawany mułów i wielbłądów, jak za czasów biblijnych, przedzierać się musieli przez góry Małej Azji, przez niedostępne skały Kurdystanu, podminowanego nadto w tej właśnie chwili fermentem nienawiści plemiennych. Echa rzezi armeńskich, odgłosy okrutnych mordów, łuny oddalonych pożarów towarzyszyły podróżnym naszym w przeprawach nad karkołomnymi urwiskami.

<sup>1</sup>ministerium (daw.) — ministerstwo. [przypis edytorski]

Kiedy po dwuletnim pobycie w Teheranie pani Ratuld-Rakowska powróciła do Paryża, przyjaciele namówili ją do spisania tych przygód i wrażeń bądź co bądź niepowszednich i oto powstał tom, tym ciekawszy może od innych opisów Wschodu, że autorka, jako kobieta, miała wstęp do zamkniętych zazdrośnie przed mężczyznami *enderumów* i odkryła wiele interesujących szczegółów z życia haremowego kobiet, tych nieszczęsnych ofiar ponurej azjatyckiej kultury.

Pani Maria Ratuld-Rakowska mieszka odtąd stale w Paryżu i pisuje do pism polskich korespondencje oraz artykuły z dziedziny literatury i sztuki.

T. Jaroszyński

## I

### *Z Paryża do Konstantynopola. — Przeprawa przez Czarne Morze. — Trebizonda.*

Nie radzę ludziom miłującym spokój i choćby względne wygody udawać się do Persji przez Małą Azję. Niech raczej podążą w prostej linii z Londynu, Paryża, Wiednia czy Warszawy do Petrowska<sup>2</sup>, portu przy Morzu Kaspijskim. Stamtąd przeprawią się w dwie doby do Enzeli<sup>3</sup>, portu perskiego przy tymże morzu, a dalej przez Reszt<sup>4</sup>, główne miasto prowincji Gilanu, dostaną się w sześć lub siedem dni co najwyżej do stolicy „króla królów” pocztową, choć niestety nie powozową drogą, prowadzącą na Shah-Roud, Pa-Chinar, Kharzan, Azim-Abbad i Kasbin. Mogą również podróżować morzem z Marsylii do Konstantynopola<sup>5</sup>, a stamtąd przez Batum i Baku dotrą znowu do Enzeli.

Droga przez Małą Azję jest długa, mozolna i obfituje w niezwykle, a nie zawsze przyjemne wrażenia. Ktokolwiek wybiera się w nią z większym bagażem i nie może jechać konno, zmieniając wierzchowca na każdym pocztowym etapie, skazany będzie na siedmiotygodniową co najmniej pielgrzymkę, by z Trebizondy<sup>6</sup> przedostać się do Teheranu.

Druga droga prowadzi przez góry Antytaurusu, Erzerum<sup>7</sup>, Armenię turecką i część perskiego Kurdystanu, wreszcie przez prowincję Azerbejdżanu, której szach obecny, Muzaffer-Eddin<sup>8</sup>, był gubernatorem jako następcą tronu.

Tę właśnie drogę wybraliśmy z różnych powodów, o których rozwodzić się nie będę. Żaden Europejczyk nie narażał się na te tortury już od lat dziesiątków. Jest ona nie tylko uciążliwa, lecz i niebezpieczna.

W chwili gdy wyruszamy z Erzerumu, wybucha rzeź armeńska<sup>9</sup>; dochodzą nas wciąż wieści o palonych wsiach, kościołach, o mordach i pożogach. Smutne spędzamy dnie i godziny obcy, sami, bezsilni, w otoczeniu dzicy.

Lecz złe chwile minęły. Nikt nas nie skrzywdził, nikt nie zrabował, żadna rozbójnica szajka Kurdów nie zaczęła się w górskich szczelinach, grożąc naszemu życiu i mieniu. Pozostało tylko dzisiaj dalekie wspomnienie poezji, krajobrazów i wdzięku wspaniałej natury, nietkniętej jeszcze przez cywilizację, niwelującą wszystko na jednostajną modłę. Pozostało też wrażenie niezgnębionej ciemnoty, jak noce czarne, ciemnoty, których

<sup>2</sup>*Petrowsk* — ob. Machaczkała, miasto nad Morzem Kaspijskim, stolica Dagestanu, autonomicznej republiki, wchodzącej w skład Federacji Rosyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Enzeli* — dziś popr.: Bandar-e Anzali, miasto w pln. Iranie, nad M. Kaspijskim. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Reszt* — dziś popr.: Raszt, miasto w pln. Iranie, w pobliżu ujścia rzeki Safidrud do M. Kaspijskiego. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Konstantynopol* — dziś: Stambuł; w XIX w. stolica Imperium Osmańskiego. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Trebizonda* — Trapezunt (hist.), ob. Trabzon; miasto w pln.-wsch. Turcji, nad M. Czarnym; historyczna stolica Pontu; założone w VIII w. p.n.e. przez osadników greckich. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Erzerum* — dziś popr.: Erzurum. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Muzaffer-Eddin*, właśc. *Mozaffar ad-Din Szah Kadżar* (1853–1907) — władca Persji (od 1896) z dynastii Kadżarów. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*rzeź armeńska* (1894–1897) — masakry Ormian w Imperium Osmańskim, w których zginęło ok. 100–300 tys. osób; zwane masakrami hamidijskimi, od imienia sultana Abdülhamida II, który przyczynił się do prześladowań, po klęsce w wojnie rosyjsko-tureckiej i utracie posiadłości na Bałkanach uważając Ormian, jako chrześcijan, za zagrożenie dla jego islamskiego państwa; w masakrach brała udział miejscowa ludność muzułmańska, żołnierze armii osmańskiej oraz *hamidije*, uzbrojone grupy złożone głównie z Kurdów, mające półoficjalny status i wolną rękę ze strony państwa w atakowaniu i grabieniu Ormian. [przypis edytorski]

brzask żaden nie rozświeca i litość niezmierna dla bezgranicznej nędzy pariasów<sup>10</sup> osiadłych w tych górskich zakątkach.

Z całą polską nieopatrnością wybraliśmy się na tę wędrówkę do prawdziwie nowego dla nas świata jak na kurację do wód lub letnią wilegiaturę<sup>11</sup>. Wieziemy mnóstwo rzeczy niepotrzebnych, brak nam za to niezbędnych; nie mamy najsłabszego pojęcia o bliskich trudach i przykrościach; widzimy tylko malowniczą stronę podróży, nie troszcząc się za to o praktyczną.

Opuszczamy Paryż 10 października 1894 roku.

Przejeżdżamy Europę w nastroju różowym, pilno nam zobaczyć Konstantynopol. Lecz już na pograniczu tureckim mamy pierwszy, wprawdzie słaby, lecz wiele mówiący przedsmak tego, co czekać nas może w Małej Azji.

W Galicji<sup>12</sup> zjawiała się jakoby cholera, dzięki czemu w Mustafie-Paszy<sup>13</sup>, granicznej stacji tureckiej, odbywać trzeba 24-godzinną kwarantannę, by pozbyć się nieistniejących zarazków choroby.

Urzędnicy celni każą nam otwierać kufry, na zawartość których spada obfity deszcz karbolu<sup>14</sup>, po czym zapisują imię, nazwisko, wiek, zajęcie i miejsce zamieszkania każdego podróżnika, jakby te wszystkie rzeczy pozostawały w istotnym związku z cholerą.

Stacja jest mała, brudna i ciasna; karbol przesycił powietrze ostrą wonią. Toteż opuszczamy ją z uczuciem ulgi, jakkolwiek każą nam peregrynować<sup>15</sup> w noc ciemną przez rowy i grudy do jakiejś kazamaty<sup>16</sup>, jednej z licznych szeregu.

Więzienna ta budowla składa się z czterech pokojów problematycznej czystości, zaopatrzonych w żelazne łóżka, stoły i krzesła; pościel na łóżkach, szczerze szara, upstrzona jest czarnymi plamkami. Doktor kwarantanny zapewnił nas jednak następnego poranka, że co dzień ją zmieniają. Nie wiem więc, jakiej przyczynie zawdzięcza swój niezachęcający wygląd.

Jest nas osób dziewięć i oprócz dwóch okazów najwyraźniej wschodniego pochodzenia nikt nie ma odwagi wyciągnąć się na tych łóżach.

Spożywamy kolację złożoną z chleba, jajek na twardo i wódki anyżowej, zwanej *mastic*, których to specjalów dostarcza bajecznie obdarty Turek.

Co dalej robić?...

Zaczynamy spacerować naokół kazamaty, przeklinając los i cholere.

Późną już nocą, zmóżeni sennością i przemarznięci, decydujemy się wrócić do pokoju, gdzie przedrzemaliśmy resztę nocy na krzesłach. Wstajemy ze świtem połamani i zmordowani, aby znów rozpocząć kręcenie się w kółko po poroślej rzadką trawą łączce.

Mustafa-Pasza wygląda na koloniję poprawczą z rzędami jednostajnych, smutnych budowli. Nie ma jednej kępy zarośli, jednego drzewa, nic, co by rozweselało rozpaczliwą nudę pejzażu.

Wieczorem dopiero, wyzwoleni z niewoli, wsiadamy do pociągu. Z rana staniemy w Konstantynopolu.

Dojeżdżając do miasta wzdłuż morza Marmara, mamy z obu stron przed sobą widok przepiękny. Linia kolei biegnie o kilkadziesiąt zaledwie metrów od wybrzeża, w potokach słońca i jasności. Fala skrzy się i mieni srebrzystą łuską. Sieci i łodzie rybaków spoczywają leniwie na złotym piasku. Z drugiej strony ciągną się nieprzerwane szeregi ogrodów: figowce i cytryny, pomarańcze i granaty mieszają swe gałęzie i cisną się bezładnie, chroniąc

<sup>10</sup>*parias* — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*wilegiatura* (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Galicja* — tu: Galacja, starożytna kraina w centralnej Azji Mniejszej (okolice dzisiejszej Ankary), od wschodu sąsiadująca z Pontem; nazwana tak przez Rzymian od nazwy celtyckich Galatów. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*Mustafa-Pasza* — ob. Swilengrad, miasto w pld. Bułgarii, węzeł drogowy i kolejowy przy granicy z Turcją i Grecją; dawną nazwę (do 1912) nosiło na cześć tureckiego dostojnika Çobana Mustafy paszy, który w XVI w. zbudował tu most na rzece Marice, łączący dwie części miasta. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*karbol* — wodny roztwór fenolu; środek odkażający o silnym, nieprzyjemnym zapachu, dawniej szeroko używany w leczeniu do dezynfekcji pomieszczeń i przedmiotów. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*peregrynować* (daw.) — podróżować; wędrować przez dłuższy czas. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*kazamata* — pomieszczenie pod fortyfikacjami, ze sklepieniem z cegły lub betonu, chroniącym przed ogniem artyleryjskim, wykorzystywane dawniej także jako więzienie; pot.: więzienie (także w formie lm: *kazamaty*). [przypis edytorski]

w swej zieleni domy o charakterze już czysto wschodnim. Mam tu oczywiście na myśli tylko wschód turecki, gdyż zarówno architektura poszczególnych budowli, jak i ogólna fizjonomia<sup>17</sup> miast wręcz odrębna będzie w Persji.

Przez muszarabi<sup>18</sup> balkonów migają jasne kobiece postacie. Kilka meczetów o minaretach na wpół zwalonych i liczne ruiny domów świadczą o niedawnym trzęsieniu ziemi<sup>19</sup>, którego ślady spotykamy też na każdym kroku w Konstantynopolu. Wszystko kąpie się w bezmiarach światła i blasków. Zaczynam pojmować zamięłowanie ludzi Wschodu do barw jasnych i zdecydowanych. Wszystkie zieloności, szkarłaty i fiolety, które kwitną w ich kostiumach, są w harmonii z niebem, powietrzem i słońcem. Żałoba kolorów ciemnych dziwnie by odbijała od wiecznego wesela natury.

Nie chcę nic mówić o Konstantynopolu. Każdy opis próbujący oddać niezrównane piękno jedynej w świecie panoramy, roztaczającej się z obu stron Bosforu, musi być błady i nieudolny.

Białe pałace sułtana kąpią się w morzu, podobne do zakłętej królowej; nieskończonymi tarasami piętrzy się amfiteatr domów, gmachów, świątyń, wytryskujący w niebo wieżyczkami minaretów; ogrody pną się po zboczach i kładą smugi zieleni na białe grupy domów.

Przez dwa dni spędzone w mieście przebywamy je dorożką we wszystkich kierunkach. Sto razy zatrzymują nas na moście dzielącym jedną część Konstantynopola od drugiej, każąc za każdą razą płacić za przejazd.

Zwiedzamy kilka meczetów, podziwiamy surową i suchą wspaniałość Świętej Zofii<sup>20</sup>. By stopy niewiernych nie kałały świętego przybytku, nadziewamy w przedsionku jakieś trepki, płacimy za tę przyjemność dwa franki od osoby i wchodzimy wreszcie do świątyni. W ogóle straszne zdzierstwo kwitnie w hotelu, w sklepach, wszędzie, gdzie poznają nieświadomego obyczajów miejscowych podróżnika. Rzecz to jednak zwykła; wszędzie i zawsze nakładają haracz na cudzoziemca.

Ludzie Wschodu pobierają go przynajmniej z wielkim wdziękiem i kraszą bezczelny wyzysk tak kwiecistymi frazesami<sup>21</sup>, że i żalu do nich żywić niepodobna.

Przedsmak Teheranu dają nam okropne psie koncerty, wskutek których nocą oczu zmrużyć nie mogę. Z czasem przyjdzie przyzwyczajenie; obecnie przygnębiające robi wrażenie wycie tysięcznych głosów i sam widok tych nędznych, wyrudziałych włóczędzów, gromadami zalegających chodniki.

Z Konstantynopola czeka nas przeprawa morzem do Trebizondy; dalszą podróż wyobrażamy sobie w najfantastyczniejszych barwach. Wiemy, że pojedziemy przez Erzerum i Bajazyd<sup>22</sup>, że widzieć będziemy Ararat, że gdzieś przerżniemy Araks i Eufrates, lecz o sposobach przebycia tej drogi staramy się nie myśleć. Jakoś się wszystko urządzi... Nie bylibyśmy Polakami, gdybyśmy rządili się inną filozofią.

Statek „Odyssos” w trzy dni dostawi nas do Trebizondy. Z wolna przesuwamy się przez Bosfor ku brzegom Małej Azji, wzdłuż których wciąż płynąć będziemy.

Ostatnim spojrzeniem obejmuję urocze miasto; długo jeszcze widzę biały pałac schodzący w morze marmurowymi schodami. Fala jest ciemna, lecz kryształowo przezroczysta; w powietrzu leży spokój i cisza; najmniejszy podmuch wiatru nie mąci wód powierzchni.

Wybrzeża Małej Azji niczym nie pociągają wzroku: nagie są i skaliste, wieje od nich grobowa martwota.

Miasto

Pies

Polak

<sup>17</sup>fizjonomia — twarz, wyraz twarzy; tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>muszarabi — rzeźba ażurowa drzwi i balkonów, pozwalająca widzieć z wewnątrz, nie będąc widzianym. [przypis autorski]

<sup>19</sup>świadczą o niedawnym trzęsieniu ziemi — silne trzęsienie ziemi, jakie dotknęło wybrzeża morza Marmara 10 lipca 1894; zginęło w nim ponad 1300 osób. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Święta Zofia — mowa o bazylice Hagia Sophia, tj. świątyni Mądrości Bożej, zbudowanej w VI w. n.e., a w 1453 przekształconej na meczet. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>frazes (daw.) — zdanie, zwrot; dziś: stwierdzenie bez głębszej treści, slogan. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Bajazyd — miasto we wschodniej Turcji, 15 km na pld. zach. od góry Ararat, 35 km od granicy z Iranem; całkowicie zniszczone w 1930, odbudowane jako Doğubayazıt (tur.: wschodnie Bajazyd). [przypis edytorski]

Przystajemy po raz pierwszy przy małej mieścinie Ineboli; w parę godzin później widzimy z dala Sinope<sup>23</sup>, starożytną kolonię grecką. Niebo wciąż czyste i morze bez ruchu; mnóstwo ryb latających miga w powietrzu.

Zatrzymujemy się po raz drugi przy Samsunie, miejscowości słynnej na cały świat ze swych tytoniów. Naokół statku pływa tysiące meduz, mieniących się tonami opalu; zdaje się, że z szalupy ręką dosięgnąć je można.

Przy akompaniamencie dzikich krzyków, towarzyszących na Wschodzie najłżejszej pracy, oblegają nas łódki i łódeczki, na pokład wdziera się mnóstwo obszarpańców, szwargocząc i ciągnąc za ubranie, by skłonić do wylądowania i zaopatrzenia się w ten znakomity tytoń.

Mieścina niewielka jest, lecz malowniczo u stóp gór rozpostarta. Nędzny bazar, sklecony z desek i gliny! Skacze się z kamienia na kamień przez kałuże błota, które przez dziwny a nie wytłumaczony dla mnie fenomen zalegają ulice miast Wschodu w najznajniejsze dni lata....

Osy i muły, silne i rosłe, lecz nad miarę objuczone, z wolna kroczą ku karawanse-rajowi<sup>24</sup>, gdzie czeka je wypoczynek. Poganiacze kołają je z tyłu zaostrzonym kijem, kiedy zwierzęta ustają w drodze.

Morze zaczyna się z lekka marszczyć i po powrocie na statek doznajemy smutnych skutków tego rozigrania się fal. Zamykam się w kajucie i cierpię męki...

Z opowiadania już tylko wiem, że wciąż jedziemy wzdłuż brzegów, coraz więcej<sup>25</sup> górzystych Małej Azji. Na horyzoncie widnieją prawdziwe szczyty! Jeszcze jeden przystanek przy Kiresun<sup>26</sup>; morze zupełnie już rozkołysane, wśród burzy, ryku wichrów i wycia fal docieramy do Trebizondy.

Statek zatrzymuje się o tysiąc przynajmniej metrów od portu, do którego dostęp w najpiękniejszą nawet pogodę jest trudny, a w złą niemożliwy<sup>27</sup>.

Trebizonda pnie się po urwistym wybrzeżu; a za tło służą jej góry, lasem porośłe.

Potężne skały, jakby ręką olbrzymów wyciosane, wrzynają się głęboko w morze, wiecznie rozgniewane, wirujące, toczące kłęby piany, które rozbijają się z szalonym impetem o twarde granit wybrzeża.

Dziką muzykę rozszalałej fali wciąż i wszędzie tu słychać; budzi ona ze snu i do snu kołysze.

Na okręt znów wdzierają się gromady przewoźników; nie wiem, jak mnie przenoszą do łódki, tańczącej po bałwanach, kładącej się bokiem to na jedną, to na drugą stronę. Cierpię nieopisane katusze.

Na lądzie oglądają paszporty i rewidują podręczne pakunki. Kufry i paki czeka inspekcja drobiazgową do śmieszności, która odbędzie się później. Tymczasem idziemy do hotelu.

Nie zdążyłam jeszcze zamknąć ostatniej walizki, a już rzuca się na nas gromada obdartaśców, wydobywając z gardła ogłuszające wrzaski. Zbierają szybko bagaże, jeden wydziera mi z rąk parasol, drugi pled, trzeci chwytając laskę męża i tak piętnastu przynajmniej dźwiga paczki, na które by w Europie czterech wystarczyło. Prawda, że zadowolają się zapłatą minimalną.

Gestykułując zawzięcie, wymachując zamasyżycie walizkami, pędzą przed nami po stromych i krętych uliczkach miasta, poprzedzam przez dragomana (tłumacz) konsulatu perskiego, który oczekiwał na nas w porcie. Prowadzą nas do niepozornej oberży, tytułującej się szumnie „Hotel d’Italie”. W drugim, przyzwoitszym nieco zajezdzie, nie ma podobno miejsca.

Brak już tu elementarnych wygód życiowych. Sumaryczne umeblowanie pokoju składa się z dwóch pierwotnych<sup>28</sup> tapczanów i kulawego stolika, na którym stoi cynowa mi-

<sup>23</sup> Sinope — dziś popr.: Synopa, miasto w płn. Turcji, nad M. Czarnym; założone w VII w. p.n.e. przez greckich osadników. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> karawanse-raj — zajazd dla podróżnych, z pomieszczeniami do odpoczynku i magazynem do przechowania towarów, budowany w krajach arabskich, Persji i Azji Środkowej. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> więcej górzystych — dziś popr.: bardziej górzystych. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> Kiresun — dziś popr.: Giresun. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> niemożliwy (daw.) — niemożliwy. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> pierwotny — tu: prymitywny. [przypis edytorski]

seczka z maleńkim dzbankiem — ludzie Wschodu stanowczo obawiają się wody. Zielone lusterko, zawieszona na ścianie, potwornie twarz wykrzywia.

Ku nieopisanemu jednak zdziwieniu, pościel jest świeża i czysta. Drzwi się nie zamykają — używalność klamek i zamków wykluczono.

Wszystkie izby — nie mogą tych pomieszczeń nazwać pokojami — wychodzą na obszerną sien, zaopatrzoną w wielki stół środkowy i kilka krzeseł. Tam przyjmujemy gości, tam też spożywamy obiady.

Najpiękniejszy „lokal” w hotelu zajmuje gruby i potężny wojak armii tureckiej, siedzący całymi dniami w łóżku z podwiniętymi pod siebie nogami. Łóżko zasypane jest granatami i słodkimi cytrynami; major zapija herbatę z cynamonem, kurzy nargile<sup>29</sup> i wymyśla tubalnym głosem wszystkim Mustafom, Metim i Alim, stanowiącym w zażędzie parodię służby. Dla nas zdaje się być życzliwie usposobiony i ledwieśmy zdążyli nieco się ułożyć — zaprasza nas na swą ocynamonioną herbatę, gęstą i słodką jak syrop.

Przysmak to ogólnie rozpowszechniony w Turcji.

Major niewiele mówi, nie władając żadnym ze znanych nam języków; przymusowe milczenie wynagradza więc uśmiechami i porozumiewającym kiwaniem głową. Co parę godzin odczuwa potrzebę przysyłania nam przez służącego kilku granatów i wielkich cytryn, mdłych i włóknistych, które mi zupełnie nie przypadają do smaku. Bardzo żywo interesują go nasze dalsze losy; ze swego pokoju przyjmuje czynny udział w obradach, toczących się w środkowej izbie, a z których — nie potrzebuję dodawać — my jedni nic prawie nie rozumiemy.

\*

Trebizonda w niczym już nie przypomina dawnych epok historii, a pamięta przecież ona zamierzchną dziejową przeszłość; pozostała wszelako ważnym punktem handlowo-zamiennym.

Stąd przez Erzerum, Bajazyd i Tebrys<sup>30</sup> dążą karawany do Teheranu i całej Persji. Tu docierają produkty eksportacyjne Środkowej Azji, aby przez Konstantynopol i Marsylię wędrować dalej po Europie.

Toteż na ulicach panuje ruch, zgiełk, zamieszanie.

Nadciągają wciąż nowe karawany, wciąż na bok usuwać się trzeba przed Tatarami pędzącymi obładowane muły, konie i osły. Wielbłądów tylko niewiele widzę.

W porcie snuje się tłum różnojęzyczny i różnobarwny.

Są tu Kurdowie w jedwabnych żółto-wiśniowych zawojach, Arabowie w białych burnusach, Turcy w czerwonych fezach, Tatarzy w tulupach<sup>31</sup> futrem na wierzch wywróconych i w płaskich baranich czapkach, Persowie w długich płaszczach o rękawach szerokich. Płaszcz te, rozwiewając się, ukazują atlasowe żupany<sup>32</sup>, zielone, fioletowe lub karmazynowe. Na głowie mają wysoką *kholę*, czarną barankową czapkę, zwężającą się ku górze.

Drugiego zaraz dnia pobytu w Trebizondzie wybieramy się do bazaru, by zaopatrzyć się na drogę w cukier, herbatę, kawę i wszelakie konserwy.

Bazar jest ciasny i brzydki, na szczęście kryty całkowicie dachem, dzięki czemu unikamy przemoknięcia, mimo spadającej z gwałtownością ulewy.

Jak we wszystkich miastach Wschodu bazar składa się z kilku wyraźnie odgraniczonych części. W jednej mieszczą się dywany, w drugiej wyroby miedziane, inną zajmują jubilerzy.

W tej ulicy gromadzą się krawcy, w tamtej szewcy, dalej jeszcze handlarze produktów spożywczych.

Handel

<sup>29</sup>nargile — fajka wodna; rodzaj fajki, w której dym przechodzi przez napełnione wodą naczynie. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Tebrys — dziś. popr.: Tebriz, miasto w płn.-zach. Iranie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>tulup — długi kozuch z rękawami. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>żupan — okrycie noszone przez szlachciców, zapinane na guziki, sięgające do kolan, z wąskimi rękawami i kołnierzem w formie stójki. [przypis edytorski]

Kupcy nie zadają sobie najmniejszego trudu, by przyciągnąć publiczność. Podwinąwszy nogi, siedzą obojętnie, paląc nargile lub kalian<sup>33</sup>, albo zapijają herbatę z małych szklaneczek.

Szczególna i miła nad wyraz niespodzianka spotyka nas w tej wędrownicy. Wszedłszy do jakiegoś sklepika, zamieniamy ze sobą parę słów po polsku.

Czerwonofezy<sup>34</sup> jegomość, który nam usługiwał, zrywa się nagle i pędzi gdzieś szybko. Po chwili wraca, prowadząc ze sobą podeszłego staruszka, lat może siedemdziesięciu, który od progu już woła drżącym głosem:

— Państwo Polacy, rodacy? A skąd tu?

I zasypuje nas starowina prędkimi, gorączkowymi pytaniami; nie czekając odpowiedzi, sam mówi:

— Ja już, proszę państwa, z górą lat czterdzieści kołaczę się na obczyźnie. Państwo do Teheranu? A cóż, niegorzej wam tam będzie; to niezły naród ci Persowie... Ja w Teheranie dziesięć lat przebyłem... A teraz już lat dwadzieścia kilka będzie, jak mieszkam w Trebizondzie. To mój syn, tu urodzony, Turek prawie, po polsku ledwie coś niecoś rozumie... matka tutejsza...

Nieprzerwanym potokiem płyną słowa. Stary Tomczyk ofiarował się nam z pomocą we wszystkim, do czego może być użyteczny. Drepcze z nami, postukując kijem. Idziemy razem po zakupy, potem do hotelu.

Przez cztery dni nie opuszcza nas prawie rozpromieniony, szczęśliwy, rozpytujać o kraj, grzebiąc we wspomnieniach smutnych i dalekich.

\*

Pobyt w Trebizondzie uchyla rąbek zasłony, rozciągniętej jeszcze dla nas nad życiem i obyczajami Wschodu perskiego. Idziemy z wizytą do konsula i do paru bogatych kupców. Mogą nam oni być pomocni w wyszukaniu przewodników i ekwipażu<sup>35</sup>, który by nas dostawił do Bajazydu. Stamtąd podobno łatwo przedostać się do Teheranu, tak nas przynajmniej zapewniają Persowie. Doświadczenie, niestety, mówi inaczej.

Przyjmują nas wszędzie z wyszukaną grzecznością. Turcy, o ile ich mogłam poznać, są prości i rubaszni, lecz nadzwyczaj gościnni, serdeczni i oddani. Persowie natomiast odznaczają się elegancją obejścia, wytwornością mowy i wielkim wdziękiem połączonym z wielką powagą. Lubują się w kwiatkach wymowy i dają się jej unosić. Obietnice nic ich nie kosztują i nic dla nich nie znaczy, gdy mówią: dom ich, majątek, żona do gościa należy. „*Male szuma*”, dosłownie „dla ciebie”, z ust im nie schodzi. Wszystko, co Pers posiada, jest *male szuma*. Gdy przychodzi do wywiązania się z najprostszych przyrzeczeń, wszystko w puch się rozwiewa. Trzeba więc traktować ich zapewnienia jako piękne frazesy i niczego się od nich nie spodziewając, radzić sobie samemu.

Nam na przykład konsul i kupcy przyrzekają najsolenniejszym zajmą się wyszukaniem jakiegoś sposobu lokomocji i ułatwieniem dalszej podróży, lecz nic absolutnie w tym kierunku nie poczynają. Moglibyśmy tygodniami wyczekiwać szczęśliwego trafu, który pozwoli nam opuścić Trebizondę, gdyby nie wyratowała nas energiczna interwencja majora tureckiego. Ale o tym dalej.

Zaledwie powracamy z wizyt, już nas rewizytują. Persowie zjawiają się w otoczeniu szeregu służących, z których jedni idą przed panem, torując mu drogę przez tłum, drudzy posuwają się z tyłu. Służba zatrzymuje się u progu; goście wchodzą, zdejmując obuwie, a zachowując czapki. Mahometanie, Turcy czy Persi, o ile tylko strzegą dawnych tradycji, rozstają się z obuwiem, wchodząc do mieszkania. Co prawda najbiedniejsze domostwo w Persji — nie wiem jak w Turcji — wysłane jest jeśli nie dywanami, to choć matami. Te zaś najzupelniej są niezbędne, zważywszy, że drewniana posadzka stanowi dotąd zbytek bogaczy i legacji<sup>36</sup> państw europejskich. Ogólnie służy za podłogę bita ziemia. Biedacy

Gość

Obyczaje

<sup>33</sup>kalian — perska fajka wodna. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>fez — nakrycie głowy noszone przez mężczyzn w krajach muzułmańskich: czerwona filcowa czapka o kształcie walca, ozdobiona czarnym frędzlem. Fez jest kojarzony jest głównie z Imperium Osmańskim, gdzie został wprowadzony urzędowo w pierwszej połowie XIX w. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>ekwipaż (z fr.; przest.) — ogół rzeczy potrzebnych do wygodnej podróży, w szczególności zaprzęg, pojazd, wyposażenie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>legacja (daw.) — poselstwo, misja poselska; tu: placówka dyplomatyczna. [przypis edytorski]



kładą na niej matę; ludzie średniej nawet zamożności przykrywają matę dywanem, po którym nie jest ostatecznie zbyt przykro stąpać bez obuwia.

Pod *kholą* wygalają Persowie całkowicie głowę, pozwalając włosom rosnąć tylko z boków i z tyłu. O ile wydają mi się piękni w czapkach, o tyle brzydzy są bez nich: naga czaszka świeci arcynieestetycznie. Zarówno mężczyźni, jak kobiety farbują ogólnie włosy za pomocą *henne*<sup>37</sup> na czarnorudy kolor. Uprawiają to farbowanie ze zdwojonym zapalem, dobiegłszy wieku, w którym zjawiają się pierwsze srebrne nitki. Toteż nie spotyka się tu wcale ludzi siwych; przez dwa lata pobytu w Persji widziałam zaledwie paru białowłosych starców, nie uciekających się do żadnych „kolorujących” środków. Opinia publiczna uważała ich za *niebezpiecznych nowatorów*. Paznokcie zabarwiają również Persowie brązowożółtym płynem.

Gdzie tylko się ruszymy i kogokolwiek u siebie przyjmujemy, zjawia się natychmiast na stole sakramentalna herbata w lilipucich szklankach. W ciągu dnia wypróżnić trzeba tych naparstków całe wiadra. W przerwach nasi goście palą kaliany, które słudzy przynoszą za nimi i trzymają wciąż w pogotowiu. Jeden z kupców ciągnie kalian przez kwadrans i nie obtarłszy go nawet, proponuje mi z wielką uprzejmością, bym go paliła w dalszym ciągu.

Konsul zaprasza nas na obiad, z którego powracam przygnębiona i przerażona. W ogóle dość obojętna jestem na subtelności gastronomiczne, nie mogę się jednak pogodzić z myślą, że skazana będę stale przez całe dwa lata na spożywanie tego rodzaju przypraw. Dań jest co najmniej piętnaście. Siekana lub drobno pokrajana baranina pływa w ostrych sosach, od których do łez się krztuszę. Też same piekielne ingrediencje<sup>38</sup> zaprawiają sos, z którym podają kurę. Dalej idą pomidory nadziewane ryżem, pomidory nadziewane mięsem, pomidory niczym nienadziewane, a oblane śmietaną. Pigwy nadziewane mięsem, pigwy nadziewane ryżem i jeszcze pigwy krajane podłużnie i smażone w tłuszczu. Zapomniałam o ryżu zawiniętym w winne liście. Jest również ryż z palącym sosem, ryż z jakąś siekaninką, ryż z kebabem... ryż piękny, biały, sypki, lecz wciąż ryż, którego niebotyczne stopy widziałam już w bazarze, gdzie uliczni kucharze warzą go dla przekupniów i robotników.

Do stołu podają chleb, podobny z zewnętrznego wyglądu do żydowskiej macy, lecz tak miękkki, że go można zwijać, składać do woli. Chleb ten, póki świeży, smakuje bardzo. Persowie pomagają sobie nim do nabierania ryżu, sosu, mięsa i zupy. Prócz bowiem niektórych dygnitarzy, zarażonych obyczajami Zachodu, pogardzają widelcem, łyżką i nożem. Chleb i palce za wszystkie przyrządy im starczą.

Nasz konsul trzyma się widocznie ściśle przepisów Koranu: na stole nie ma wina. Są za to sorbety<sup>39</sup> i w kryształowych karafkach cukrzona woda do picia. Po skończonym obiedzie służący obchodzi gości z misą stalową misternie inkrustowaną złotem i z dzbanka takiegoż wyrobu leje im na ręce różaną wodę.

Z długich wizyt Persów i z kwiecistych ich frazesów nic dla nas dobrego nie wynika. Sprawa naszego wyjazdu o krok się nie posuwa. Na szczęście major rozsyła na wszystkie strony hotelowych służących, by przewiadywali się o karawany, do których moglibyśmy się dołączyć. Odkrywa w taki sposób jakiegoś Czerkiesia<sup>40</sup>, który ma eskortować do Bajazydu jadącą z Konstantynopola żonę swego pułkownika, podróżującą z pół tuzinem dzieci, a drugim pół tuzinem służebnych. Czerkies najął trzy furgony, kolosalne bryki z okresu krzemiańca lupanego, w których można by z łatwością zmieścić arkę Noego i wszystkich jej mieszkańców. Pułkownikowa z dziećmi, służbą, poduszkami, kołdrami, materacami i bagażami zajmuje całkowicie dwa wehikuly. W trzecim ma zaledwie cztery kufry, zmieścimy się tam doskonale z naszymi manatkami.

Wspaniały ten pojazd ma nas w dni 20 dowieść do Bajazydu za 600 franków. Major wychwala jego przymioty i upewnia, że furgon uchroni nas znakomicie od zimna, ulewy,

<sup>37</sup> *farbują ogólnie włosy za pomocą heune* — *Lawsonia*, roślina, z której liści robią odwar zwany *henne* [dziś: *henna*; red. WL], zabarwiający włosy i paznokcie na żółtopomarańczową barwę; domieszka liści indygo wytwarza kolor czarny. [przypis autorski]

<sup>38</sup> *ingredienca* (z łac.) — składnik. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *sorbet* — deser z soku owocowego, przypominający lody. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Czerkiesi* — grupa etniczna z pln-zach. Kaukazu, od 1763 walczyli przeciwko Imperium Rosyjskiemu, usiłującemu podporządkować sobie Kaukaz; w 1864 pokonani, padli ofiarą czystek etnicznych i zostali przesiedleni ze swoich terenów, w większości deportowani do Imperium Osmańskiego, część na inne tereny Rosji. [przypis edytorski]

wiatru i śniegu. Rzeczywiście rozciąga się nad nim na półobrzęczach pokrycie z grubego płótna i podartej ceraty... Jesteśmy w połowie października, a choć nam świeci jasne słońce i chwilami nawet skwar dokucza, należy pamiętać, że w górach temperatura znacznie już jest niższa.

Ja osobiście przekładałam furgon nad *tachtarawan*, rodzaj lektyki, którą dźwigają muły, i nad *kedżawe*, najstraszniejsze z narzędzi średniowiecznej tortury. Składa się ono z dwóch kołysek, ciasnych i małych, o niskich daszkach, złączonych pałąkiem nałożonym na grzbiet konia lub muła. Dwie ofiary losu i okoliczności zasiadają w dwóch tych klatkach. Przy najmniejszym ich poruszeniu *kedżawe* zamieniają się w huśtawki. Wolę stanowczo furgon. Kupujemy tylko parę materaców i kołder; dniem będziemy na nich siedzieć, gdyż furgon trzęsie obmierzle; nocą zastąpią nam nieistniejącą na noclegach pościel.

Rzecz jest zdecydowana i ułożona; na dobicie umowy wypijamy z Czerkiesem kilka-naście naparstków herbaty.

Zaopatrzeni w listy polecające do konsulów perskich, a co ważniejsza, w zapasy spożywcze i w olbrzymią apetyczną pieczeń, której spreparowaniem zajął się był<sup>41</sup> poprzedniego dnia stary Tomczyk, wyruszamy wczesnym rankiem z Trebizondy.

Tomczyk przydreptał już o szarym świcie.

— Czy wszystko dobrze upakowane i obwiązane? Niech no pani siedzi spokojnie, już ja się tym zajmę.

I układa pocziwina w furgonie pościel, pilnuje bagaży, klóci się z woźnicą i wymachuje kijem.

Major kurzy nargile i wymyśla na odjeźdnym Czerkiesowi, grożąc mu najcięższymi karami piekielnymi, gdyby nas dobrze i cało na miejsce nie dostawił. Pijemy razem ostatnie szklanki herbaty z cynamonem; przy pożegnaniu ofiarowuje mi jeszcze obfitą prowizję<sup>42</sup> granatów i cytryn, wierny jest stanowczo tym owocom.

Tomczykowi głos się łamie ze wzruszenia:

— Mój Boże! Taka droga, a wy tacy do niczego, wychuchani, wypieszczeni! Jak wy sobie poradzicie? Żeby choć ten Czerkies się wami zaopiekował.

I zwraca się z długą przemową do dzikiej postaci o grubo wyciosanych rysach i olbrzymich sumiastych wąsiskach. Lecz spod krzaczastych brwi patrzą dobre oczy.

Już usadowiliśmy się, już furgon rusza. Tomczyk idzie za woziskiem i krzyżem nas żegna.

— Niech was Przenajświętsza Panienska ma w swej opiece. Niech was Bóg prowadzi!

Oczy mgłą mi zachodzą.

## II

### *Od Trebizondy do Erzerumu*

Furgon trzęsie się po kamienistych uliczkach miasta; jak piłki podskakujemy w górę, objając głowy o poręcze budy, nad którą strzępi się fantastycznie niebieskie płótno, ochrona wątpliwa przeciw niepogodzie. Jedną z niespodzianek, jakie szykuje nam klimat górski, będą podobno nagłe a nieprzewidziane zmiany temperatury. Na jednym zakręcie drogi żar lipcowy, na drugim czeka marcowa zawierucha.

Po półgodzinnym mozolnym i hałaśliwym kołataniu się po zaułkach Trebizondy wjeżdżamy w góry, które półkręgiem miasto otaczają. Słońce pali jak w gorące dnie lata, niebo roztacza szafir niepokalany, w powietrzu skrzą się złote pyły. Wyprzedzając o kilka kroków pierwszy furgon, jedzie nasz Czerkies, uzbrojony jak na krzyżową wyprawę, chroniąc swą wojowniczą postać pod wielkim czerwonym parasolem. Trzy woziska suną z wolna za nim z przeciągłym zgrzytem i skrzypieniem kół ciężkich. Pniemy się w górę, drogą usianą wybojami; furgon to chyli się na bok, to podskakuje gwałtownie. Nabieram melancholijnego przeświadczenia, że nie dotrzemy żywo i cało na nocleg. W skroniach mi huczy, kości mam niewątpliwie pogruchothane. Nasz woźnica Mustafa, stary i straszny Tatar, odziany w brudny, zatłuszczony barani tułup, zszyty z niezliczonej ilości skrawków

Podróż

<sup>41</sup>zajął się był — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą od innych czynności i zdarzeń wyrażonych w czasie przeszłym prostym; znaczenie: zajął się wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>prowizja (z łac.) — tu: zapas żywności, prowiant. [przypis edytorski]

i skraweczków, a oddający wate wszystkimi porami, raz po raz staje na wozie i za pomocą dzikich i ogłuszających krzyków zachęca konie do prędszego wytrzęsienia z nas ducha. Nader gadatliwy, zwraca się często, szwargocząc na zabój; w potoku wyrazów odróżniam wyraźnie „bachczysz”<sup>43</sup> i „tytoń”. Nauczyliśmy się nieco podczas pobytu w Trebizondzie tej turecko-tatarskiej gwary, która jest tu potocznym językiem ludu; nie posiadliśmy jej jednak na tyle, by podtrzymywać rozmowę z Mustafą. Ograniczamy się na kiwaniu głową z wdzięcznym uśmiechem i na obdarzaniu go upragnionym tytoniem, co mu za najpiękniejsze frazesy wystarczy.

Droga, wyciosana w zboczu góry, okręca ją długim węzłem, wije się za nami i przed nami. Tędy podobno ciągnęły do Persji zastępy greckie: złociste hełmy i lśniące puklerze<sup>44</sup> jak słońca w słońcu promieniejące, szły murem zwycięskim poskramiać barbarzyńców. I tędy wracały smutne rozbitki szeregów: to droga odwrotu „Dziesięciu tysięcy”<sup>45</sup>...

Niestety wspomnienia ubiegłych dziejów ludzkości nie wystarczają, aby podróż uczynić przyjemną, a skalistą drogę znośną. Trudno myśleć o Ksenofonie wobec przymusowej gimnastyki, na jaką skazują nasze nędzne ciała istic przedhistoryczne wehikuly. W dodatku wąski pas drogi tak wysoko już pobiegł ku szczytom, że niech tylko ten czwarty, stąpający tuż przy krawędzi koń zrobi jeden krok fałszywy, niech się poślizgnie, a furgon, bagaże, konie i ludzie urządzą przedbajeczne *salto mortale*<sup>46</sup> w przepaść.

Raz po raz krzycząc przeraźliwie i chcę wysiadać. Mustafa odwraca się wtedy ku nam z uśmiechem, w którym pobłażliwość dla mej nieświadomości graniczy z pogardą dla mego tchórzostwa. Tłumaczy mi, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Rozumie się! Jakież niebezpieczeństwo może grozić podróżnikom wiszącym o 800 metrów nad ziemią na skraju przepaści.

Po kilku godzinach rozpaczliwych wzywań na pomoc wszystkich potęg niebieskich zaczynam się powoli uspakajać. Zwierzęta, w górach zrodzone i wyrosłe, znają każdy kamień, każdy krzaczek, każdy załom drogi, stąpają pewno i równo. Woźnice są prawdziwymi mistrzami w swym zawodzie. Trzeba widzieć naszego Tatarsa wobec rozwalonej grobli lub wielkiego wyboju. Staje na wozie, ściąga mocno lejce, tnie siarczyście batem i wydobywając z gardła szereg nieludzkich wrzasków, z wściekłą fantazją sady przez przeszkodę. Tak mi imponuje swą pogodą i swą zamaszystością, że nabieram do niego ślepego zaufania. Zaczynam przypuszczać, że gdyby wszystkie cztery nogi konia zawisły nad próżnią, a Mustafa furgonem kierował, potrafiłby jeszcze nas wyratować wbrew wszelkim prawom fizyki.

Pierwszy ten dzień podróży przechodzi względnie wesoło. Czas jest przepiękny, a droga malownicza; panuje na niej ruch i ożywienie. Co kilka wiorst<sup>47</sup> spotykamy kramiki z owocami; przekupnie biegną za nami, ofiarowując orzechy i winogrona. W południe dostajemy w zajeździe herbaty z samowara, razowego chleba i znów orzechów, winogron i rodzenków. Wieczorem w osadzie Drewisty, gdzie zatrzymujemy się na noc, dają nam oddzielną izbę z dwoma tapczanami, zaopatrzonymi w bardzo prymitywną, lecz nie najbrudniejszą pościel. Niestety, nie ma kluczy we drzwiach, nie ma klamek, nie ma nawet zasuwek. Są za to koty, o czym nie wiedzieliśmy. Nasze zapasy przypadły im widocznie do smaku; budząc się następnego ranka, widzimy naszą pieczeń, wspaniałą pieczeń z Trebizondy porwaną, poszarpaną, obficie utarzaną w kurzu i oczywiście niegodną już ludzkiego podniebienia.

Podróż, Niebezpieczeństwo

Podróż

<sup>43</sup>bachczysz — napiwek. [przypis autorski]

<sup>44</sup>puklerz — rodzaj okrągłej tarczy. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>droga odwrotu „Dziesięciu tysięcy” — w 401 p.n.e. perski książę Cyrus Młodszy zbuntował się przeciw swemu bratu, królowi Artakserksesowi II, gromadząc oddziały perskie oraz 13 tys. greckich najemników; zginął, walcząc o władzę, w bitwie pod Kunaksą. Żołnierze greccy rozpoczęli tzw. odwrót Dziesięciu Tysięcy, marsz do ojczyzny liczącą 1000 mil drogą z Mezopotamii wzdłuż rzeki Tygrys i przez wyżyny Armenii na północny zachód, do morza, przez wrogi kraj, bez zaopatrzenia, ścigani przez Persów i atakowani przez barbarzyńskie plemiona. Po pięciu miesiącach dotarli do Trapezuntu, greckiej kolonii nad brzegami Morza Czarnego. Wydarzenia te opisał jeden z dowódców odwrotu, Ksenofont, w swoich słynnych pamiętnikach wojennych noszących tytuł *Anabaza*. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>salto mortale (wł.) — skok śmiertelny, grożący śmiercią. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>wiorsta — dawna rosyjska miara odległości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

Rozumie się, że o miednicach, dzbankach do wody i innych luksusowych a zbytecznych wymysłach cywilizacji mowy tu nawet nie ma. Dobrze jeszcze, że nie brak wody, czystej jak kryształ, źródlanej. Jedno drugiemu leje jej nieco na ręce... na co miednica?

Budzą nas już o czwartej z rana, choć wyjechać mamy o szóstej. I tak dziać się będzie przez dwa miesiące, przez cały czas podróży. Daremnie tłumaczymy Czerkiesowi i Mustafie, wzywając na pomoc najwyrazistszą mimikę i cały nasz zapas tatarszczyzny, że pół godziny wystarczy nam na wszystkie przygotowania. Oni wytrwale budzą nas w noc czarną i ubrani czekać musimy półtorej lub dwie godziny, zanim karawana w dalszą drogę wyruszy.

Drugiego dnia pniemy się jeszcze więcej ku szczytom; na widnokregu wrzynają się w niebo śniegowe wierzchołki. Droga rozsnuwa się tuż przy szczytach. Pod nami głębokie wąwozy. Stoki gór porośły gęsto świerkowym lasem, strumienie tryskają ze skał; gdzieniegdzie stada owiec znaczą się na pokrytych trawą zboczach ciemnymi plamami. Niezwykle malowniczy krajobraz przypomina Szwajcarię, lecz Szwajcarię dziką, bez kolei, telegrafów i telefonów, bez wykwintnych szalecików, bez wspaniałych hoteli i fertycznych<sup>48</sup> a wdzięczących się *Mädchen*<sup>49</sup> służebnych.

Tu wdzięczy się jeden Mustafa szerokim uśmiechem swych ust bezzębnych, prosząc o *bachczysz* i tytoń. Mijający nas „turyści” wyglądają na rozbójników. Spotykamy mnóstwo tatarskich arabaczów, zaprzężonych w woły krótkich wozów o dwóch olbrzymich, straszliwie skrzypiących drewnianych kołach. Arabatczy w baraniej czapie, o twardej dzikiej twarzy, leży na workach mąki lub wiązkach chrustu, kurząc fajkę; woły stąpają leniwie. Melancholią wieje od człowieka, pojazdu i zaprzęgu... mającą po głowie dumki Bohdana<sup>50</sup>.

Wyciągnięte długim szeregiem karawany koni, mulów, osłów krocą ku noclegowiskom. Zwierzęta też niesłychanie są objuczone. Wielbłądy zdają się nieść stosunkowo mniejszy ładunek. Pod wieczór krzyżujemy się z pierwszą ich karawaną; podróżują bowiem przeważnie nocą, a dniem wypoczywają. Na parę godzin przed ich spotkaniem niosą nam echa górskie melodyjny śpiew dzwonek. Idący przodem wielbłąd, wyniosły i dumny, nie dźwiga nic na sobie. Czapraki<sup>51</sup> ma różnobarwne z bogatą, puszystą frędzlą, a obwieszony jest jak wieża kościelna dzwonekami i dzwoneczkami bez liku. Jego towarzysze mają ich po kilka lub kilkanaście; on co najmniej kilkadziesiąt. Nad głową kołysze mu się olbrzymi pióropusz; mina zabawnie napuszona. Grubym sznurem połączony jest z drugim wielbłądem, drugi z trzecim itd.; szepiąją ich zwykle razem po dziesięć lub dwanaście. Stawiają z godnością wykrzywione kabłąkowate nogi, a tak pretensjonalnie poruszają głowę na wysokiej szyi, że widok ich rozwesela. Na pierwszym wielbłądzie każdej nowej serii siedzi *czewadar* w białych baranach, w płaskiej szerokiej czapie, odbijając jasną plamą od brudnej sierści zwierzęcia. Wielbłądy te są głównie jednogarbne, mniejsze niż dromadery afrykańskie. Dość łagodne, kąsają jednak złośliwie, gdy je podrażnić.

Zwierzę

Dnia tego mijają nas pod eskortą kilku żołnierzy dwie postacie z rozpaczą śmierci w oczach. Jednym łańcuchem szepieni, we wspólną deszczułkę mają każdy zamkniętą jedną rękę. Prowadzą ich podobno do Trebizondy na egzekucję. Rabowali i zabijali — sprawiedliwość ludzka za krew krwią im płacić każe. Okropny ból ścisną mi serce, gdy patrzę na beznadziejne i ponure twarze skazańców. Długo ściga mnie wspomnienie tego widoku.

Noclegi nasze są coraz opłakaniejsze; znika wszelki ślad tapczanów. Na ziemi leży mata, na macie dwa maleńkie materace. Osady, złożone z kilku lepierek, skleconych w sposób przygodny, czepiają się samych już szczytów. O paręset metrów nad nami ścielą się śnieżne płaszczyny.

Pocziwy Czerkies pielęgnuje nas jak może. Zaledwie umieści w zajezdzie powierzoną jego pieczy *hanum*<sup>52</sup> i jej gromadkę, wnet do nas przybiega, zakupuje prowizję, ograni-

<sup>48</sup>fertyczny (daw.) — ruchliwy, zwinnie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Mädchen* (niem.) — dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*dumki Bohdana* — tęskne ludowe ballady ukraińskie Józefa Bohdana Zaleskiego (1802–1886), przedstawiciela tzw. szkoły ukraińskiej polskiego romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*czaprak* — sukienka podkładka pod siodło, mająca chronić wierzchowca przed obtarciami. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*hanum* (tur.; pers. *chanum*) — pani. [przypis edytorski]



czające się, nawiasem mówiąc, do czarnego chleba, czasem jajek i mleka; rozdmuchuje ogień, przynosi herbatę. Uczy nas przy tym turecko-tatarskiego żargonu i raduje się potężnym, podobnym do końskiego rżenia śmiechem, gdy jakie zdanie sklecimy. Siedzi tylko zbyt długo. Połamani, poobtlukiwani, obolali, marzymy przez dzień cały o chwili, w której można będzie wyciągnąć się na posłaniu i rozprostować zmęczone członki. Czerkies urządza tymczasem u nas dwu- i trzygodzinne posiedzenia i gwarzy spokojnie, kurząc nargile i zapijając herbatę. Sam nie zna zmęczenia i nie zdaje sobie sprawy z naszego wyczerpania. Wszyscy zresztą spotykani w zajazdach podróżni uważają za obowiązek schodzić się do naszej izby na oględziny. Na progu chylą głowy z sakramentalnym „*salamelekum*”<sup>53</sup>; wszedłszy, kłaniają się znowu i w milczeniu najczęściej nudzą nas swą obecnością przez godzin parę. Nie potrzebuję chyba dodawać, że siedzimy wszyscy na podłodze, z podwiniętymi pod siebie lub skrzyżowanymi po turecku nogami, co mi dokucza nie na żarty, oczywiście, brak jeszcze przyzwyczajenia. Nasi nieproszeni goście piją herbatę, kurzą fajki, papierosy lub nargile i zjadają mi chałwę, której ogromne zapasy zabrałam z Trebizondy dla zabicia nudy w drodze, a która topnieje jak śnieg na słońcu. Po tych niezwykle interesujących zebraniach zamieniamy znowu ukłony i uśmiechy, i jeszcze ukłony. Nareszcie spać nam pozwalają.

Gdy trzeciego dnia podróży wyjeżdżamy z noclegu, chmury chodzą pod nami, spowijają w mgłę oparów ciemne szczyty świerków, pełzają po skalistych zboczach. Wierzchołków nie ma już nad nami; droga prowadzi przez wyżyny nagie i smutne, lśniące tu i owdzie brunatnymi płatami mchów wilgotnych. Otacza nas atmosfera tak lodowata, że i dobra doza *raki*<sup>54</sup> rozgrzać nie jest w stanie. Po południu jednak szybko spuszcza się w dół, gdzie grzeje ciepłe słońce i lato śmieje się z wesołej doliny. W kępach zieleni gnieździ się mała mieścina. Dnia tego widziałam gdzieś wysoko na skale i w skale wykutą samotną chałupę. Mustafa objaśnia nas, że pewien świętobliwy pustelnik pędzi tam od lat czterdziestu wielce pożyteczne dla ludzkości życie.

Ardas, mieścina, do której zajeżdżamy, ma jedną dość długą ulicę, na której znajduje się bazar i parę zajazdów. Można tu dostać gorącej strawy; jakiś obszarpaniec, pełniący funkcję służącego, przynosi nam tłustej baraniny pływającej w gęstym pomidorowym sosie. Jest tak obrzydliwa, że po paru kęskach wyrzekam się jej mimo głodu. Pokoik dano nam długi i wąski jak korytarz; ruszać się w nim niepodobna. Jakiś efendi<sup>55</sup>, obdarzony litanią imion, z jakiej mógłby być dumny niejeden grand<sup>56</sup> hiszpański, przychodzi w imieniu paszy (rodzaj burmistrza) dowiedzieć się, czy nam nie brak czego. Niestety, brak wszystkiego, lecz ani efendi ani pasza zaradzić temu nie potrafią. Gość nasz spędza z nami parę godzin na milczeniu pełnym uśmiechów; następnego dnia o świcie zjawia się z pożegnaniem i ofiarowuje mi koszyk jabłek, najpiękniejszych, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu. Mieścina słynie podobno bardzo szeroko z tych znakomitych owoców. Dostałam też orzechów włoskich, obranych i nanizanych na nitki jak paciorki różańca. Turcy — raz jeszcze to stwierdzam — zachowują się wobec podróżników nadzwyczaj gościnnie. Najmilszym wspomnieniem z tej podróży, które na zawsze pozostanie mi w pamięci, jest parodniowy pobyt w kilku tureckich domach.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Ardas, mżył deszczyk drobny, lecz gęsty, który przez dzień cały towarzyszył nam w drodze. Szare, zasnutę chmurami niebo nakłada na pejzaż rozpaczliwą melancholię. Droga prowadzi znów pod wierzchołki, krajobraz się zmienia. Góry, bogate widocznie w minerały, mienia się wszystkimi barwami tęczy; to są ciemnoczerwone, to zielone, to znowu prawie czarne. Kryją się w ich łonie niezliczone skarby, niewyzyskane dotąd przez człowieka. Ciemni pasterze, zdobywający w męce i trudzie twarde chleb nędzy, nie wiedzą, układając się do snu w swych tulących się do skały lepiankach, że spoczywają na milionach i milionach nieprzebranych, niewyczerpanych...

Po czternastogodzinnym kołataniu się męczeńskim po spadzistej i śliskiej drodze docieramy, gdy noc już od dość dawna zapadła, do na wpół rozwalonego samotnego domo-

Podróż

Góry

Podróż, Upadek

<sup>53</sup>*salamelekum* — popr.: *Salam alejkum* (ar.): pokój z wami; muzułmański zwrot powitalny. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*raki* — wódka ryżowa. [przypis autorski]

<sup>55</sup>*efendi* (z tur.) — pierwotnie: pan, władca; później: dostojnik; następnie: osoba wykształcona, piśmienna; dziś: tytuł grzecznościowy odpowiadający polskiemu „pan”. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*grand* — arystokrata hiszpański. [przypis edytorski]

stwa. Czerkies z trudem wynajduje w tej ruinie dwie ciemnice mające naśladować izby; w jednej roztasowuje się jego hanum z dzieciarnią, w drugiej my się lokujemy. Drapać się do niej trzeba po zmurszałej drabinie, o szczeblach powyłamywanych lub przegniłych. W powybijanych oknach zaklejono szarym papierem parę małych szyb; przez puste otwory innych wdzierza się wiatr z deszczem. Przez szpary zbitego z belek i krytego bitą ziemią pułapu sączą się wolno i jednostajnie wielkie krople na podłogę z ziemi, pozbawioną nawet maty. Miejscami świecą kałuże lepkiego błota. Wzdłuż jednej ze ścian biegnie kulawa ława, jedyny mebel w tej izbie z melodramatu. Wichura dmie przeraźliwie, okna trzaskają raz po raz. Drzwi nie dopomagają im w tej muzyce zupełnie, bo ich nie ma. Zakopcona latarnia migoce żałośnie. Po półgodzinnym dumaniu nad wyższością cywilizacyjną bulwarów paryskich, zaczynam zastanawiać się nad koniecznością samobójstwa.

Szczęściem, że Czerkies nie pozwala nam pograć się zbyt długo w smutnych refleksjach i zaopatrzywszy swe niewiasty we wszystko, co im dać może, prowadzi nas do wielkiej szopy przylegającej do naszych rumowisk. Suty ogień bucha tam wspaniałym płomieniem, a naokół ognia zasiadły posępne, brodate postacie, kurząc fajki i ciągnąc nargile. W czarnym, żelaznym kotle warzy się perłowa kasza z pomidorami; w zady-mionym czajniku kipi herbata. Nieznośny zaduch chwyta za gardło. Brodacze dysputują z zapalem i krzyczą jak głusi. Dostrzegam nagle spoza obłoków dymu dwa czerwone fezy. Pocziwe czerwone fezy! Ustępują nam najlepszemu miejscu przed ogniem, częstują chałwą i papierosami, wyszukują gospodarza jaskini, który raczy sprzedać nam chleba razowego i wstrętnie brudnego, pokruszonego sera owczego. Na zebranie z osób kilkunastu są dwie szklanki i jedna łyżeczka; my pijemy w własnych kubkach. Nie mamy odwagi spróbować kaszy, którą Tatarzy czerpią łapczywie wprost z kotła.

Przeklinam w głębi duszy znajomych medyków Persów, którzy zapewniali nas w Paryżu i w Trebizondzie, że nie potrzebujemy obładowywać się zbytnio zapasami, gdyż w drodze wszystkiego prawie dostaniemy. Pod wszystkim rozumieli owoce, jajka, mięso, kury... kury szczególnie, o które niesłychanie łatwo. O gorzka ironio! Pierwszą kurę spożyliśmy w Erzerumie. Tymczasem musimy się zadowalać chlebem razowym i słodkim lub kwaśnym mlekiem, a i to nie wszędzie znaleźć można. Konserwy znikają dziwnie szybko, nie zaspakajając głodu, bo ostre powietrze górskie rozwija chorobliwy apetyt. Chronicznie głód cierpię.

Wyjeżdżamy z naszego złowrogiego noclegu — płacąc zań w dodatku jak za porządny hotel, bo najpierwotniejszy dzikus wie, że niewiernego zdzierać należy — bez szklanki herbaty, skostniałi i przemokli. Dziś wieczorem stanąć mamy w dość dużym mieście, Bajburcie, pamiętającym, jak Trebizonda, zamierzchłe epoki historii. Bajburt świeci nam niby gwiazda przewodnia.

— Za ile godzin tam dojedziemy?

— Za osiem, dziewięć najdalej — odpowiada Mustafa.

Furgony toczą się raźnie, droga niezwykle jest równa i gładka; słońce weszło w całym majestacie. Po pięciu godzinach dobrego marszu wypoczywamy w przydrożnym *tchaikbaneh*<sup>57</sup>.

— Ile stąd jeszcze do Bajburtu?

Mustafa drapie się w poczochrane kudły.

— Hanum, Bajburt blisko.

— No, ale za ileż godzin tam staniemy?

— Hanum, niezadługo... Za siedem godzin, może za osiem. Daj tytoniu, hanum!

Bierze mnie ochota zadławić dziada. Rozumie się, że do Bajburtu już tego wieczora nie dojeżdżamy. Noc schodzi szybko ze szczytów, mrok spada nagły.

— Tu trzeba będzie się zatrzymać.

I Mustafa wskazuje mi biczem wielką farmę, otoczoną wiankiem drzew i dziwnie rodzinne kąty przypominającą. Już nie mam do niego żalu za zawód doznany. W farmie pulsuje jakiegoś silniejsze życie; ludzie krzątają się, z podwórza dochodzi gwar wesoły;

<sup>57</sup>*tchaikbaneh* — dosłownie: dom herbaciany. [przypis autorski]

widzę młode i uśmiechnięte dziewczęta w kostiumach armeńskich. Trafiliśmy więc do Armeńczyków<sup>58</sup>.

Prowadzą nas do ogromnej izby, ciepłej i czystej; na kominie płonie ogień; w kącie na ziemi szumi samowar. Wzdłuż ścian biegnie wysoko półka, zastawiona kwaśnym i słodkim mlekiem. Uśmiechają się życzliwie gospodarze, przysuwają nam do ognia materace, których widzę w izbie kilkanaście.

Otacza nas osób ze dwadzieścia, zasypujących nas pytaniami, na które odpowiadamy głównie gestami. Wszyscy ludzie należą do jednej rodziny, wszyscy też, młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni mają dość miłe fizjonomie i przyjemnie na nich patrzeć po czterodniowej kontemplacji wdzięków Mustafy i Czerkiesa. Mieszkańcy farmy robią wysiłki, by nas zrozumieć i jak najlepiej nam usłużyć. Swoją drogą kolacja ogranicza się na<sup>59</sup> jajkach i mleku. Czuję, że wegetarianizm nigdy nie znajdzie we mnie adeptki i że nad tuzin jajek zawsze przekładać będę jeden befsztyk. Nieprędko zadowolę ten luksusowy kaprys; w górach Małej Azji befsztyki są mitem.

Gdy zaczynamy zbierać się do spoczynku, przychodzi rozstać się z jednym jeszcze cywilizacyjnym „przesądem”. W oplakanych stacjach zajazdów pozostawialiśmy na noc sami. Dziś musimy dzielić izbę z całą rodziną naszych gospodarzy. Będzie nas w niej tylko dwadzieścia trzy osoby płci obojga. Przy strasznym zmęczeniu i na pustyni<sup>60</sup> „przesady” szybko znikają... Kładziemy się więc; nikt się nie rozbiera, my mniej niż inni.

Następnego dopiero ranka, po dwugodzinnym kołataniu się po zasypanych gęsto kamieniami rozdołach, dobijamy do Bajburtu. Nie miasto to już, lecz stek brzydkich ruin, wiejących smutkiem i żalobą. Resztki murów obronnych świadczą, że była to niegdyś warowna forteca; teraz wszędzie gruzy, zwaliska, stosy głazów szarych. Przed miastem leży dawny cmentarz, z ziemi sterczą płaskie kamienie, świadczące, że to miejsce wiecznego wypoczynku. Przez ciasne uliczki do samego zajazdu, gdzie wypoczniemy nieco, biegnie za furgonem mnóstwo żebraków bezczelnie natrętnych, ohydnie brudnych, a świecących spod łachmanów nędzą bezgraniczną, straszliwą. Gdy patrzę na te zagłodzone cienie pół zwierząt, pół ludzi, ciężar grobowy spada mi na duszę i dławi ją bólem. Okropne widma oblewają naszą izbę... Ledwie damy jałmużnę jednym, zjawiają się drudzy; Czerkies odgania ich, zupełnie zresztą bezskutecznie. Te wyciągnięte dłonie, te twarze wychudłe lub skrofulicznie<sup>61</sup> nabrzmiałe, wykrzywione w grymas wiecznego głodu, zatruwają mi zmorą smutku dzień ten cały.

Żebrak

\*

Jeszcze trzy noclegi a będziemy w Erzerumie, do którego wzdychamy całą rozpaczą ludzi spragnionych pościeli, snu i radykalnej toalety, o jakiej w „hotelach” przydrożnych i marzyć nie można. Nie będę szczegółowo tych dni opisywała. Najczęściej furgony toczą się po wyżynach, na dwa tysiące przeszło metrów nad poziomem morza; nie ma już nad nami szczytów. Z obu stron roztacza się ponura śnieżna płaszczyna, falująca i pogarbiona. Mróz ścina oddech i kłuje w płuca.

Jednej nocy znajdujemy przytułek w błotnistej norze, wzdłuż dwóch ścian której biegną podwyższenia ziemi zastępujące tapczany i ławy. Dzielimy ją z rodziną nomadów składającą się z pięciu osób i z dwoma młodymi Armeńczykami, znośnie mówiącymi po francusku, a udającymi się, jak my, do Erzerumu.

Ostatnim przystankiem przed miastem jest Ilidże<sup>62</sup>, dość ludna osada, znana w okolicy ze swych siarczanych kąpeli. W zajezdzie dostarczają nam baraniej siekaniny, pachnącej łojem i smacznego ryżu. Nocleg jest znośny.

<sup>58</sup>Armeńczyk — dziś Armeńczykami nazywa się obywateli Republiki Armenii, bez względu na ich pochodzenie, podczas gdy członków narodu, żyjącego nie tylko w tym państwie, nazywa się, zgodnie z tradycją, Ormianami. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>ogranicza się na jajkach i mleku — dziś popr.: ogranicza się do jajek i mleka. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>pustynia (daw.) — każde pustkowie niezamieszkałe przez ludzi, niekoniecznie pozbawione roślinności. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>skrofulicznie — w sposób charakterystyczny dla skrofulów, czyli gruźlicy węzłów chłonnych szyi, choroby objawiającej się obrzękiem i ropieniem węzłów chłonnych występujących na szyi, uaktywniającej się u osób żyjących w złych warunkach higienicznych, obecnie rzadko spotykanej. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>Ilidże — w dzisiejszej pisowni tureckiej: Ilica, miejscowość ok. 15 km na zach. od Erzurum. [przypis edytorski]

Wyruszamy dalej o świcie i w dwie godziny niespełna stajemy w Erzerumie.

### III

*Erzerum. — Kurdowie i Armeńczycy. — Droga do Bajazydu. — Ararat. — Karakilis.*

Erzerum, położone na wysokości 1900 metrów nad morzem, malowniczo przedstawia się z daleka w otoczeniu gór, stanowiących naturalne tło wszystkich niemal miast Małej Azji i Persji. Góruje nad nim z urwistej skały cytadela, niemająca już podobno wielkiego znaczenia z punktu widzenia strategicznego, gdyż zbyt ją zamknięto w ciasne domów szeregi. Swoją drogą potrójna linia bastionów i fortyfikacji, otaczających miasto w okręgu kilkunastu kilometrów, czyni zeń najwięcej warowną fortecę Małej Azji.

Stolica Armenii tureckiej błyszczy z dala kopułami paru świątyń; kilka minaretów strzela w niebo. Lecz gdy wjeżdżamy w ulice, doznajemy prędko rozczarowania. Brzydkie drewniane domy, pomalowane najczęściej barwami jaskrawymi, najzupełniej są pozabawione wschodniego charakteru. Niezdarnie karykaturują Zachód. Krzywe i wąskie uliczki zalegają kałuże rzadkiego, zmieszanego ze śniegiem błota.

Furgon nasz zajeżdża tryumfalnie przed obrzydliwą budę, wymazaną w czerwone i szafirowe floresy, a świecąca na froncie pretensjonalnym napisem „Hotel d'Europe”. Domisko ma wjazd brudny, brudne, cuchnące schody i brudny korytarz. Lecz stacja zaopatrzona jest w dwa żelazne łóżka, w dwa krzesła i w stół heblowany. Otrzymujemy nawet skromniutkich rozmiarów miedniczkę.

Erzerumu nie należy stanowczo oglądać późną jesienią: szaty ma zbyt zbrukane. Poprzez rześysty deszcz i gęstą mgłę ulice i budowle przygnębiające czynią wrażenie. Jednakże jest to jedno z największych i najbardziej przemysłowych miast Małej Azji, mające 60 tysięcy mieszkańców. Lecz ludność ta myśli raczej o handlu baranami, których eksportuje rok rocznie za pokaźną sumę 27 milionów franków, niż o estetycznym wyglądzie swego grodu. Żaden gmach nie wyróżnia się szlachetniejszą budową; nie mówię już o charakterze lub stylu. Latem i wiosną przecudne słońce Wschodu krasi może ludzi i rzeczy; jesień i zima żalobnym i brzydkim kryją wszystko całunem.

W konsulacie perskim czeka nas gościnne, serdeczne przyjęcie. Izaak-Misza-Khan, przedstawiciel „króla nad królami”<sup>63</sup>, ma tę niezwykłą wytworność obejścia Persów z tak zwanego „towarzystwa”. Z wielką trudnością wysławia się po francusku, lecz pomaga nam do porozumienia się z nim Armeńczyk, pełniący w konsulacie jakieś nieokreślone funkcje, człowiek wszechstronnie uzdolniony i władający kilkoma europejskimi językami. Konsul nalega, ażebyśmy zamieszkali u niego, wolimy jednakże pozostać w hotelu, gdzie mamy większą swobodę ruchów.

Tegoż dnia na obiedzie u niego poznajemy kilku członków kolonii europejskich, należących wyłącznie do personelu konsulatów. W towarzystwie ich spędzamy dwa dni następne, szczęśliwi, że mówić możemy z ludźmi, którzy nas rozumieją. Od wyjazdu z Trebizondy ograniczać musieliśmy porozumiewanie się z bliźnimi do żądania *juburtu*<sup>64</sup>, chleba i herbaty. Toteż do późnej nocy ciągnie się co dzień gawęda. Wszyscy zastanawiają się z osłupieniem, jak mogliśmy wybrać drogę na Małą Azję w chwili, gdy wzajemne rozjątrzenie Kurdów i Armeńczyków doprowadza do zająć krwawych, gdy w górach rozszaleni Kurdowie rabują, napadają, mordują. Trudno — za późno, by się cofać.

Antagonizm religijny i narodowościowy dwóch ras nie od dziś się datuje, ale od lat kilku wybucha z całą potęgą wszędzie, gdzie się te rasy stykają. Armenia jest prowincją północno-środkową, Kurdystan południowo-środkową. Na całym wielkim pasie centralnym, zaczynając od armeńskiego miasta Sivas<sup>65</sup>, dążąc dalej przez Erzerum i Bajazyd ku granicy Persji<sup>66</sup>, dwa wrogie plemiona schodzą się na wspólnym terytorium. Wioski ar-

<sup>63</sup> *Shan-in-Shan* — król nad królami, jedno z niezliczonych, patetycznych określeń władcy Persji. [przypis autorski]

<sup>64</sup> *juburt* — kwaśne mleko. [przypis autorski]

<sup>65</sup> *Sivas* — miasto w Turcji, nad rzeką Kizilirmak, stolica prowincji; od starożytności do czasu podboju tureckiego: Sebaste, Sebastia. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *zaczynając od armeńskiego miasta Sivas, dążąc dalej przez Erzerum i Bajazyd ku granicy Persji* — wszystkie te trzy miasta uznawano dawniej za leżące w Armenii, krainie, która w minionych okresach historycznych obejmowała znacznie większe terytorium, niż zajmuje współczesna Republika Armenii. Pod koniec XIX w.

Miasto

Przemoc



meńskie wrzynają się w posiadłości Kurdów; osady kurdzkie<sup>67</sup> otoczone są przez posiadłości armeńskie. Kurd, w którego żyłach płynie wojownicza krew dawnych Medów<sup>68</sup>, nieposkromiony i nieustraszony, rządząc się prawem silniejszego, wyrugowuje Armeńczyka z ziemi wszędzie, gdzie mu się tylko to udaje. Gdy nie dopnie swego, pali mu chatę, uprowadza dobytek. Toteż na całym tym pogranicznym szlaku nędza Armeńczyków jest bezgraniczna. Niestety, tchórzostwo ich również jest bezgraniczne.

Armeńczycy, jakkolwiek liczni i tym samym silni, nie śmiają się wprost bronić. Bejowie<sup>69</sup> kurdcy, fanatyczną strażą swych wojowników otoczeni, rządzą w górach jak u siebie, nie bojąc się żadnych ziemskich ani niebieskich potęg. Kurd, obwieszony bronią od stóp do głów, z jataganem<sup>70</sup>, z fuzją, z pistoletami, na króla gór wygląda. Nędzny, wystraszony, bezbronny Armeńczyk sam już przerażoną swą postacią zachęca drapieżnika do grabieży.

Podobno Armeńczykom nie wolno obecnie nosić broni. Zakaz był niepotrzebny, gdyż brak odwagi czynił broń zbyteczną.

Toteż podczas gdy mała sekta nestorianów<sup>71</sup> osiadła nad jeziorem Wan znakomicie radzi sobie z wojowniczym sąsiadem, a rządząc się nie ewangeliczną, lecz najślusniejszą w takich wypadkach zasadą: „oko za oko, ząb za ząb”, odpłaca Kurdom za każde spalenie wioski lub uprowadzenie bydła spaleniem dwóch wiosek i uprowadzeniem podwójnej ilości bydła, Armeńczycy, przygnębieni i nieszczęśliwi, dają się łupić bezkarnie i pozwalają wrogowi wydzierać sobie z rąk szmat za szmatem uprawianą w ciężkim wysiłku, krwawym trudzie glebę.

Muszę zaznaczyć, że z przykrością i zdumieniem zauważyłam u Europejczyków przebywających w Małej Azji dziwny brak politowania i sympatii dla Armeńczyków mimo ich niewymownie smutnego losu. Odpowiadają mi na me zarzuty, że naród ten, który żył wiecznie pod jarzmem i od wieków płacił kolejno haracz Persom w okresie ich wszechpotęgi, Grekom za Aleksandra Macedońskiego, Rzymowi i Bizancjum, zbyt przywykł płaszczyć się i uginać karku. A wyzbywszy się w otoczeniu potężnych i drapieżnych plemion wszelkiej odwagi, przesiąkł fałszem, obłudą, przebiegłością. Przymioty to, którymi nie zdobywa się przyjaciół.

Armeńczycy osiedli w miastach i egzystujący spokojnie pod opieką władz mszczą się za niedolę ubogiej i gnębionej braci wiejskiej, wyzyskując wszystko i wszystkich: ludzi, okoliczności i rzeczy. Zdobywają też wielką przewagę materialną. Wychodzą z łona matki z ciekim pod pachą, rodzą się bankierami i przemysłowcami.

\*

Nasza droga prowadzi właśnie przez to fatalne pogranicze, na którym sięgają postrach rozrukane bandy rozbójników. Opowiadają nam przerażające historie o krwiożerczych

---

pln.-wsch. część państwa osmańskiego tworzyło tzw. „sześć prowincji”, w których najlicniejszą grupą ludności byli Ormianie, począwszy od Sivas na zachodzie, aż po Erzurum i Vas na wschodzie; również obecnie trzy wymienione przez autorkę miasta znajdują się na terytorium Turcji, ale struktura ludności zmieniła się wskutek prześladowań na tle religijnym i narodowościowym. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>kurdzki — dziś popr.: kurdyjski. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Medowie — lud indoeuropejski zamieszkujący w starożytności pln.-zach. Iran; w 616–609 p.n.e. w sojuszu z Babilończykami zniszczyli dominujące w regionie państwo asyryjskie i ustanowili imperium sięgające doliny rz. Kizilirmak w ob. Turcji; kilkadziesiąt lat później zostali pokonani przez spokrewnionych z nimi Persów pod wodzą Cyrusa II Wielkiego i już nigdy nie odzyskali niezależności; wg jednej z hipotez współcześni Kurdowie są potomkami Medów. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>bej (tur.) — wódz; także: tytuł nadawany możnowładcom i wyższym urzędnikom w państwach tureckich, w tym w Imperium Osmańskim. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>jatagan (z tur.) — broń sieczna średniej długości, o zakrzywionym ostrzu i charakterystycznej rękojeści, używana przez Turków, Arabów i Persów. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>nestorianie — wyznanie chrześcijańskie wywodzące się z poglądów chrystologicznych Nestoriusza (384–451), mnicha antiocheńskiego, który po objęciu urzędu patriarchy Konstantynopola zaczął podkreślać w kazaniach potrzebę rozróżniania odrębności boskiej i ludzkiej natury Chrystusa, m.in. krytykując termin *Theotokos* (gr.: rodzicielka Boga) jako mylący i proponując w zamian *Christotokos* (gr.: rodzicielka Chrystusa). Na soborze efeskim (431), zdominowanym przez biskupa Cyryla, patriarchę rywalizującej z Konstantynopolem i Antiochią Aleksandrii, Nestoriusza potępiono, usunięto z urzędu i wygnano. Prześladowani nestorianie uciekli do Persji, skąd prowadzili intensywną akcję misyjną na wschodzie, od Azji Środkowej po Chiny. [przypis edytorski]

czynach Fra Diavolów<sup>72</sup> gór Armenii. Będziemy też, oprócz Czerkiesa, zaopatrzeni w innych zbrojnych opiekunów w osobach dwóch tureckich żołnierzy, specjalnie funkcje konwoju pełniących, a zwanych *zapties*. Można się przestraszyć ich nędznego wyglądu, lecz bynajmniej nie ich wojowniczej postawy.

Aby siły i energię pokrzepić w drodze, kupujemy w jakimś sklepie armeńskim na wagę złota kilka butelek wytrawnego wina i koniaku. Potrzebne to tym bardziej, że zapowiadają się w górach silne zimna.

Mustafa nas opuszcza. Krąży on od lat niepamiętnych między Trebizondą i Erzerumem i nigdy dalej nie wyrusza. Przyprawia nas swego zastępcę, Alego, młodego Tatara o głupiej, księżycowo okrągłej twarzy. Z prawdziwym żalem rozstajemy się z naszym starym, nagradzając hojnym baczyszem jego mistrzowską umiejętność powożenia.

Mustafa przychodzi z rana w dniu wyjazdu, aby nas jeszcze pożegnać. Szwargocze mi długie życzenia, z których cośkolwiek zaczynam już rozumieć. Obdarza nas epitetami mającymi świadczyć o sile jego uczucia, kiwa kudłatym łbem w baraniej, postrzępionej czapie i czule się uśmiecha bezzębnymi ustami, których grymas przechodzi w błogie rozpromienienie, kiedy w ostatniej chwili otrzymuje jeszcze dużą paczkę tytoniu.

Wyruszamy z Erzerumu 7 listopada. Dziesięć dni podróży dzieli nas od nowego większego etapu, którym będzie Bajazyd. Opuszczamy stolicę Armenii z przeświadczeniem, że w czeluściach gór czyhają groźni i waleczni Kurdowie.

Zmiana furgondzego<sup>73</sup> na dobre nam nie wychodzi; przekonywamy się o tym boleśnie i dotykalnie. Opuściliśmy Erzerum o dziewiątej z rana w smutny i szary dzień jesienny. Niebo rozplakane, pada drobny, gęsty deszczyk, siekący twarz przy podmuchach ostrego wiatru. Toteż po półgodzinnym narażaniu jej na zjednoczone złośliwości ulewy i wichury odwracamy się tyłem do koni, tym bardziej że i krajobraz niczym wzroku nie nęci. Nagle rozlegają się krzyki, trzask i łomot piekielny. Zanim zdążyliśmy zrozumieć co nam grozi, leżymy już pod mnóstwem pak, przygnieceny przez konie. Furgondzi i jego pomocnik zdążyli byli zeskoczyć. Szczęściem skończyło się wszystko na przykrew chwili strachu, przez którą przemknęło przez myśl całe życie i śmierć w oczy zajrzała. Gdy wydobywają nas spod pak, których sam ciężar mógł zabić, a które szczególnym zrzędzeniem losu ułożyły się nad nami, tworząc jakby bardzo niskie sklepienie — okazuje się, że nie jesteśmy nawet zbytnio potłuczony. Za to z prowizjami naszymi źle się bardzo dzieje. Dobre wina, które miały wzmacniać, podręczna apteka — wszystko przepadło z kretesem. Czerwony strumyk burgunda<sup>74</sup> splywa po spadzistej drodze, niosąc z sobą szkła odłamy.

W najgorszym jednak stanie jest sam furgon. Woźnice wszystkich trzech pojazdów, Czerkies i żołnierze zabierają się do naprawy z całym arsenałem ciesielsko-stolarskich przyrządów, które każdy ze sobą wozi. Po trzygodzinnej pracy, której towarzyszy niezbędny akompaniament krzyków i kłótni — arka Noego gotowa do dalszej drogi. Jakkolwiek przez owe trzy godziny używaliśmy rozkoszy świeżego, górskiego powietrza pod potokami rozhulanego na dobre deszczu, jednakże wolimy nie korzystać nadal z tychże rozkoszy i iść piechotą, niż wsiąść do furgonu. Czerkies zaprasza nas do swej hanum, lecz dnia tego wszystkich pojazdów się boję. Większe mam do swych nóg niż do tych wehikułów zaufanie.

Chcąc opisywać dzień po dniu drogę między Erzerum i Bajazydem, zbyt często musiałabym się powtarzać. Znów przez dni dziesięć będą nas budzić o czwartej lub piątej z rana, by wyjechać o siódmej lub ósmej. Droga nie biegnie już wzdłuż skłonów gór, lecz nieskończenie jest gorsza od tej, która przez Antytaurus szła do Erzerumu. Nie ma już nawet właściwie drogi; tylko słupy telegraficzne wskazują kierunek, w którym jechać należy. To toczymy się po płaszczyźnie, to trzęsiemy się po wąwozach, to wdzieramy się na wyżyny. Nieraz wjeżdżamy na górę tak stromą, że zdaje się niepodobieństwem, by jakiś pojazd, a w dodatku ciężko naładowany mógł się na nią dostać. Kiedy jednakże docieramy do jej szczytu i widzimy, z jakiej pochyłości trzeba będzie w dół sunąć, wjeżdżanie owo wydaje się zabawką. Furgony wciąż stają, a furgondzi wciąż kopią, zagrzebują wyboje, usuwają stopy kamieni zawalających drogę. Ciężkim trudem zarobią swe pieniądze. Od-

<sup>72</sup>*Fra Diavolo* (wł.: Brat Diabeł), właśc. *Michele Pezza* (1771–1806) — włoski bandyta, który podczas wojen napoleońskich stanął na czele neapolitańskiego ruchu oporu przeciwko okupacji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*furgondzi*, *arabaczci* — woźnica furgonu, arabatu. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*burgund* — francuskie wino z Burgundii. [przypis edytorski]

Niebezpieczeństwo

Podróż

przegają też wciąż konie od jednego wozu, by je przyprząc do drugiego; pomagają sobie wzajemnie.

Widzę, że o ile w tych górach podróżuje się nie konno, lecz jakimkolwiek pojazdem, należy zawsze wybierać się z najmniejszą choćby karawaną. Inaczej przychodzi stać w miejscu bezsilnie i bezpomocnie całymi godzinami, zanim jaka ludzka dusza zjawi się z pomocą. A wypadków zawsze spodziewać się trzeba — są one wprost nieuniknione. Nie mówiąc już o nas samych, widziałam przez tych dni kilkanaście, mnóstwo arabatów, ugrzęźłych w błocie lub wywróconych, przy których ich woźnice wyczekiwali z rezygnacją zjawienia się jakiej ludzkiej istoty, którą Allah zechce zesłać im na pomoc. Allah nie zawsze się z tym spieszył, bo drogi tu są puste i ruch znacznie mniejszy niż między Trebizondą i Erzerumem. Prawdopodobnie większa część karawan handlowych do tego miasta dociera.

Do naturalnych przeszkód gruntu, czyniących podróż niezmiernie uciążliwą, dołączają się dolegliwości atmosferyczne, które w tej porze roku hojnie zsyła niebo. Nastąpiła nagle i gwałtowna zmiana temperatury. Od wyjazdu z Erzerumu aż do Teheranu kroczy za nami zimno przeraźliwe, a gdy mróz zelży, smaga deszcz lub chłoszczę wichura. Chmury spadają wciąż ulewą lub śnieżycą, a potoki niebieskie, wsiąkając w grunt rzadki i gliniasty, zamieniają drogi w przepaściste bagna, przez które brną mozolnie biedne konie, zapadając się w wybojach niezliczonych.

Ja po niefortunym wywróceniu naszego woziska straciłam całkowicie zaufanie do Alego, którego niedołęstwo jest zresztą kolosalne. Toteż przeważnie idę piechotą, wsiadając do furgonu od czasu do czasu, gdy droga jest zupełnie pewna lub gdy turecka hanum pożycza nam uprzejmie swego furgondzi, młodego Kurda o ślicznej, zuchwałej twarzy i wesołym, dzieciennym prawie uśmiechu.

Kurd powozi nie gorzej od starego Mustafy. Niestety, z rzadka nam go ustępują. Toteż bez przesady powiedzieć mogę, że połowę przynajmniej przestrzeni między Erzerumem i Bajazydem przebyłam na własnych nogach. Naśladują mnie często inni podróżni trzech furgonów, z wyjątkiem pułkownikowej i jej najstarszej córki. Obdarzone imponującą dozą przesądnego spokoju, niewiasty te ufają, że spotkać je może to tylko, co zapisane jest w księdze przeznaczeń — Kiszmet. Wysiadają więc jedynie na stanowcze i wyraźne żądanie woźnicy.

Dla nas na tę część podróży przeznaczenie odwróciło widocznie czarną stronę utrapień. Czwartego bowiem dnia furgon wywraca się powtórnie. Wyjechawszy z rana ze stacji Eszel-Giejda, której ortografii nie gwarantuję<sup>75</sup>, ciągniemy do nowej wioszczyzny, Täheru<sup>76</sup>, gdy nagle dwie góry, jak dwie olbrzymie głowy cukru, stają przed nami. Pchane z tyłu przez zjednoczone męskie siły naszej karawany furgony wjeżdżają na szczyt pierwszej góry; dwa z nich zjeżdżają z niej szczęśliwie przy pomocy tychże cennych sił męskich, uwieszonych teraz z tyłu i zastępujących swymi postaciami hamulce pojazdów cywilizacyjnych. Kobiety i dzieci, cały ładunek ludzki furgonów, idzie piechotą, skarżąc się żałośnie na zimno i zmęczenie.

Alemu, zrodzonemu pod złą gwiazdą, nie jest dane podolać zadaniu zjechać w dół, nawet ze wszystkimi Husainami i Abbasami, zawieszonymi u kabłąka furgonu. Wozisko wywraca się z powtórным hałasem i hukiem; łańcuchy przytrzymujące pakunki pękają, siejąc w biegu kufry, pudła, walizki; furgon wali się bokiem na ziemię.

Rozpęd był tak potężny, że pokrywy dwóch kufrów wyskoczyły z zawias, rzeczy sypią się w gęste błoto. Jakaś drewniana skrzynka, zmiażdżona doszczętnie, wyrzuca ze swego łona potłuczoną lampę i smutne skorupy pozostałe z talerzy jej pieczy powierzonych.

Lecz nauczyliśmy się już przyjmować przeciwności z niezmałonym spokojem. Los strzeże nas zresztą od najgorszej z przewidzianych niespodzianek: Kurdowie nie ograbili nas dotąd ani nie okaleczyli. Dobre i to!

<sup>75</sup> *Eszel-Giejdas, której ortografii nie gwarantuję* — w Imperium Osmańskim używano zmodyfikowanego alfabetu persko-arabskiego, stąd dla mało znanych miejscowości nie istniały ustalone sposoby zapisu ich nazw w językach europejskich i autorka zapewne starała się zapisywać je ze słuchu; obowiązujący obecnie w Turcji alfabet oparty na alfabecie łacińskim wprowadzono w roku 1929. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *Täher* — dziś popr.: Täher, w dystrykcie Eleşkirt, dawniej na szlaku z Erzurum do Persji, który przesunął się do doliny Şeryan, 3 km dalej na południe. [przypis edytorski]

Ponieważ furgondzi przebywają wprost drogę w ciągłym wysiłku rąk i grzbietów, więc przybywamy na noclegi o późnych, ciemnych godzinach. W górach noc schodzi nagle, przez zmierzch niepoprzedzona, a gdy jej cienie zalegną przestworza, gdy w przepaściach wąwozów czarno jak w piekielnych otchłaniach — posuwać się naprzód trudno jest i niebezpiecznie. Latarnie przy furgonach, rozumie się, nie istnieją. Jak daleko wzrok sięga, nie widać chaty ni ognia. Jedyne spotykane z rzadka ludzkie siedziby są te, w których nocujemy. Okolice to zupełnie niezamieszkałe. Na Armenię turecką i Kurdystan, o obszarze 231 tysięcy kwadratowych kilometrów, przypada dwa i pół miliona ludności. Zważywszy przy tym, że ludność skupia się przeważnie w miastach, łatwo sobie wyobrazić, jaką pustynią<sup>77</sup> są te obszary.

Do wiosek dostęp coraz niedogodniejszy. Okropny stan dróg sprawia, iż furgony zatrzymywać się muszą o paręset kroków od osad. Więc kierując się słabymi światełkami migoczącymi z dala niepewnym blaskiem, utykamy w dziurach, skaczemy przez kałuże, w których używamy przymusowych kąpeli i docieramy wreszcie do nędznych chałup tych tureckich lub kurdzkich wiosek, gdzie po dłuższych pertraktacjach pomiędzy Czerkiesem, żołnierzami i mieszkańcami ci ostatni zgadzają się wreszcie lokować nas z sobą i bydłem w kurnych, w ziemi na pół ukrytych chatach. Z daleka taka wieś wygląda na szereg z lekka falujących pagórków. Przez niskie drzwiczki schodzimy po schodach w dół do niewielkiej sieni, za którą idzie izba, rozdzielona przepierzeniem, sięgającym do połowy wysokości, pomiędzy ludzi i trzodę. Tłumaczą nam, że sąsiedztwo krów i owiec grzeje lepiankę w zimie.

Dom

Przepierzenia, a nieraz i ściany nędznych tych izdebek rzeźbione są najczęściej w ażurowe, niepozbawione fantazji i piękności linii arabeski. Każdy pastuch rodzi się widać na Wschodzie trochę artystą. Te skromne rzeźby są całą ozdobą i całym umeblowaniem domostw; obecność istot ludzkich zdradzają jeszcze zaczerwionione od sadzy garnki i kilka łachmanów, zdartych i wystrzępionych, w które się na noc do snu zawijają. Jedyna to ich pościel.

Powiedziałam już, że wieś jest jak szereg pagórków falujących. Wzgórza te przedstawiają dachy chałup ulepione z gliny, błota i gnoju. W każdym z nich znajduje się jeden otwór służący za okno, drugi za komin.

Wieś

Przy lepiankach leżą wysuszone w okrągłe tafelki małe stożki gnoju, stanowiącego jedyny opał. Ta część Małej Azji jest bowiem najzupełniej z drzew огоłocona. Nigdzie nie spotykamy tam lasu, ani choćby małej kępy drzew; nigdzie najmniejszego krzaczka.

Do podpalania ognia używają suchych krzewów lawendy i róży jerychońskiej<sup>78</sup>. Ta róża biblijna przedstawia się bardzo niefortunnie. Słyszac melodyjnie brzmiący wyraz, chciałoby się, aby wyraz ten określał roślinę piękną, barwną, przesycającą powietrze cudną wonią. Tymczasem ładną i zwodniczą nazwę nosi suchy, kłujący jak jeż krzaczek o lotnych jak puch białych kwiatkach; nagromadzają tego w chatach całe stosy, aby niecić pożary gnojowego ognia.

Nie jesteśmy we właściwym Kurdystanie, lecz przeważnie trafiamy po drodze na wioskę kurdzkie i spotykani przez nas podróżnicy są też prawie bez wyjątku Kurdami. Poza pasterzami bowiem, którzy w tych górach osiedli, wałęsa się w nich mnóstwo koczowników. Czyżby godziny dni naszych były policzone?... Czekamy napaści. Uzbrojono nas przecież w przewidywaniu jej w dwa olbrzymie rewolwery i zaopatrzone w dwóch zapties, mających strzec bezpieczeństwa. Bohaterscy ci wojownicy jadą wprawdzie zwykle o parę kilometrów przed nami, są więc właściwie nieistniejącą zupełnie ochroną. A rewolwery? Czerkies tłumaczy nam, że w razie napadu nie powinniśmy strzelać pod żadnym pozorem. Kurdowie bowiem dorównywają szczęśliwej pamięci Tellowi<sup>79</sup> w sztuce celowania i zglądzą niechybnie ze świata nieostrożnego zuchwalca, który by bronić się próbował.

Niebezpieczeństwo

<sup>77</sup>pustynia (daw.) — każde pustkowie niezamieszkałe przez ludzi, niekoniecznie pozbawione roślinności. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>róża jerychońska — zmartwychwstanka, roślina pustynna, która w czasie suszy zwija gałązki, tworząc kulkę, niekiedy odrywając wiatr od podłoża i toczącą się po pustyni, zaś w czasie deszczu z powrotem rozwija gałązki. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Tell, Wilhelm — legendarny bohater szwajcarski; wślwił się tym, że wystawiony na próbę stracił strzałą z luku jabłko położone na głowie swego syna, nie czyniąc chłopcu krzywdy. [przypis edytorski]



Najlepiej jest dać rozbójnikom obedrzeć się spokojnie do nitki; jedyny to sposób ujęcia cała dla tych, którzy życie więcej nad błahość dóbr ziemskich cenią.

Nie powiem, ażebyśmy po tych ostrzeżeniach mniej drżeli o nasze ziemskie powłoki.

Nie chcąc się mijać z prawdą, muszę wyznać, że z niekoniecznie przyjemnym uczuciem mijaliśmy owych niezrównanych strzelców, obwieszonych bronią z najlepszych angielskich fabryk i spode łba złowrogo na nas spoglądających.

Na noc, jak już to powiedziałam, zajeżdżamy do wiosek kurdzkich. Zamknięci razem z gospodarzami w ich norach podziemnych, jesteśmy całkowicie na ich łasce i niełasce. Obsiadają nas naokół, śpią przy nas, mają nas w swej mocy. Lecz widocznie śmierć i obłupienie nie są nam przeznaczone. Kurdowie zachowują się wobec nas uprzejmie; nie zdzierają nas nawet więcej za izbę i strawę niż Tatarzy i Armenńczycy.

Na każdym noclegu cała wioska schodzi się nas oglądać. Widać, że Europejczycy nigdy tu nie docierają. Kobiety otaczają mnie kołem natrętym; dotykają każdej części ubrania, obwąchują, kręcą głową i mlaskają językiem. Czekam tylko, kiedy zaczną przeprowadzać rękę po twarzy, aby sprawdzić czy mam taką jak one skórę. Wybuchają też wciąż szczerym i naiwnym śmiechem: kapelusz, woalka, kołnierz futrzany, mufka wprawiają je w osłupienie graniczące z nieprzytomnością. Czy wydobędę grzebień, czy lustro, czy neseser podręczny, czy jakikolwiek drobiazg — krzyczą głośno i coraz namiętniej mlaskają. Przesiadują tak nad nami przez całe godziny. Najczęściej znikają dopiero wtedy, kiedy Czerkies, który zjawia się na pogawędkę i herbatę, całe zgromadzenie za drzwi wyrzuca.

Typ męski i kobiecy Kurdów jest piękny i nerwowy. Twarze ściągłe, o regularnych rysach, śliczne zęby, przepyszne czarne oczy. Kobiety nie noszą zasłon na twarzy; owijają tylko głowę chustkami, których końce w tył fałdami spływają. Dziewczęta zawieszają nad czołem frędzle cekinów, monet i różnych tanich błyskotek, wplatają też te świecidełka w warkocze. Uczesanie to odbija malowniczo od jaskrawości kostiumów i ładnych, śniadych twarzy.

Obcy

\*

Parę szczegółów o samej drodze. Drugiego dnia podróży jesteśmy przy Araksie, który niedaleko stąd źródła swe bierze. Dwa na w pół zburzone mosty pamiętają podobno dawne wieki. Trzeciego dnia w poprzek naszej drogi płynie czerwona zupełnie rzeka, o łożysku zarzuconym wielkimi płytami kamieni. Koniska nasze brną przez gęstą, krwawą, a raczej ceglastej barwy wodę, furgon trzeszczy, objając się o kamienie, jak gdyby za chwilę miał się rozpaść w kawałki. Wysiądź niepodobna, a przy okropnej szarudze, która nam stale od Erzerumu towarzyszy, kąpiel w wezbranych nurtach byłaby już dodatkiem zgoła zbytecznym. Tegoż dnia zatrzymują nas dwukrotnie imponujące wertepy i rozdoły. Furgondzi torują i rozkopują drogę.

Rzeka

Innego znów popołudnia chwytą nas w otwartej na wszystkie wiatry płaszczyźnie rozszalała zamieć śnieżna, smagając twarz tumanami ostrych pyłów; rozciągają się gęste tumany między nami a tym, co się o kilka kroków dzieje. Błąkamy się przez godzin parę, bo nie widać nawet słupów telegraficznych wskazujących woźnicom kierunek. Wreszcie docieramy do osady, w której przyjmują nas na noc.

Nazajutrz, gdy przychodzi wyruszyć dalej, dowiadujemy się, że droga do następnej wioszczyzny, Kurdali, znajduje się w tak opłakanym stanie, że konie nasze nie podolają zadaniu uciągnięcia furgonu z całym jego ładunkiem. Najmujemy więc dwa arabaty, zaprzężone każdy w cztery woły, aby przewieźć bagaże. Sami zostajemy w furgonach, mimo iż nieszczęsne woziska skaczą, zgrzytają, chylą się na bok niemożliwie.

Nie mamy jednak odwagi iść piechotą po tragicznie grząskim błocie. Furgondzi zużywają dnia tego cały swój zapas gardłowych krzyków i dzikich nawoływań. Nigdy jeszcze od wyjazdu z Erzerumu nie dali dowodu równej energii, nigdy też nie mieliśmy przez kilkanaście z rzędu kilometrów drogi równie karkołomnej.

Tegoż dnia pod wieczór odkrywa się przed olśnionymi oczami widok wspaniały. Z lewej strony ciągnie się łańcuch gór dzielący prowincję Kaukazu od tureckiej Azji; przed nami wznosi się w blasku i chwale, odosobniony od otaczających szczytów, królujący nad całym krajobrazem Ararat, uwieńczony niepokalaną glorią wieczystych śniegów. Żadna

Góra

góra nie wywarła dotąd na mnie silnego wrażenia: lubię płaszczyzny i bezbrzeżne, szerokie horyzonty. Ale Ararat wzrok ciągnie i na długo go przykuwa. Jest wyniosły, majestatyczny, potężny. Może też wszystkie legendy przez zamierzchłe epoki ludzkości przywiązane do tej góry ubierają ją jeszcze w czar szczególnie.

Z prawej strony Araratu, choć dość odległy leży Erywań, stolica rosyjskiej Armenii. Według dawnej tradycji miasto zajmuje pierwszy suchy płat ziemi, który Noe dostrzegł z wierzchołka świętej góry, gdy wody potopu opadły.

O kilkanaście wiorst od Erywania, zbudowany jakoby na miejscu raju ziemskiego, rozłożył się Eczmiadzin<sup>80</sup>, ze słynnym klasztorem, miejscem pobytu katolikosa, głowy kościoła armeńsko-gregoriańskiego. Tu Noe posadził po potopie pierwszy krzew winny. W skarbcu katedry eczmiadzińskiej przechowują troskliwie odłamek arki: anioł przyniósł go św. Grzegorzowi, patronowi Armenii, aby go pocieszyć po nieudanej próbie wejścia na świętą górę. Za naszych czasów góra stała się łaskawsza nawet dla pospolitych śmiertelników, kilku już turystów dosięgnęło jej wierzchołków, między innymi rodak nasz Chodźko.

Ararat ma formę wyraźnie wulkaniczną — obciętej piramidy. Wierzchołków posiada dwa, jak gdyby szczyt był rozszczepiony.

Przez trzy dni ciągle go mamy przed sobą; wciąż nam potęgą swą imponuje. Zachodzące słońce kładzie na górę cudowne blaski i cienie. U podnóża ścielą się fioletowe smugi, wyżej srebrzysto-niebieskie, wyżej jeszcze zielonkawo-różowe. Gdy zmierzch zapada, spowija się Ararat w ciemnoszafirowych mgieł zasłony.

Szóstego dnia zatrzymujemy się na nocleg w niewielkiej osadzie armeńskiej, gdzie zastajemy dwóch młodych, dość eleganckich oficerów tureckich, wysłanych na spotkanie naszej pułkownikowej z pogranicznego miasteczka Karakilis<sup>81</sup>. Podobno ta część drogi jest najniebezpieczniejsza. Kurdowie zasiedli w wąwozach i czatują na podróżników. To też towarzyszyć nam będzie oprócz oficerów i naszych zwykłych zapties trzech nowych żołnierzy.

Młodszy adiutanci mają towarzyszką oglądę; wysławiają się dość poprawnie po francusku, zajmują się nami z niezwykłą uprzejmością. Jeden z nich jest synem komendanta wojskowego straży granicznej. Wyruszamy z rana pod liczną eskortą; mogą nas Kurdowie napadać. Droga jest usiana licznymi żużłami pochodzenia wulkanicznego. Nic w tym dziwnego: naokół ze wszystkich stron widnieją wygasłe kratery. Martwa cisza zaległa powietrze. Spokojnie, szczęśliwie i cało dojeżdżamy przed nocą jeszcze do Karakilis.

Miasteczko to niebrzydkie, o szerokiej głównej ulicy i względnie czystych domach. Skala moich wymagań po trzech tygodniach podróży spadła ogromnie, łatwo więc się zadowolę. W Karakilis istnieje kawiarnia, a w kawiarni nawet bilard. Tam nas tedy lokują i zaledwie rozeszła się wieść o naszym przybyciu odbieramy wizyty wszystkich przedstawicieli miejscowej inteligencji: dwóch lekarzy wojskowych, aptekarz, inżynier i paru wyższych oficerów, którzy ofiarowują nam swe usługi.

Ledwie zdążyliśmy rozłożyć manatki, już przynoszą na olbrzymiej tacy dziesięć przynajmniej potraw, zwyczajem wschodnim podanych jednocześnie. Ucztę tę przysłał Haki-Basza, komendant granicy, ojciec owego młodego oficera, który nam towarzyszył. Inżynier i jeden z doktorów dostarczają znów pościel świeżej, czystej, której rozkosze ocenić dopiero mogą należycie ludzie oznajmieni z kurną chatą.

Mówiłam już o gościnności Turków i muszę się powtarzać, by stwierdzić nowe jej przejawy. W Karakilis zatrzymują nas przemocą na dzień następny, dowodząc słusznie, że zwierzęta i ludzie gonią sił ostatkiem. Z domu komendanta przysyłają w południe i wieczorem posiłki tak obfite, iż połowy potraw nie tykamy. Tureckie przysmaki, którymi pogardziłabym w Paryżu, wydają mi się lepsze nad najwykwintniejsze specjały od Parliarda i z „Café Anglais”. Nowi znajomi nie opuszczają nas prawie, a piją znakomicie, nie pomni

<sup>80</sup> *Eczmiadzyn* — ob. Wagharszapat, miasto w Armenii, nad granicą z Turcją, 18 km na zach. od Erywania; znajduje się w nim najstarsza i najważniejsza świątynia ormiańska, będąca jednocześnie najstarszą katedrą na świecie, zbudowana w 301–303 n.e., zaraz po tym, jak król Tiridates III jako pierwszy władca w historii przyjął chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *Karakilise* — ob. Ağrı, stolica prowincji w Turcji, niedaleko od granicy z Iranem; używana w czasach osmańskich nazwa, oznaczająca „czarny kościół”, pochodziła od średniowiecznego kościoła ormiańskiego. [przypis edytorski]

zgoła przykazań Mahometa. Koniaki, araki i mastyk<sup>82</sup> znikają błyskawicznie w otchłaniach ich gardła.

Karakilis jest posterunkiem granicznym, gromadzącym dość znaczną ilość sił wojennych. Stoi tu zawsze załogą parę pułków, co nadaje miasteczku pozory życia. Istnieje nie najgorszy bazar, w którym czynimy kilka zakupów.

Wyruszamy dalej o szarym brzasku, lecz i doktorzy, oficerowie i inżynier czekają już przed kawiarnią, by nas pożegnać. Widzę małżonka naszej hanum, który przyjechał tu po nią. Postać to ordynarna, mrukliwa, barczysta i czerwona. Zamieniamy bez entuzjazmu parę zdań lakonicznych. Jutro staniemy w Bajazydzie. Tam furgon nas opuszcza. Stamtąd do Tebrysu marzyć nie można o jakichkolwiek pojazdach. Kręte ścieżynki, pnące się po urwistych skałach, stanowią jedyną drogę poprzez rozległe przestrzenie perskiego Kurdystanu i prowincji Azerbejdżanu. Trzeba będzie podróżować konno, na osłach lub mułach.

Zamiast jednej, dwie jeszcze noce spędzamy w nędznych kurdzkich legowiskach. Wydaje mi się już wreszcie, że te noclegi w półoborach są w najzupełniej naturalnym porządku rzeczy.

Oto na tle czerwono krwawych gór widnieją mury Bajazydu. Dojedziemy tam za dwie lub trzy godziny.

#### IV

*Bajazyd. — Pobyt u Dżiber-beja. — Awadżyk i przyjęcie u paszy-Khana. — Droga do Khoj.*

Bajazyd, wysoko w górach położony, twardo odrzyna się od ich tła czerwono krwawego, przypopielonego szarym pyłem. Wszystkie szczyty naokół biją tą krwawą luną, która przesycza powietrze i kładzie dziwne cienie na ubogie domostwa mieściny.

W oddalonej przeszłości Bajazyd znał dni potęgi. Uczepione u skał jak orle gniazdo, miasto miało podobno 10 tysięcy domostw. Dziś liczy zaledwie dwieście nędznych lepianek. Ruiny fortecy i warownego zamku wieńczą jeszcze szczyt góry wznoszącej się nad nim.

Przeszło przez dwie godziny pniemy się po stromych zboczach i wciąż wydaje nam się, że miasto tuż przed oczyma. Furgon staje wreszcie na środku małego placu. Spodziewamy się wtedy, że dwa drugie wehikuły znikną. Zniknął i Czerkies, który musiał iść za hanum i jej małżonkiem.

Decydujemy się wysiąść, lecz nie wiemy, co począć z sobą. Otacza nas gromada ciekawych, których intrygujemy bardzo, ja szczególnie. Niewesoło jest być europejską kobietą w górach Małej Azji!

— Państwo podróżni? Spodziewacie się tu może hotelu? — odzywa się ktoś za nami, wysławiając się wcale przyzwoicie po francusku.

Oglądam się. Widzę mężczyznę lat 40, o miłej, otwartej fizjonomii. Ubrany jest w mundur oficera armii tureckiej.

— Moglibyście noc całą tak przestać, bo w Bajazydzie nie ma ani jednego zajazdu. Ufam więc, iż zechcecie przyjąć gościny w moim domu — dodaje z ujmującym uśmiechem nasz interlokutor<sup>83</sup>. — Nie obiecuję pani komfortu — zwraca się do mnie — o którym tu marzyć niepodobna. Ciasno u mnie i niewygodnie, lecz ciepło i czysto.

Nalega bardzo, a my też nie pozwalamy się prosić zbyt długo. Idziemy więc za owym naszym zbawcą do szarego niskiego domostwa, w którego podwórzu sługa oprawia barana. Małeńka sionka prowadzi do pokoju zasłanego puszystym dywanem, umeblowanego po europejsku i rozkosznie ciepłego i wesołego. Na kominku bucha ogień, przed nim doskonały fotel, w którym mnie gospodarz usadawia. Krząta się sam, napędza służących, by prędzej obiad gotowali, przynosi koniak, zakąski, nalewa z samowaru herbatę.

Dopiero przed chwilą dowiedział się, kim jesteśmy, a nieznanym przygarnął. Może to zwyczajny ludzki obowiązek w takich zapadłych kątach świata. Może... lecz niewiele

Gospodarz

<sup>82</sup>mastyk — rodzaj anyżówki [dziś: *mastika*; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>83</sup>interlokutor (daw., z łac.) — rozmówca. [przypis edytorski]

z pewnością ludzi umie go wypełniać z tak serdeczną dobrocią z tak nieopisaną delikatnością. Pielęgnuje nas jak ojciec najczulszy niedołążne, słabe dzieci. Zajęty jest nami od rana do nocy, prowadzi nas do miejscowych dygnitarzy, do konsula perskiego, do naczelnika miasta. Sam robi wszystkie zakupy na dalszą drogę, najmuje czerwadarów<sup>84</sup>, a targuje się z nimi zawzięcie, jak gdyby o jego własną kieszeń chodziło.

Pocziwy, drogi nasz opiekun nazywa się Dżiber-bej i jest pułkownikiem w armii tureckiej (podczas naszego pobytu w Persji został generałem<sup>85</sup>). Od miesiąca zaledwie przybył sam z Konstantynopola. Bajazyd, tak jak Karakilis, posiada dość znaczną załogę wojskową, która ożywia nieco jego głuchą martwość.

Kurdowie w górach nie próżnują. Nas tylko jakoś szczęśliwie dotąd oszczędzali. W przededniu naszego przybycia obdarli doszczętnie o kilka wiorst od Bajazydu kupca, Turka, który powrócił tu w adamowym stroju. Dżiber-bej poważnie żywi obawy o nasze dalsze losy i toczy długie rozprawy z konsulem perskim. Czerkies, który po całych dniach tu przesieduje, chcąc się nacieszyć jeszcze nami, gdyż szczerze do nas przyłgnął, żywy bierze udział w tych dyskusjach. Decydują wreszcie, że przebędziemy kęs drogi pomiędzy Bajazydem i Khoj<sup>86</sup> konno i najmują dwa konie dla nas, a cztery pod bagaże! Prowadzić nas będzie dwóch tatarskich czerwadarów o twarzach chmurnych i dzikich.

Za eskortę mamy trzech zapties, z których jeden opuści nas dopiero w Khoj, podczas gdy dwaj inni zmieniać się będą na każdym etapie. Dżiber-bej i konsul zaopatrują nas w listy do kilku dostojników perskiego pogranicza; żona Dżiber-beja przygotowała nam sporą ilość prowizji. Bo nasz pułkownik ma brzydką, ospowatą małżonkę, z którą kilkanaście razy dziennie zamieniamy czule uśmiechy i wciąż jedne zdawkowe frazesy grzeczności.

Trzy dni zeszyły nam na przygotowaniach. Wyjeżdżamy z Bajazydu w chłodny poranek zimowy. Pułkownik i Czerkies odprowadzają nas o parę wiorst za miasto. Dopiero rozstając się z nimi, wsiadamy na koń; ja, notabene, po męsku, bo o kobiecym siodle marzyć nawet nie można w Bajazydzie.

Przykre wspomnienia zachowałam z tych kilku dni podróży. Beznadziejny smutek wieje od nieba, od żaloby obłoków niosących śnieżne zawieje, od gór ponurych, których nie rozwesela żadna roślinność... Nasza nędzna gromadka zdaje się być zgubiona w tych rozpadlinach i wąwozach. Naszych czerwadarów nie chciałabym spotkać wieczorem na samotnej drodze.

Przystajemy raz po raz; Tatarzy i żołnierze zbierają chrusty i niecą ogień, aby choć przez chwilę rozgrzać skostniałe członki. Pijemy *raki* jak wodę, lecz nasi przewodnicy i zapties, strzegący widać ściśle przepisów Koranu, nie chcą nawet umoczyć ust w zakazanym trunku.

Pierwszego już dnia mieliśmy stanąć na perskiej ziemi w pogranicznej osadzie Awandżyku<sup>87</sup>. Ale w południe zaczyna się srożyć straszna zawierucha, śnieg sypie kurzawą, wichura gna tumany białych pyłów. Spotykamy na szczęście jakąś kurdzką lepiankę zgubioną w czystym polu. Sklecona jest z wielkich głazów i pokryta słomianą strzechą. Wewnątrz zimno przejmujące; śnieg wpada przez szczeliny ścian i dachu. Nie kładziemy się wcale, bo nie ma się gdzie wyciągnąć. Przez całą noc płonie nawóz i chrusty. Zamieć wciąż szaleje, o świcie dopiero wiatr cichnie nieco, lecz śnieg wciąż pada wielkimi, cichymi płatami. Trzeba odwagi, ażeby dalej jechać, tak nam jednak pilno do Awandżyku, pierwszej przystani na ziemi perskiej, gdzie już będziemy u siebie, że wyruszamy w drogę, przewyciężając opór zapties i czerwadarów.

Przez cztery godziny brniemy przez śnieg i śniegiem zasypani, krok za krokiem, powoli, mozolnie. Wreszcie widzę z dala długie rzędy topoli, dom wielki na tle ogrodu. Zapachniał mi ojczystym krajobrazem, wiejskim dworem tulącym się w klombie drzew olbrzymich.

Podróż

<sup>84</sup>*czerwadar* — przewodnik. [przypis autorski]

<sup>85</sup>*generał* (daw.) — generał. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*Khoj* — dziś popr.: Choj, miasto w Iranie, w prowincji Azerbejdżan Zachodni; ok. 200 km na pld.-wsch. od tureckiego Doğubayazıt (dawnego Bajazyd). [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*Awandżyk* — być może ob. Aşağıtavla, wioska w Turcji, ok. 20 km na wsch. od Doğubayazıt (dawnego Bajazyd). [przypis edytorski]

Niestety, radość przedwczesna. Haki-pasza, znany w Persji bogacz i gubernator pogranicza, więcej jeszcze niż z fortuny słynie z potwornego skąpstwa. Przekonywamy się dowodnie, że na reputację taką zasługuje w zupełności.

Potentat ten przyjmuje nas w orszaku sług z wielką godnością, z pięknymi ukłonami i z długą przemową, w której rozwodzi się nad zaszczytem, jaki spływa na Persję z przyjazdu wielkiego francuskiego okulisty. Zaledwie skończył, prowadzi mnie do *enderumu*, kobiecej części domu, nie dawszy nam ani ogarnąć się, ani wypocząć. Przechodzimy przez obszerny ogród, w głębi którego wznosi się dość okazała budowla. Przebywa w niej żona Haki-paszy, jej dzieci i jej służba.

Przed drzwiami stoi szereg większych i mniejszych trepek<sup>88</sup>. Gdy pan domu ze mną wchodzi, wszystkie kobiety z wyjątkiem jego żony i córki opuszczają szybko na twarz zasłony. Wszystkie też, nie wyłączając nawet małżonki, powstają, chyląc głowę w kornej pozie.

Hanum jego jest olbrzymia i potężnie tłusta niewiasta; kostium jej przypomina ubranie naszych baletniczek. Na karykaturalnych nogach ma bawełniany trykot; na biodrach kołysze się króciutka a nadzwyczaj fałdzista spódniczka ze sztywnej materii. Krótka koszula, uwydatniająca jej rozsadziste kształty, spada na spódniczkę. Na koszulę nadziany jest otwarty z przodu kaftan z wytłaczanego aksamitu. Włosy hanum spadają na czoło krótką grzywką, z tyłu splecione są w pół tuzina przynajmniej warkoczy.

Kilka służebnych znajdujących się w *enderumie* ma kostiumy mniej dla mych oczu ekscentryczne: spódniczkę i kaftan nakrywa płaszcz, nałożony na głowę i do stóp spadający, a drapujący się dość wdzięcznie. Płaszcze te, które kobiety perskie noszą w domu, są barw żywych, szyte z muślinu lub kretonu w wielkie kwiaty. Lecz za to spod spódniczki wyglądają długie i obcisłe męskie spodnie.

Majestatyczna hanum z naiwnością prostej duszy ogląda mnie na wszystkie strony jakby dzikie zwierzątko; materiał i podszewki sukni, buciki, kapelusz, futro, wszystko ulega natrętnej inspekcji. Wreszcie ciekawa ta niewiasta dotyka mych włosów i obejmuje mnie rękoma w pasie. Uczyniwszy to, wybucha głośnym i długim śmiechem. Jedna z jej służących, Tatarka urodzona i wychowana w Tyflisie<sup>89</sup>, z którą rozmówić się mogę dość dobrze, tłumaczy mi, że moja figura i uczesanie bawią tak szczyrze jej panią.

— Ale ty nie zwracaj na nią uwagi, hanum. Ona głupia i prosta, ona nic nigdy nie widziała — pociesza mnie Tatarka. — Jej się zdaje, że ona piękna i pięknie ubrana.

Przez cały dzień hanum zasypuje mnie za pośrednictwem Tatarce szczytnie niedyskretnymi pytaniami. Dochodzę do stanu nieopisanego rozdrażnienia. Żadna dzika Kurdka nie była tak nieznośnie, tak ordynarnie ciekawą. Kilkoro zamorusanych dzieciaków, z jednym palcem w nosie, z drugim w ustach, stoi nade mną, śmiejąc się głupio jak matka. Po południu przychodzą na oględziny dorośli synowie Haki-paszy z pierwszego małżeństwa.

Nikomu nie przychodzi na myśl, że mogę być zmęczona i głodna. Bez szklanki herbaty siedzę w *enderumie* przez trzy godziny. Wreszcie wchodzi służąca i stawia przed nami na dywanie tacę. Bo zapomniałam dodać, iż całym umeblowaniem olbrzymiej sali, której przednia, na ogród wychodząca ściana stanowi piękną mozaikę różnobarwnych szybek, rzucających na ściany złoto-szafirowe cienie, jest wielki dywan całkowicie ją pokrywający. Na dywanie, w kątach pokoju, leżą materace i wałki.

Siedzimy więc na ziemi, nogi pod siebie podwinąwszy; tak też jeść będziemy.

Na tacy stoi niewielka miseczka *juburtu* i druga zimnej kapusty, gotowanej w słodkiej wodzie; dalej mały talerzyk, na którym błąka się kilka płatków konfitur z róży, wreszcie parę wielkich szmatów chleba. Sądzę, że to tylko przekąska i niechętnie zabieram się do próbowania tych zimnych przysmaków, tym bardziej że nie ma ani jednej łyżki i że pani i służące nabierają z ewangeliczną prostotą pokarm ze wspólnej miseczki palcami, pomagając sobie kawałkiem chleba skręconym w postaci łyżki. Po chwili sprzątają tacę i przynoszą herbatę. Był to więc obiad. O ósmej wieczorem karmią nas ryżem, w którym z rzadka kołaczą się kawałki kurczęcia, i znów podają herbatę w mikroskopijnych szklaneczkach.

<sup>88</sup>*trepek* — dziś popr. forma D. lm: trepków, obuwia. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*Tyflis* — ob. Tbilisi, stolica Gruzji. [przypis edytorski]

Gdy nareszcie pozwalają mi wrócić na noc do naszego wspólnego pokoju w *birunie*, męskiej części domu, rzucamy się zgłodniałymi na dobroczynną pieczeń, ofiarowaną przez naszego przyjaciela Dżiber-beja, na owczy ser, rodzenki i mastyk. Śpimy w pokoju lodowatym; Haki-pasza równie mało rujnuje się na ogrzewanie swych gości, jak na ich żywienie. Ale przynajmniej umie ich doskonale wysysać. Mąż mój musiał w ciągu dnia obejrzyć zapłakane, zapalone i zaropione oczy dziesięciu przynajmniej członkom jego rodziny — jest tam bowiem dzieci jak piasku w morzu.

Tak minął nasz pierwszy dzień na perskiej ziemi. Kilka następnych wypadło równie niefortunnie. Pośpieszam jednak dodać, że z samego pobytu w państwie „króla królów” zachowałam raczej dobre wspomnienie.

Wspominałam już, że droga do Khoj najcięższa nam była i najsmutniejsza. Wyjeżdżamy z Awadżyku rankiem mroźnym i jasnym i przystajemy w południe w małej osadzie Gareini. Do naczelnika miejscowego mamy list od Haki-paszy, żądający dla nas dwóch zapties. Gdy oddaliliśmy się już o kilka kilometrów od wioski, jedyny żołnierz i czerwadarzy wyprzedzają nas o kilkaset kroków, a zjawia się konny jakiś wojak, wytrząsając fuzją i żądając trzech franków. Oczywiście każemy mu się wynosić, bo takich obrońców znajdziemy w każdym górskim wąwozie.

Na następnej stacji miejscowy aga<sup>90</sup> przysłała się o nas rozpytać, lecz ani nas do siebie nie zaprasza, ani usług swych nie ofiarowuje.

Poszczególnych etapów tej drogi opisywać nie będę, wszystkie wioski do siebie podobne, wszystkie jednakowo biedne, nędzne i brudne. Gdy z dala je widzimy, wyglądają wesoło i zachęcająco, osadzone topolami, otoczone ogrodami drzew owocowych. Lecz ogrody należą do władz miejscowych, a władze się nami nie zajmują. Ograniczają się na udzielaniu nam zapties, pełniących swe funkcje bardzo oplakanie. Rycerze ci zjawiają się przed nami li tylko w chwili, gdy docieramy do miejsca noclegu — by żądać zapłaty za urojone usługi.

Sypiamy, a częściej przesiadujemy noce, na poły drzemiąc, w spotykanych po drodze chatach osad kurdzkich lub armeńskich. Tak ciasno w tych lepiankach, że nieraz nie ma gdzie rozłożyć jednego materaca. Gospodarz, cała ich rodzina, zapties, czerwadarzy i my ciśniemy się na przestrzeni kilku metrów kwadratowych. Środek izdebki zajmuje ognisko, utworzone z kilku kamieni ułożonych we wgłębieniu ziemnej podłogi. Zaduch w tych norach panuje okropny, tyle tam wilgoci, stęchlizny, tyle ludzkich oddechów. Tafelki nawozu palą się z wolna, napełniając izbę swędem i dymem.

Lecz więcej nad wszystkie niewygody dokuczają nam czerwadarzy. Nie wiem, kiedy i czy w ogóle ci ludzie śpiją. Zajeżdżamy do wioski, gdy noc już dawno zapadła; około jedenastej nastaje względna cisza, którą przerywa tylko chwilami ryk nieznośny osłów; w każdym razie układamy się, jak możemy, do spoczynku. O dwunastej czerwadarzy zapalają najspokojniej świecę i kurząc niemiłosiernie czybuki<sup>91</sup>, szwargoczą hałaśliwie swą gardłową gwarą. Mimo potwornego wyczerpania i znużenia nie możemy spać przy tym kiermaszu. Około trzeciej z rana zaczynają wykrzykiwać nad nami, wołając, byśmy zbierali rzeczy i gotowali się do drogi.

Gwiazdy migocą jeszcze na niebie, kiedy już wyruszamy z noclegów. Przeziębli do szpiku kości, połamani, zbici, wpadamy w jakąś martwą apatię, nie wierząc już, że skończą się te dni męczeństwa. Ani noclegi z bydlęm, ani spieranie w lodowatych strumieniach zbrukanej błotem odzieży, ani wypadki z furgonem, ani smutne w polu przystanki, gdy zawierucha w oczy garściami śniegu ciska i świat przesłania, nic nie nękało mnie tak boleśnie, nie roztrażało tak okropnie nerwów, jak te pięć dni podróży z czerwadarami dzikimi i pierwotnymi jak ludzie epok przedhistorycznych. Nigdy nie czuliśmy się tak samotni i bezsilni, choć nie sami. Podróżujemy bowiem liczną gromadą. Nasi przewodnicy przyłączyli się do ogromnej handlowej karawany, składającej się co najmniej z 1200 koni, mułów i osłów pod pieczę licznych Tatarów.

<sup>90</sup>*aga* (tur.) — tytuł dowódcy wojskowego lub urzędnika cywilnego w Imperium Osmańskim, w plemiennych społecznościach kurdyjskich: wódz lub naczelnik wioski; obecnie tytuł grzechnościowy w krajach muzułmańskich (odpowiednik: pan). [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*czybuk* (z tur.) — cybuch, długa część fajki łącząca główkę z ustnikiem; tu: fajka. [przypis edytorski]

Tatar nie uznaje widać życia spokojnego. Ciągną go góry, step, noclegi pod gołym niebem, karawany, pieśń dzwonek, skrzyp monotony arabatów. To jego życie i żywioł. Trudno wprost spotkać furganckich, orabaczich i czerwadarów innej narodowości.

W karawanie naszej stosować się musimy do wszystkich, nikt się do nas nie stosuje. Opuściwszy nocleg o piątej i pół, szóstej godzinie rano, jedziemy do siódmej lub ósmej wieczorem, nie zatrzymując się ani na minut kilka.

Idąc koło swych zwierząt, jedzą Tatarzy nędzny swój południowy posiłek: szczyptę kruchego owczego sera zawiniętą w szmat chleba. Gdy mijamy strumienie, piją z nich, przykleknąwszy; gdy nie ma strumieni, koją pragnienie garścią śniegu. A ja ich w tym naśladuję, trawiona wciąż gorączką.

Konno jechać nie mogę, siodło męskie zbyt jest niewygodne, idę znów wciąż prawie piechotą. I zdaje mi się, że końca tej drodzy nie będzie, że zmiecie nas śnieżyca, że z wycieńczenia i znużenia zlegniemy gdzieś w kurdzkiej chacie.

Po 12 więc, a czasem 14 godzin dziennie jesteśmy w drodze, bez chwili wytchnienia i wypoczynku. Ludzie jedzą cokolwiek, zwierzętom jednak pić nawet nie dają, aż na popasie nocnym. Podziwiam ich nadzwyczajną wytrzymałość. Tak są objuczone, że znikają wprost pod olbrzymią masą. Mówiłam już, zdaje mi się poprzednio, że najmniejsze stosunkowo ciężary dźwigają wielbłądy.

Nareszcie nadchodzi ostatni dzień podróży. Chmurny dzień świta; po niebie płyną bure obłoki. Pniemy się po prostopadłych prawie złomach<sup>92</sup>, po skalistych, pełnych kamienia wąwozach; wezbrane śniegiem potoki wciąż przerzynają nam drogę. Po południu wydostajemy się na płaszczyznę i jedziemy, jedziemy przez długie godziny. Przewodnicy oznajmniają bliskość miasta, lecz miasta nie widać. Wreszcie jakieś niewyraźne formy i kontury zamajaczyły w mglistej dali. To miasto! Nie, to ogrody bez końca, otoczone szarymi, z błota ulepionymi murami. Ogrody i jeszcze ogrody, i wciąż te szare mury, wzdłuż których biegną kanały doprowadzające wodę. Obdarte z liści drzewa wyciągają nagie i smutne konary.

Nie wiem jak się stało, że zniknął nagle jedyny żołnierz, towarzyszący nam stale od Bajazydu; o dwóch drugich nie mówię, gdyż w połowie dnia nas opuścili.

Pytamy czerwadarów, czy prędko staniemy w Khoj. Tak, miasto już się zaczyna. Lecz co najmniej przez godzin dwie posuwamy się między długimi alejami ogrodów, nie spotykając jednego choćby domostwa. Wreszcie wjeżdżamy w ulicę, pełną biednych kramów, oświetlonych naftowymi lampami, a założonych to owocami, to towarami korzennymi, to chlebem.

Każemy czerwadarom wieść się do Abbas-Ali-Khana, dyrektora poczt i telegrafów, do którego otrzymaliśmy polecające listy od konsulów w Trebizondzie i Erzerumie.

Słabo wierzymy po Awadżyku i pośrednich stacjach w gościnność perską, lecz choćby nas najgorzej przyjęto, przestaniemy wreszcie mieć przed oczyma wstrętne postacie naszych czerwadarów i katów. Skręcają oni właśnie w ohydny zaułek, dowodząc, że dyrektor poczt tam mieszka.

Nie wiem, jakie przeczucie nas tknęło; w głosie Tatara zabrzmiała widać fałszywa nuta. Przeze głowę szybko mignęła myśl, że dom człowieka należącego do najwyższej arystokracji Persji nie może znajdować się w tej okropnej uliczce.

Mąż mój, wydobywając rewolwer i wyrzucając z ust cały zapas turecko-tatarskich przekleństw, w których się wykształcił w drodze, każe zawracać czerwadarom, gdyż Abbas-Ali-Khan tam *nie mieszka*.

Do dziś dnia zastanawiam się — nie znajdując na to odpowiedzi — czy Tatarzy byli w porozumieniu z żołnierzem, czy też chcieli skorzystać z jego nieobecności i zawlec nas do jakiegoś zbójckiego schroniska.

Faktem jest, że dyrektor poczt mieszkał o parę kilometrów dalej, w dzielnicy bogatej, na ulicy szerokiej i ludnej. Faktem jest również, że czerwadarzy, którzy bezlitośnie dokuczali nam przez drogę, przyszli następnego poranka bardzo pokornie po swą zapłatę, nie śmiać prosić o bakczysz.

<sup>92</sup>złom — blok skalny, odtłupany kawał kamienia. [przypis edytorski]



*Khoj. — Abbas-Ali-Khan. — Wizyta w enderumie Kedżawe. — Droga do Tebrysu.*

Noc zapadła już od dawna, kiedy czerwadarzy zastukali do jakiejś furtki w murze. Domów bowiem nie widać zupełnie na zewnątrz, wszystkie chronią się za szarą ścianą z błota. Otwiera nam jegomość w wysokiej kholi, w karmazynowych, lamowanych złotem aksamitach. Ode drzwi pokazujemy listy, jegomość czule się uśmiecha, uprzejmym gestem do wejścia zaprasza i prowadzi przez ogród do mieszkalnego domu, rozumie się samo przez się, że do birunu<sup>93</sup>.

Trzech elegantów w aksamitach i atlasach zaczyna się koło nas uwijać. Pokój dają nam ładny, za całe umeblowanie wysłany jedynie wielkim dywanem; przednią ścianę tworzy ogromny witraż. Eleganci przynoszą materace, jedwabne wałki pod głowę i także koldry, wreszcie dwa małe stoliki. Niecą ogień, ustawiają na tacy samowar. Dowiadujemy się od nich, że Abbas-Ali-Khan jutro dopiero wróci z kilkodniowej podróży, lecz od dawna już powiadomiony był o naszym przyjeździe z Teheranu przez ministra oświaty, który polecił nas jego pieczy.

Słudzy przyjmują nas w zastępstwie pana: przynoszą miseczkę zupy tak gęstej, że łyżka w niej stoi, jak w ogóle we wszystkich perskich zupach, które bardzo łatwo jeść palcami i chlebem odpowiednio zwiniętym.

Zupa jest esencjonalna i doskonała, po niej podają kurę z ryżem, doskonale *kebaby*<sup>94</sup> i soczysty słodki jak miód melon.

Stwierdzamy z zadowoleniem ludzi zmordowanych i nic poza posiłkiem na razie niewidzących, że mieszkańcy tego domu jadają i gości głodem nie morzą. Przy tym gościnność służby świadczy wyraźnie o gościnności pana.

Abbas-Ali-Khan jest bodaj najbogatszym z obywateli miasta Khoj i należy do najstarszej arystokracji Iranu. Fanatyk w rzeczach wiary, ściśle strzeże dawnych obyczajów. Opiekuje się więc nami jak najlepiej; nie składa mi jednak wizyty, lecz prosi męża do siebie, gdyż prawowierne jego oczy nie mogą bez grzechu widzieć europejskiej hanum-hanum, chodzącej po świecie z odkrytą twarzą.

Z samego rana więc rozdzielają nas jak w Awadżyku: mnie prowadzą do enderumu, gdzie pani domu — drobna, czarna, chuda i niepiękna, ubrana w męskie spodnie i spódniczkę baletnicy — wielki wdzięk wobec mnie roztacza. Na głowie ma muślinową chustkę na krzyż złożoną i spiętą pod brodą olbrzymim brylantem.

Spędzam w enderumie osiem co najmniej godzin. Hanum przez cały ten czas nie drgnęła z miejsca, na którym siedzi, nogi pod siebie podwinąwszy. Stoi przy niej kalian, którym się raz po raz zaciąga. Przez cały dzień kipi samowar, a hanum sama rozlewa herbatę w małe szklaneczki z małeńkimi również łyżeczkami, zdobnymi w lwy i słońca. Jedyne to zajęcie żony Abbas-Ali-Khana, jedyne też wszystkich kobiet perskich z wyższej sfery.

Będę miała sposobność mówić o tym obszerniej nieco później.

Po południu schodzą się tu żony wszystkich miejscowych dygnitarzy, by mnie oglądać. Wyglądają na żałobne cienie w czarnych lub ciemnogrnatowych jedwabnych *czadurach*<sup>95</sup>, z białą zasłoną na twarzy. Zasłona jest z płótna czy perkalu; rysów twarzy domyśleć się pod nią niepodobna. Drobna siateczka ażurowa, ściśle na oczy wymierzona, pozwala im świat boży oglądać jako tako.

Ubranie to na ulicę, jednostajne dla wszystkich perskich kobiet, wygląda nieestetycznie i nieefektownie.

Przybyłe hanum zrzucają czadury i zasłony. Mają pod nimi bufiaste, jedwabne, różnokolorowe szarawary<sup>96</sup>, do których przyszyte są, całość z nimi stanowiąc, także same jedwabne o zaostrzonych końcach trzewiki.

<sup>93</sup>*birun* — część domu, zamieszkała przez mężczyzn. [przypis autorski]

<sup>94</sup>*kebaby* — kawałki baraniny pieczonej na rożenkach. [przypis autorski]

<sup>95</sup>*czadur* — [dziś popr.: *czador*; red. WL], płaszcz jedwabny u kobiet z wyższej sfery, kretonowy lub satynkowy u biednych; zawsze czarny lub ciemnogrnatowy. Nie wolno im wychodzić bezeń na ulicę. Nałożony na głowę, do stóp samych spada. [przypis autorski]

<sup>96</sup>*szarawary* — szerokie, długie, bufiaste spodnie noszone na Wschodzie. [przypis edytorski]

Kobieta

Kobieta, Strój

Wychodząc na ulicę, nadziewają jeszcze na nogi pantofle, czy też sandaalki skórzane. Reszta ubrania podobna jest do kostiumów, które wyżej opisałam.

Hanum wdzięczą się wszystkie i siłą na wielką uprzejmość. Przyglądają mi się dość dyskretnie, dopytują się o „*Frangistan*”<sup>97</sup> i jego obyczaje, kiwiają głowami, mlaskają językami, lecz zachowują pewne formy towarzyskie.

Nie wiem, czy chciały mnie oczarować przepychem swych toalet, czy też dzień był świąteczny, dość że obwieszone były drogocennymi kamieniami jak święte bizantyńskie. Na włosach nad czołem wspaniale złote przepaski wyiskrzzone brylantami i szmaragdami, tudzież naszyjniki z pereł, turkusów i szafirów sięją łagodne blaski. Pierścionki o kamieniach zbyt wielkich i źle oprawionych odbijają nieładnie od rąk suchych, czarnych, o paznokciach na brązowo przez *henne* zabarwionych. Niektóre spomiędzy nich są młode i urodziwe, lecz wszystkie nadmiernie wybielone, wyróżowane, wykarminowane. Brwi, złączone szeroką linią koholu<sup>98</sup>, psują piękne oczy i nadają twarzy ostry wyraz. Prawdziwie elegantki czernią również koholem drobny puszek na górnej wardze.

Nie mogą one zrozumieć, dlaczego ani oczu, ani twarzy nie mam pomalowanej.

Dopytują się, czy używam chociaż pudru i perfum. Proszą, ażeby pokazać im nasze przybory toaletowe. Flakony i pudełka krążą z rąk do rąk.

Najładniejsza z młodych hanum, dźwigająca w brylantach na swej osobie fortunę paruset tysięcy franków, naiwnie prosi o trochę pudru, który zdaniem jej, bardzo ładnie pachnie.

Przyjmuje dar z najwyższą radością. Ofiarowuję go jej w pudełeczku z lusterkim, które w zachwytyt wprawia wszystkie damy.

Nieraz później miałam sposobność stwierdzić, z jakim bezkrytycznym uwielbieniem Persowie, tworzący sami tak artystycznie piękne rzeczy, patrzą na najordynarniejsze drobiazgi europejskie. Zdawałoby się, iż im są brzydsze — tym bardziej ich nęcą.

Wszystkie damy palą kalian lub papierosy. Zaciągnąwszy się papierosem, podaje się go następnie swej sąsiadce. Jest to dowodem najwyższej uprzejmości, której sobie wzajemnie nie żałują. Kalian również z rąk do rąk i z ust do ust przechodzi. A ja, która nigdy nie paliłam, daremnie się bronię i muszę dokończyć papierosa po gospodyni domu.

Wizyta elegantek trwa godzin parę, pijemy herbatę, zajadamy różne *szirini*<sup>99</sup> i rozpluwający się w ustach melon.

Jakkolwiek czuję się zmęczona, dzień ten nie pozostawia mi przykrego wrażenia. Poznałam świat arystokracji perskiej; ciekawość tych kobiet wobec mnie nie była ani natrętną, ani nieprzyjemną: zwyczajna ciekawość ludzi nieznających Europejczyków.

A przekonywam się, do jakiego stopnia Europejczyk, szczególnie rodzaju żeńskiego, jest tu dziwowiskiem: gdy następnego ranka wybieramy się do bazaru w towarzystwie służącego w karmazynowych aksamitach, tłum tłoczy się za nami z krzykiem:

— *Ferengi, ferengi! Hanum ferengi!*<sup>100</sup>

Dzieciaki ciągną mnie za suknię, starsi obstępują. Fanatyzm religijny jest tu zbyt wielki, aby kobiety z odkrytą twarzą mogły bezpiecznie krążyć po ulicach.

Wracamy więc pospiesznie. Nie potrzebuję dodawać, że więcej na miasto nie wyszłam.

A pierwsze to czyste zewnętrznie miasto, jakie widzę od początku podróży. Dość ludne i rozrzucone na bardzo obszernej przestrzeni. Domów liczy podobno 9 tysięcy, a wszystkie chronią się za szarymi błotnymi murami i otoczone są ogrodami. W każdym, najmniejszym choćby ogródku znajduje się mniejszy lub większy basen, często bardzo z fontanną. Widzę przez okno, jak domownicy myją się w tym basenie.

Higiena ciała nie jest snąc<sup>101</sup> największą ich troską, bo z lekka tylko rozmazują po twarzy i rękach kilka kropli brudnawej wody i uważają się za umytych.

Ogród enderumu posiada zazwyczaj drugi basen.

<sup>97</sup>*Frangistan* — Europa. [przypis autorski]

<sup>98</sup>*kohl* a. *kohl* (z ar.) — czarny kosmetyk do makijażu wyrabiany na bazie sproszkowanego antymonu; używany w starożytnym Egipcie, początkowo stosowany jako środek ochronny i leczniczy na choroby oczu, rozpowszechniony na Bliskim Wschodzie, w Azji i Afryce. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*szirini* — słodczyce, przeważnie cukierki. [przypis autorski]

<sup>100</sup>*ferengi* a. *ferengi* — cudzoziemiec, Europejczyk [od zniekształconej nazwy „Franków”, tj. chrześcijan z Europy Zachodniej, z którymi muzułmanie stykali się od średniowiecza; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>101</sup>*snąć* (daw., gw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

Ludność miasta składa się z Persów, Armeńczyków i Kurdów, wzajemnie się nienawidzących i szkodzących też sobie wzajemnie w miarę sił i sposobności.

Prawdziwy Pers-Farsi obdarzony jest wielką dozą wyrozumiałości w kwestiach religijnych, politycznych i narodowościowych. Lecz zarówno w Khoj, jak w Teheranie i w ogóle w północnych prowincjach mało jest tych Farsi. Zamieszkują je przeważnie Turko-Tartarzy, pochodzący od dawnych Medów, którzy, jakkolwiek złączeni ściśle z Persami jednością religijną i polityczną, różnią się od nich pod wielu względami.

Przede wszystkim są ci potomkowie Medów odważniejsi, więcej też szczerzy i prości, ale i więcej fanatyczni i zawzięci, bo mniej inteligentni, mniej sprytni. Toteż walka narodowościowa szczepów w skład Persji wchodzących przybiera nieraz w tych częściach bardzo ostry charakter.

Wyrzekają tu mocno na Kurdów. Dzicy i okrutni, odważni i wytrwali, zręczni i pozbawieni skrupułów, dają się we znaki swym władcom i terroryzują ich, jakby sami byli panami. Bez kwestii, rządzenie nimi nie musi być rzeczą łatwą; niesforne to plemię i nieokielznane, nie uznaje wędzidła. W ogóle jednak zdaje mi się, że przedstawiają nam ich w przesadnie ciemnych barwach.

Po dwudniowym w Khoj wypoczynku ruszamy dalej. Do Tebrysu podróżować mamy w *kedżawe*. Należy widać, byśmy wypróbowali wszystkich narzędzi nowoczesnej tortury. Służący w karmazynach kupuje dla nas w bazarze te kedżawe, to jest kołyski, klatki, a najwłaściwiej budy. Urządza w nich granatowe firanki i bajecznie nas na tym zakupnie obdziera.

Nie wiem, czy Abbey-Ali-Khan nie umiał oprzeć się grzesznej ciekawości ujżenia *hanum frengi*, czy też gościnność wielkiego pana przemogła obawę kar Allaha — dość że ostatniego ranka przed wyjazdem składa mi wizytę w towarzystwie jednego ze swych kuzynów, mówiącego doskonale po francusku. W pięknych i kwiecistych frazesach, tajemnica tworzenia których prawdopodobnie wraz z rasą perską zaginie, wyjawia mi życzenia, by jego ojczyzna w ogóle, a Teheran w szczególności jak najdłużej cieszyć się naszymi osobami mogły. *Insz-Allah*<sup>102</sup>, tak się stanie.

Bawi mnie niewymownie ta formuła, którą Pers zakończy każdą rozmowę i wykręca się też nią z każdej sytuacji. Bo żaden, absolutnie żaden Pers, zaczawszy od szacha, a kończąc na ostatnim z jego poddanych, nigdy na nic wyraźnie nie odpowie i do niczego się kategorycznie nie zobowiąże. Przyparty do muru, odpowie zawsze „*Insz Allah*”. Stanie się według twych życzeń, jeśli Allah pozwoli. A z Allahem różnie się dzieje.

Lecz o tym później. Wracam do naszej podróży. Siadamy do kedżawe, podwinąwszy pod siebie nogi: inaczej nie można, bo głowa obija się wnet o dach budy. Na odjeźdnym dowiadujemy się, że karmazynowe aksamity okrywają brata pani domu, nie mamy więc odwagi ofiarować mu bakszyszu. Lecz on bardzo wyraźnie czeka na podarek, otrzymuje też na równi z innymi służącymi tomana<sup>103</sup>, którego przyjmuje z uśmiechem zadowolenia.

Nie ma stanowczo pomiędzy najwięcej przedhistorycznymi środkami lokomocji nic przykrzejszego nad kedżawe. Mówiłam już poprzednio, że dwie kołyski, złączone kabląkiem zwieszają się z dwóch stron zwierzęcia i że najmniejsze naruszenie równowagi spowoduje tragiczne komplikacje. Bezsilny podróżnik doznaje uczucia, jakby wsadzono go na huśtawkę, której zatrzymać ani z której zsiąść nie może.

Chwilami znów zdaje mu się, że jest w szalenie krążącym diabelskim młynie, którego rozkoszy nie próbowałam nigdy, lecz je sobie tak przedstawiam.

Ledwie wyjechaliśmy z miasta, a czerwadar już o parę tomanów cenę przewozu podnosi pod pozorem, że w ostatniej chwili musiał nająć jednego więcej konia pod rzeczy. Przez parę kilometrów drepce za nami kilku obdartusów, upominających się o nagrodę za jakieś niebywałe usługi. Uważają, że należy im się lekki haracz od *frengi*. Nie odmawiam słuszności ich rozumowaniu, rzucam im parę srebrnych monet. Nie taki haracz pobiera Europa od biednych egzotyków rzuconych jej na pastwę.

Nie tylko ci nędzarze chcą się na nas zбоgacić. Dano nam w Khoj idealnego podobno zapties, który na noclegach gorliwie się wszystkim zajmuje, przyrządza herbatę, kupuje chleb, jajka i nieliczne inne prowizje, z rzadka się trafiające. Pieniądze na płacenie za

Słowo

Żebrak

Pieniądz, Kradzież

<sup>102</sup>*Insz-Allah* — Jeśli Allah pozwoli. [przypis autorski]

<sup>103</sup>*roman* — pięć franków. [przypis autorski]

wszystko jemu powierzamy. Lecz na trzecim noclegu wybucha kłótnia między zapties i gospodarzem naszym, Armeńczykiem. Okazuje się, że „pocziwy” wojak okradał nas i zdierał haniebnie biedaków, u których znajdowaliśmy przytułek, oddając im zaledwie czwartą lub piątą część branych od nas na opłacenie ich pieniędzy. Ciemny ten barbarzyńca trzymał się wielkiej i doniosłej cywilizacyjnej zasady: brać na lewo, brać na prawo, brać wszędzie, więc skubał nas, skubał Kurdów i Armeńczyków, skubał może i czerwadarów.

Przejazd do Tebrysu trwa dni cztery. Drugiego dnia rankiem góry pokazują nam nową, nieznaną jeszcze fizjonomię.

Nigdy nie widziałam podobnego nagromadzenia skał fantastycznie spiętrzonych, nigdy takich niebotycznych zsympowisk brył i kamieni, nigdy takich posępnych i złowieszczych kotlin, w których zdaje się czaić śmierć i zbrodnia, nigdy też szczytów tak pokruszonych i poszarpanych. Wygląda to jak pole walki olbrzymów z legendy, którzy odrywali z tych wierzchołków potężne złomy i ciskali je w czarne czeluście wąwozów.

Wielkie kataklizmy przejść musiały nad tym kątem ziemi i wstrząsnąć jego łonem, przetworzyć jego postać. Chwilami mury gór stoją prostopadle i tak do siebie zbliżone, że w ciasnej gardzieli między nimi jedno zwierzę stąpa z trudnością. Ze ścian skały sączy się woda kroplami; drogę przecinają cienkie smugi strumieni.

Idziemy tu piechotą, bo kędzawe trą się wciąż to z jednej, to z drugiej strony o gór występy, co arcynieprzyjemne sprawia wrażenie ofiarom zamkniętym w tych budach. Droga, zawalona omszałymi głazami, pnie się w górę linią dziwacznie pokręconych wysokich schodów, a następnie biegnie w dół równie gwałtownym spadkiem. Raz jeszcze podziwiam zdumiewającą zręczność górskich zwierząt; stąpają przezornie, lekką a pewną nogą; nieraz poślizną się, nieraz kamień spod stóp im się toczy — nie upadają nigdy.

Zatrzymujemy się w tej części drogi u Armeńczyków, bo spotykamy li tylko wioski armeńskie. Na dwóch ostatnich noclegach panuje w domu względna czystość i znać, iż mieszkańcy odczuwają pewną potrzebę wygody.

Izdebki wysłane są matami, na które rzucono kilka małych dywaników. Okienka mają szyby z grubego, tłuszczem przesyconego papieru. Zewnętrznie wyglądają te domostwa niepozornie; wyższe może nieco od chłopskich naszych chałup, lepienie są z gliny i błota; płaski dach z błota pomieszanego ze słomą spoczywa na kilku krzyżujących się belkach.

Czwartego dnia szkli się z dala uszpaną taflą wód ciężkich jezioro Urmiak<sup>104</sup>. (*Schab-i-Dar*, dosłownie: morze królewskie). Fala jego bardziej jeszcze jest słona niż gęste wody Morza Martwego. Ani roślinność, ani ryby żyć w niej nie mogą. Jezioro Urmiak rozlewa się na szerokim obszarze 4,000 kilometrów kwadratowych.

Czerwadar, stanąwszy dnia tego pod wieczór w osadzie o parę godzin od Tebrysu odległej, nie chce stanowczo ruszyć dalej. Nic nie pomagają groźby, zakłęcia, krzyki. Każemy więc rozjuczyć konie, które niosły bagaże, i wyruszamy ku miastu wraz z naszym zapties. Noc zapada szybko, nic już ani przed sobą, ani z zewnętrznego wyglądu stolicy Azerbejdżanu nie widzimy. Dotarliśmy wreszcie do bram miasta.

## VI

*Tebrys. — Podróż wallieta do Teheranu. — Kilka słów o Muzaffer-Eddinie. — Droga od Tebrysu do Teheranu. — Mianeh. — Zendżan. — Kasbin. — Ruiny zamku nabateńczyków. — Droga od Kasbinu do Teheranu.*

Tauris, Tabris lub Tebrys, miejsce zamieszkania następcy tronu, pełniącego zazwyczaj funkcje gubernatora prowincji Azerbejdżanu, jest dziś najwięcej ludnym miastem w Persji. W podręcznikach geograficznych dają mu zaledwie 120 tysięcy mieszkańców, podczas gdy Teheran obdarzają hojnie 150 tysiącami. Cyfry te są bezwarunkowo niedokładne, gdyż miasto *wallieta*<sup>105</sup> posiada w swych murach ludność większą niż stolica Wszechiranu.

Tebrys, jak wiele innych miast Persji, założony został w epoce Haruna ar-Raszyda, owego kalifa z *Bajek tysiąca i jednej nocy*, o którym opowieści czarowały i czarują jeszcze

<sup>104</sup>Urmiak — dziś popr.: Urmia, bezodpływowe, słone jezioro w pln.-zach. Iranie, na Wyżynie Armeńskiej; największe jezioro w kraju. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>walliet — następcą tronu. [przypis autorski]

młodociane umysły. Wybudowała go jedna z żon Haruna, precudna Zobeida, w końcu ósmego wieku naszej ery.

Chardin<sup>106</sup> w swej *Podróży do Persji* mówi o Tebrysie jako o mieście wielkim, bogatym, handlowym, liczącym 500 000 mieszkańców! Niestety, minęły już czasy tej świetności. Potężne trzęsienie ziemi w 1721 roku sprawiło straszliwe spustoszenia i powaliło w gruzy większą część miasta, pod którymi zostało, według współczesnych historyków, 100 tysięcy ludzi. Jednakże Tebrys pozostał po dziś dzień najpoważniejszym centrum handlowym Persji i jednym z głównych punktów handlowych traktów Azji. Tu docierają karawany idące z Trebizondy tąż co my drogą, tu dążą inne przez Dżulfę<sup>107</sup> z Tyflisu, Chiny i Indie nadsyłają tu swe produkty.

W samym mieście wyrabiają surowe jedwabie i dywany; ludność zażywa ogólnie dobrobytu, istnieją wielkie fortuny kupieckie. Bazar rozsiadł się na ogromnej przestrzeni i rozgałęził w niezliczone ulice. Wre w nim ruch, zgiełk, wrzawa, przesuwają się barwne tłumy, mieszają wszystkie rasy Azji. A bazar — to serce miasta i wyraz jego życia.

Bazar ten zwiedziłam bardzo pobieżnie, gdyż niedomagałam ciągle podczas dwutygodniowego w mieście pobytu. Za to w bazarze Teheranu byłam w przeciągu dwóch lat razy kilkanaście, jemu więc poświęcę opis obszerniejszy.

Nadmiar zmęczenia, który przykuł mnie nawet na dni kilka do łóżka, *vulgo*<sup>108</sup> materaca, gdyż rozkoszy wypoczęcia na odpowiednim do tego sprzęcie i tu jeszcze nie zaznałam, nadmiar znużenia więc nie pozwolił mi na wycieczki po mieście. Niewiele, co prawda, pozostało w nim rzeczy godnych zobaczenia. Nie ma tu już starych gmachów; rezydencje zaś nowoczesne dygnitarzy i magnatów, jako też pomieszczenia instytucji rządowych nic zupełnie nie przedstawiają godnego uwagi. Dostęp do meczetów zamknięty dla niewiernych, gdyż aczkolwiek Persowie umysł mają dość otwarty, nie odznaczają się jednak zewnętrzną religijną tolerancją Turków, którzy za pieniądze pokażą najbardziej czczone świętości, relikwie i przybytki. W Persji nawet za pieniądze meczetu wewnątrz obejrzeć nie wolno.

Najciekawszą pamiątką dawnych dziejów jest tak zwany meczet niebieski, *mosquée bleue*, wzniesiony przez szacha Alego<sup>109</sup>. Z wyniosłego gmachu pozostały dziś imponujące potężną masą ruiny. Nazwano go meczetem niebieskim, ponieważ z zewnątrz i wewnątrz całkowicie niemal był pokryty szafirową, błękitną i białą majoliką<sup>110</sup>. Barwy te przeważają z dekoracji wszystkich chyba meczetów Persji i wszystkie „niebieskimi” nazwać by było można. Iskrzą się turkusowymi, złocistymi w słońcu sklepieniami łuków, kopułami i wieżycami minaretów. Inne kolory: brązowy, żółty, zielony, fioletowy lub czarny dodatkowo tylko mieszają się do zasadniczego tła niebiesko-białego.

Stolica Azerbejdżanu rozłożyła się w nagiej, pozbawionej roślinności dolinie, którą przecinają jednakże dwie niewielkie rzeczki. Choć za tło służą miastu góry, nie dodają mu ani powabu, ani malowniczości. Mieszkańcy Tebrysu zdają się bardziej dbać o suchość i czystość jego krętych i wąskich ulic, bo nie narażając się na unurzanie w błocie, można tu odbywać swobodnie piesze wędrówki. Niezwykły to istotnie fenomen na Wschodzie.

Miasto przerżnięte jest, jak Khoj, jak Teheran, jak wszystkie zresztą środowiska ludzkie, siecią podziemnych kanałów doprowadzających wodę z górskich źródeł. Zewnętrzne otwory tych kanałów, zwane *kanotami*, przedstawiają najpierwotniejszą postać studni. Kanotów takich jest kilka na każdej ulicy.

Religia, Świątynia

Świątynia, Sztuka

<sup>106</sup>Chardin, [Jean] (1643–1713) — podróżnik francuski, autor najobszerniejszego dzieła o Persji, pełnego ciekawych szczegółów o życiu i obyczajach narodu. [przypis autorski]

<sup>107</sup>Dżulfā — dziś popr.: Dżolfā, miasto w płn.-zach. w Iranie, nad rzeką Araks, na granicy z Azerbejdżanem, gdzie po drugiej stronie rzeki rozciąga się miasto Culfa. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>vulgo (łac.) — pospolicie, powszechnie (zwany). [przypis edytorski]

<sup>109</sup>meczet niebieski (...) wzniesiony przez szacha Alego — w rzeczywistości Błękitny Meczet został wzniesiony w 1465 przez turkmeńskiego władcę Dżahanszaha, w 1780 został zniszczony przez trzęsienie ziemi, ocalało tylko monumentalne wejście; zupełnie inną budowlą jest tzw. Meczet Aliszaha (lub Alego Szaha), zwany też Łukiem Aliszaha, pochodzący z lat 1318–1339, z czasów panowania z mongolskiej dynastii Ilchanidów, który pierwotnie miał się składać meczetu, przylegających bibliotek, rozległego dziedzińca i mauzoleum, jednak zawalenie się głównego sklepienia przerwało budowę, a w XIX w. został przekształcony w miejski fort z dobudowanymi obiektami wojskowymi. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>majolika — ceramika pokryta kolorową polewą ołowiowo-cynową. [przypis edytorski]

Klimat północno-środkowej Persji, przedstawiającej jedno wielkie płaskowzgórze, jest zimą bardzo ostry. Przyjeżdżamy do Tebrysu w ostatnich dniach listopada, w mróz siarczysty, który trwa przez cały czas naszego tam pobytu.

Pierwotnie mieliśmy zamiar zabawić w tym mieście dwa lub trzy dni najmniej. Lecz ku wielkiemu naszemu przygnębieniu dowiadujemy się, że niepodobna będzie znaleźć koni ani pojazdu wcześniej jak za dwa tygodnie. Muzaffer-Eddin bowiem, ówczesny walliet, a szach terazniejszy, wybiera się z wizytą do ojca do Teheranu, w otoczeniu pięciotysięcznej świty. Ta dworska czereda zaopatruje się w ogromne zapasy żywności, wiezie z sobą namioty, pościel, dywany, sprzęty domowe i kuchenne, niezliczone skrzynie i paki z ubraniem. Walliet pośpiechu nie lubi, podróż długo potrwa. Dla kolosalnego ładunku książęcego orszaku trzeba było koni, osłów, mułów niezliczone mnóstwo. Więc urzędnicy Muzaffer-Eddina zagarniali wszystkie zwierzęta, jakie znajdowały się w mieście. Czerwadarzy chronią się, jak mogą, w okolicznych wioszczynach i ukażą się dopiero w Tebrysie, gdy jego książęca mość opuści go wraz ze swą świtą. Biedacy boją się jak ognia szczęścia wynajmowania swych zwierząt wallietowi i jego otoczeniu, gdyż bardzo nieszczególnie na tym zaszczycie wychodzą.

Sam Muzaffer-Eddin nie pozbawiony jest biernej, apatycznej dobroci, a w stosunku do dość szczupłej swej szkatuły sypie hojnie pieniędzmi na wszystkie strony. Lecz czerwadarzy nie mają do czynienia z nim bezpośrednio, nie dopuszczani są do pańskiego oblicza. Pośrednicząca zaś armia pijawek siebie przede wszystkim pożywić pragnie i „zapomina” zwykle płacić nędznym pariasom, którzy znów nie śmią protestować, a gdyby nawet podnieśli głos skargi na dziejące się im krzywdy, na nic by to się nie przydało.

Rozumiem teraz, dlaczego Tatar wzbraniał się tak energicznie dowieźć nas do miasta.

Powiedziałam, że Muzaffer-Eddin nie rozporządza znacznymi funduszami. Obecnie spadły na niego dziedzicznie kolosalne skarby Nasr-Eddina, lecz za życia ojca był najbiedniejszym z trzech braci i niejednokrotnie, pogrążony po uszy w kłopotach pieniężnych, szukał ratunku w dobroczynnym lombardzie Tebrysu. Największą fortunę w rodzinie posiadał Zille-Sultan, gubernator prowincji Ispahanu<sup>111</sup>, rządzący ze swego miasta najbogatszymi ziemiami Persji. Ambitny ten książę nie żywi bynajmniej dla brata gorącej miłości. Gdyby nie smutna ta okoliczność, że się urodził jako syn niewolnicy, a nie księżniczki z rodu Kadżarów, on niewątpliwie byłby następcą tronu na zasadzie prawa starszeństwa. Więc nie może darować Muzafferowi szczęścia, iż pochodzi on z krwi szlacheckiej.

Najmłodszy z synów Nasr-Eddina, książę Naieb-Saltaneh, naczelny dowódca armii perskiej, nie płonie również dla dzisiejszego szacha nadmiarem uczuć braterskich. Po śmierci ojca snuły mu się po mózgu różne plany... W rodzinie swej przedstawia on element światowości i elegancji. Jest ugrzeczniejszy, miękki i niezdecydowany.

Muzaffer-Eddin nie odbywał za życia ojca dłuższych podróży. Rokrocznie wybierał się tylko na miesiąc lub dwa do Teheranu, otoczony swą średniowieczną świtą. Lecz zawsze pragnął poznać Europę, do której ojciec, choć sam namienny podróżnik, nie pozwalał jechać żadnemu z synów. A ich naiwną ciekawość tak ciągnie Frengistan<sup>112</sup>, który przedstawiają sobie jako olbrzymi bazar błyszczących cacek, ordynarnie jaskrawych drobiazgów, jakie ojciec ich zwozi masami z każdej podróży i tryumfalnie za kryształami witryn ustawia. Każdego też *frenge* wypytują bez końca o cuda jego ojczyzny.

Gdy Muzaffer-Eddin dowiaduje się, że *hakim-baszi-czeszm*<sup>113</sup>, przybywający z Paryża, przebywa w Tebrysie, natychmiast naznacza mu audiencję, choć jest już w przededniu wyjazdu do stolicy. Jest miły, uprzejmy, pełen zbytniej może prostoty. Lecz trudno mu zrozumieć, jak lekarz może być specjalistą w jednej gałęzi wiedzy medycznej. Jego doktorzy posiadają wszechwiedzę!

To przeświadczenie o głębi ich uzdolnienia byłoby prawdziwym szczęściem, gdyby wiara uzdrawiać mogła. Niestety, nie zdaje mi się, by Muzaffer-Eddinowi zaufanie do swych lekarzy pomagało choć trochę. Wciąż jest chory. Dr Adkock (Anglik) i Hakim-el-Mulk, Pers z pochodzenia, jego nadworni lekarze, większy widocznie wywierali w owej epoce wpływ na duszę księcia niż na zdrowie jego ciała. Dodam w nawiasie, że dr Adkock

<sup>111</sup>*Ispahan* (daw.) — dziś popr.: Isfahan, trzecie co do wielkości miasto Iranu, ok. 340 km na płd od Teheranu; stolica prowincji. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*Frengistan* — Europa. [przypis autorski]

<sup>113</sup>*hakim-baszi-czeszm* — dosłownie: doktor główny oczu. [przypis autorski]

dotąd przy monarsze przebywa, a Hakim-el-Mulk, zmarły obecnie, cieszył się wielką przyjaźnią szacha i był na dworze Persji wszechpotężny.

\*

Walliet z całym swym orszakiem opuścił wreszcie Tebrys. Powoli, ostrożnie zaczynają powracać do miasta czerwadarzy, zjawiają się też muły, osły i konie.

Znów nas w furgon ładują. Za dni 15 dopiero staniemy w Teheranie, choć dzieli nas odeń zaledwie odległość 480 kilometrów. Lecz przy pośpiechu, z jakim na Wschodzie wszystko się odbywa, z jakim woziska tłuką się po wyboistych rozdołach, marzyć nawet nie można o robieniu choćby 40 kilometrów dziennie.

Sądziłam, że podróż dalsza odbędzie się w wygodniejszych niż poprzednio warunkach. Omyliłam się jednak okrutnie. O produkty żywcem łatwo wprawdzie: co dzień jadały kury i rozplywające się w ustach niezrównane melony; jajka sprzedają za bezcen. Lecz droga usiana rowami, dołami, zsypana kamieniami, a noclegi wiele pozostawiają do życzenia.

Dwukrotnie zatrzymujemy się na noc w na wpół rozwalonych olbrzymich karawanserajach, budowanych za czasów szacha Abbasa<sup>114</sup>. Ściany gmachów układane są z drobnych cegieł, mury potężne. Lecz drzwi powybijane, okna nie istnieją, ognia rozpalic niepodobna.

Takie ruiny karawanserajów spotykamy często, co dzień prawie. Kolosalne rozmiary i ilość tych gościnnych dworów karawan świadczą, jak szerokie pulsowało tu życie za czasów szacha, z którego imieniem związane są wspomnienia chwały i świetności Iranu. Handel zamienny Wschodu kwitł wtedy w całej pełni. Setki i tysiące wielbłądów, koni, mułów, ciągnęły tymi szlakami i wypoczywały w tych serajach. Teraz wszędzie pustka, wałące się w gruzy wiekowe mury, cisza śmierci i rozkład. Bezpłodna i jałowa pustynia ściela się tam, gdzie stały gaje i ogrody, zieleniły się żyzne pola. Wyschłe, zapuszczone kanały czernieją otwartą paszczą kanotów. Najtrudniejszym do przebycia punktem tej części drogi jest góra Szabli czy Szybli<sup>115</sup>. Powóz wallieta wciągano na nią na postronkach. My przebywamy ją na własnych nogach. Osiem koni mozolnie ciągnie nasz furgon.

Trzy stacje zasługują na wyróżnienie na przestrzeni od Tebrysu do Teheranu. Są nimi miasta Mianeh, Zendżan i Kasbin<sup>116</sup>.

Mianeh rozgłośnie jest na całą Persję nie z przyjemnej, niestety, strony. Smutną swą sławę zawdzięcza jadowitym pluskwom, których ukąszenia przyprowadzają podobno nawet o śmierć, a w każdym razie o chorobę i silne opuchnięcia. Ręczę nam wprawdzie miejscowi mieszkańcy, że niebezpieczeństwo ukąszenia grozi wyłącznie w lecie, że obecnie pluskwów nie ma wcale. Zachowujemy się sceptycznie wobec tych zapewnień i korzystając z wyjątkowo łagodnego powietrza — w połowie grudnia nocujemy w furgonie. Zdaje mi się, że nigdy przez dwa miesiące podróży nie spałam równie dobrze.

Zendżan, drugie większe miasto na tym szlaku, słynie ze swych filigranowych wyrobów srebrnych, które rozchodzą się stąd na całą Persję. Delikatne te drobiazgi przypominają filigrany weneckie, lecz nie dorównują im w wykonaniu. Mnie podobają się szczególniejszej mikroskopijnej łyżeczki do herbaty, wyrzeźbione w ażur w środku. Pić nimi nie można, służą jedynie do mieszania. Kupujemy ich kilka tuzinów, różnej wielkości i rodzaju.

Ładne są również tacki, spodeczki, efektowne sitka do herbaty i podstawki do używanych na Wschodzie do kawy porcelanowych czareczek bez ucha. Dla mnie wszystko to zbyt jest misterne, a jednocześnie nie dość starannie wykończone. Przekładam nad filigrany zendżańskie srebrne wyroby z Ispahanu, na których biegną ciekawe wypukłorzeźby, pełne bogatej fantazji postacie wojowników, dziwne chimery<sup>117</sup>, zwierzęta, oryginalnie interpretowane kwiaty, ptaki, arabeski.

Upadek

Sztuka

<sup>114</sup>*Abbas Wielki* (1571–1629) — znakomity administrator i wojownik. [przypis autorski]

<sup>115</sup>*góra Szabli czy Szybli* — Sabalan, nieaktywny wulkan w paśmie górskim Małego Kaukazu, trzeci z najwyższych szczytów w Iranie (4794 m n.p.m.). [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Mianeh, Zendżan, Kasbin* — dziś popr.: Mijane, Zandżan, Kazwin; miasta na trasie Tabriz–Teheran, dzielące ją na mniej więcej równe odcinki. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*chimera* — w mit. gr. potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; w sztuce i archit.: motyw dekoracyjny w postaci fantastycznego, dziwaczного zwierzęcia. [przypis edytorski]



W chwili gdy zwiedzamy bazar Zendżanu, jest on podobno zupełnie opustoszony: walliet wykupił najpiękniejsze rzeczy. W Zendżanie doganiamy jego orszak i wyprzedzamy go nawet, bo księżę kilka dni tu wypoczywa.

Zapomniałam napisać o jednym jeszcze wyrobie lokalnym: *kiefisz*<sup>118</sup> Zendżanu ogólnie są znane. Są to zgrabne, o wąskich, zadartych nosach pantofle, szyte z wąskich pasków skóry kolorowej. Z przodu różnobarwna bawełna szepia te paski, tworząc deseń ażurowy.

W dwa dni po opuszczeniu Zendżanu dościga nas w polu rozszalała zamieć śnieżna, przed którą chronimy się do pierwszej spotkanej lepianki. Wnętrze jej stanowi jedna ciasna i brudna izdebka, na środku której stoi szeroki, a bardzo niski stół: siedząc na ziemi można oprzeć się na nim łokciami. Stół przykryty jest wielką watowaną koldrą, zwieszającą się ze wszystkich stron do samej ziemi. Pod stołem umieszczona dużych rozmiarów fajerka z żarzącymi się drzewnymi węglami, a naokoło stołu siedzi cała rodzina: ojciec, matka, gromada dzieci, obdartych, bladych, rachitycznych, o twarzach chorobliwie nabrzmiałych. Nie potrzebuję objaśniać, iż nogi trzymają wszyscy pod koldrą przy nagrzanym *kursi* — tak zwie się ten przyrząd. Przez cały dzień siedzą tak beczynn timeruchomo, wchłaniając trujące wyziewy. Lecz widać specjalnie są zahartowani przeciw ich zabójczemu działaniu.

Jakkolwiek skostnieliśmy od zimna, nie marny odwagi korzystać z dobrodziejstw *kursi*. Jednak po paru godzinach słabniemy w postanowieniu i przeczwyciężając obrzydzenie, wsuwamy końce nóg pod zbiorowy łachman.

Kończy się jednak ta próba nader niewesoło: mdlejemy oboje i nieprzytomnych wynoszą nas z chaty na powietrze, ażeby ocucić. Biedni gospodarze szczerze są zmartwieni, ale też i osłupieni na widok ludzi tak marnych, że nie mogą znieść dobrodziejstw *kursi*. A oni pędzą przy nim dni, tygodnie i miesiące zimy.

Następnego dnia mijamy wioskę i pałac Sultanie, jednej z niezliczonych rezydencji „króla nad królami”, największego z koczowników swego państwa. Mówię tu jeszcze o Nasr-Eddinie — który z jednego do drugiego pałacu wciąż przejeżdżał, gnany gorączkową potrzebą ruchu i zmiany miejsca. Lecz Sultanie zbyt jest od stolicy oddalone; Nasr-Eddin nigdy już, zdaje się, tam nie docierał, mając naokół Teheranu mnóstwo will i zamków.

\*

Oto przed nami, rozrzucone na wielkiej przestrzeni ogrody, gaje pistacjowe, winnice. Zbliżamy się do Kasbinu, ostatniej stacji przed Teheranem. Furgondzi cmoka językiem i zapewnia mnie, że znajdziemy w Kasbinie niezwyklej dobroci *engur*<sup>119</sup> i doskonale wino. Rzeczywiście, jakkolwiek kraj cały obfituje w winogrona, jakkolwiek w Teheranie do 20 gatunków tego owocu się spożywa, pierwszeństwo nad innymi należy się stanowczo winogronom kasbińskim. I 24 grudnia dane mi jest spożyć na wigilijny deser w *memban-khane* (dom gości, czyli hotel) winogrona z okolic Kasbinu, za jakie o tej porze roku w Paryżu płacić trzeba na wagę złota, a które tu nic prawie nie kosztują.

Kasbin zbudowany był w III wieku naszej ery. Harun ar-Raszyd upiększył wspaniale to miasto. Lecz podczas późniejszych wojen domowych zostało ono na poły zburzone. Gdy z ruin się odrodziło, zniosły je znowu w połowie XI i XII wieku dwa straszne trzęsienia ziemi. Ale na nowo wzrosło w potęgę: w XVI wieku szach Tamasp I<sup>120</sup> uczynił zeń stolicę Persji. Stąd Abbas Wielki przeniósł ją do Ispahanu.

Chardin opisuje Kasbin jako miasto o tysiącznej ludności, którego *madresseh* (szkoły) słyną szeroko w Iranie. Podróżnik z początku XIX wieku, Jacques Morier, twierdzi, że Kasbin większy jest od Teheranu. Lecz skończyły się dlań dni powodzeń i sławy: obecnie liczy zaledwie 30 000 mieszkańców. Persja współczesna biedniejsza jest niestety w ludność, w pieniądze, w ziemię uprawne i w miasta handlowe niż Persja z czasów Chardina.

Domy, jak we wszystkich miastach i wioskach, kryją się za nieskończonymi szeregami murów. Lecz główna ulica bardzo jest szeroka i ładnie drzewami zacieniona. Przypomina

<sup>118</sup>*kiefisz* — obuwie. [przypis autorski]

<sup>119</sup>*engur* — winogrona. [przypis autorski]

<sup>120</sup>*Tamasp I* (1524–1576) — szach Persji (od 1524), najdłużej panujący z dynastii Safawidów. [przypis edytorski]

zakątek Europy ze swymi telegraficznymi słupami, jaskrawo na szafir wymalowanymi i szpecącymi obrzydliwie pejzaż.

Kasbin niewiele już liczy pamiątek minionych epok swej wielkości. Główną jego ozdobą są dwa meczety, nie najlepiej przechowane. Jeden z nich, meczet Dżami, wzniesiony został przez Harun-al-Raszyda; drugi meczet Szach<sup>121</sup>, zbudowany był w XVI wieku przez Tamaspa. Całe są w mozaikach turkusowych i białych, tworzących artystyczne sploty linii i kwiatów.

Pietro della Valle, podróżnik wenecki, który zwiedzał Persję podczas panowania Abbasa Wielkiego, w okresie wspaniałości Kasbinu, mówi ze szczególnym zachwytem o pałacu zbudowanym przez Tamaspa, stanowiącym rezydencję monarchy. Obecnie z pysznego gmachu pozostało niewiele, a cudzoziemców do zwiedzania tego, co pozostało, nie dopuszczają. Tylko monumentalna brama wchodowa o ciekawych rzeźbach z kamienia pozwala przypuszczać, że opis Wenecjanina nie był zgoła przesadny.

Chardin, jako też i inni podróżnicy, dawni i współcześni, opowiadają o ruinach zamku feudalnego położonego o kilka mil od Kasbinu, u stóp góry Syalar.

Obrali byli w nim siedzibę rozbójnicy, należący do sekty nabateńczyków<sup>122</sup> (koczujące plemię arabskie) i sieli stąd daleko postrach przez lat 200. Marco Polo, Wenecjanin, w nadzwyczaj ciekawej swej relacji z podróży po Persji odbytej w końcu XIII wieku opisuje żywo i malowniczo to orle gniazdo i gnieźdzącego się w nim starego władcę gór, króla rozbójniczej braci: „*le Vielz de la Montagne qui avait à nom Alasdin*”<sup>123</sup>. Smutny koniec spotkał wojowniczych łupieżców. Po trzymiesięcznym oblężeniu zamku dostali się w tatarską niewolę „*e fut ocis le Vielz qui avoit a nom Alasdin, con tute sez homes*”<sup>124</sup>.

Dziś romantyczne dzieje tego wschodniego barona-rabusia nie pozostawiły we wspomnieniu nawet legendy, ruiny zamku zaś są smutnym, bezkształtnym zwaliskiem gruzów.

\*

Cywilizacja znalazła w Kasbinie swój wyraz w postaci hotelu urządzonego do pewnego stopnia na sposób zachodni. Gościnne pokoje nie odznaczają się, co prawda, luksusem, ani nawet wygodami, lecz kuchnia za to jest smaczna i przyzwoita i potrawy przyrządzone po europejsku.

Z innych jeszcze względów przedstawia Kasbin „wrota do raję”, jak go przesadnie nazywają Persowie. Prowadzi odeń do Teheranu, na przestrzeni 150 kilometrów, szeroka, równa pocztowa droga, przeprowadzona przez Nasr-Eddina.

Droga kosztowała podobno półtora miliona franków, z której to sumy więcej niż połowa zniknęła w kieszeni przedsiębiorcy. Sądzę, że wybaczą mi to ludzie najsurowszej cnoty, którzy dotarli tu po długiej podróży, pogruchotani torturą furgonu, kedżawe lub *tachtarawanu*<sup>125</sup>. W Kasbinie dzięki „królewskiemu gościńcowi”, tak zowią ten trakt pocztowy, można wsiąść do prawdziwego powozu i w niecałą dobę (18–20 godz.) przebyć 150 kilometrów dzielących go od Teheranu. *Czapar-khankh*<sup>126</sup> — stacje pocztowe rządowe — liczne są na tej przestrzeni; o konie na nich łatwo. Zaledwie, zatrzymawszy się, zdążymy wypić parę szklanek herbaty, a już ruszamy dalej.

Nasz powóz to jakaś odwieczna staroświecka karetka, wybita czerwonym aksamitem. Zdaje mi się, że jestem w królewskim pojeździe i tonę w błogości niezmiernej, tak zmieniają się wymagania ze zmianą szerokości geograficznej. Mrok już zapadł od dawna, gdy

<sup>121</sup>*meczeta Szach* — bardziej znany pod nazwą meczet al-Nabi (*Maszed al-Nabi*, meczet Proroka) lub *Maszed-e Soltani* (meczeta Królewski). [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*rozbójnicy, należący do sekty nabateńczyków (koczujące plemię arabskie)* — mowa o nizarytach, skrajnym odłamie muzułmańskich ismailitów, któremu udało się zbudować na terenie Iranu własne państwo z ośrodkiem w twierdzy Alamut (ok. 1090–1273), na wsch. od Kazwinu. W 1140 zdobyli górską twierdzę Maszaf w Syrii. Kiedy przywództwo nad nizarytami syryjskimi objął Raszyd ad-Din Sinan, zasłynęli wśród krzyżowców jako nieustraszeni zabójcy „asasyń”, dokonujący zamachów na przeciwników politycznych. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*le Vielz de la Montagne qui avait à nom Alasdin* (fr.) — Starzec z Gór, którego nazywają Alasdin. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*Et fut occis le vieux qui avoit à nom Aladin avec tous ses hommes* (fr.) — I został zabity starzec noszący imię Aladyn ze wszystkimi swymi ludźmi. [przypis autorski]

<sup>125</sup>*tachtarawan* — lektyka niesiona przez konie lub muły. [przypis autorski]

<sup>126</sup>*czapar-khankh* — *czapar*: poczta, *khaneb*: dom. [przypis autorski]

wyruszamy w drogę, gęsty śnieg świat przesłania, niewyraźnie mającą w dali ciemne zarysy łańcucha Elbursu, u stóp którego rozkłada się Kasbin i wzdłuż którego jechać będziemy do samego Teheranu.

Kiedy brzask świtać zaczyna, widzę wioski i osady, tulące się u podnóża gór w wiankach topoli i jujubów. Pełno sadów owocowych, winnic, pól uprawnych; wiosną i latem musi być to uroczy zakątek ziemi. Czuć w nim czynne życie, widać pracę człowieka. Słońce przebija szare mgły rannych tumanów i wypływa na niebo we wspaniałym majestacie, opromieniając weselem cały krajobraz zimowy. Fantastycznie poszarpane cyple gór twarżdo i ostro wcinają się w ciemny szafir nieba. Przed nami, daleko, na skraju horyzontu widnieje Demawend w wiecznych śniegów koronie.

Demawend, leżący o kilkanaście kilometrów wgląd za Teheranem, wznosi się na 7000 metrów nad poziomem morza i o dwa przeszło tysiące przewyższa szczyty otaczającego go gór pasma. Persowie, w których wyobraźni ojczyzna ich, w tym co dała jej natura i co dokonali ludzie, jest najpierwszym spomiędzy krajów ziemi, uważają Demawend za „wszystkich gór matkę, górę świętą”. Arka Noego zatrzymała się, według ich podań, na tym szczycie, który jest „źródłem światła, kolebką ludzkości”. Legendy kosmogoniczne azjatyckich narodów ogromnie kazały błąkać się tej arce, bo oto stanęła podobno również, jak twierdzą miejscowe podania, na górze Salazan<sup>127</sup>, na północo-wschodzie od Tebrysu. Salazan (4800 m) jest, zarówno jak Demawend i Ararat, wygasłym wulkanem.

Wioski coraz częstsze, ruch coraz większy, czuć bliskość wielkiego miasta. Dodać też należy, że trakt kasbiński jest wspólną drogą karawan idących z Małej Azji i od Morza Kaspijskiego. Nieskończonym sznurem wyciągnięte, kroczą wielbłądy z kryształowym śpiewem dzwonek, roznoszącym się dalekim echem w przezroczystym powietrzu. Osiołki, obciążone workami złotych pomarańczy, olbrzymich, podłużnych melonów i czerwonych granatów, niosą do stolicy codzienną daninę owoców. Muły, objuczone górami chrustu, wyglądają jak wielkie ruchome krzaki. Wciąż mijają nas w błyskawicznym pędzie jeźdźcy na przepysznych rumakach.

W podróży przez góry mogłam była ocenić nadzwyczajną zręczność i wytrzymałość zwierząt, lecz nie spotykałam właściwie tych pięknych koni, o których szeroko rozpowiadali mi w Paryżu znajomi Persowie. W Tebrysie zobaczyłam po raz pierwszy prześliczne białe, półarabskie wierzchowce, jakich nie powstydzilyby się w Europie stajnie królewskie, a które tu posiadają najwyklejsi śmiertelnicy. Nie ma prawie Persa tak biednego, który by nie miał choć jednego konia, a nie ma znów prawie koni nierasowych. Persowie celują w konnej jeździe i ćwiczą się w niej od dziecka. Siedmioletnie chłopięta pędzą galopem na oklep, nie trzymając nawet uzdy. W ogóle nadużywają tu galopu, nie znają klusa, lecz dobrze wyglądają na koniu w szalonym swym biegu. Za to kobiety nie śpieszą się w drodze, gdy podróżują na osle lub konno. Zwierzę stąpa krok za krokiem, przy nim wlecze się opieszale sługa lub przewodnik, towarzyszący zawsze najuboższej choćby hanum.

Na drodze kasbińskiej spotykamy, jak mówiłam, jeźdźców mnóstwo. Rynsztunek niektórych koni wspaniałe. Czapraki z jedwabnych cennych dywanów lub też szyte złotem na ispahańskim aksamicie. Uździenice i lejce pokryte są złotą i srebrną łuską. Widzę sokolników, trzymających na łańcuszku zakapturzonych drapieżników. Mijają też wspaniałe kawalkady: to magnaci, paradujący w otoczeniu sług i dworzan. W Persji żaden dygnitarz i żaden pan wielki kroku sam nie zrobi; jak grand hiszpański dawniej, Pers do dzisiejszego dnia skrępowany jest wielkością rodu, imienia, dostojeństwa: nie wolno mu ruszać się jak prostym śmiertelnikiem. Gdy czasem nawet odbywa pieszy spacer, idą przed nim i za nim słudzy. Gdy jedzie powozem lub konno, przodem pędzą przybocznicy *ferrasz*<sup>128</sup>, rozganiając tłum i torując drogę, z tyłu, za pojazdem posuwa się cały orszak postaci w kostiumach bogatych i jaskrawych. Dzikie to i barbarzyńskie z pewnością, ale niezaprzeczenie bardzo malownicze. Coraz więcej sadów i winnic. Okolicę użyznia rzeka

<sup>127</sup>Salazan — dziś popr.: Sabalan, nieaktywny wulkan w paśmie Małego Kaukazu, ok. 200 km na wsch. od Tebryzu, trzecia co do wysokości góra w Iranie. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>ferrasz — sługa konny torujący drogę przed panem. [przypis autorski]

Koń

Obyczaje, Pozycja społeczna

Kerech, której źródła wypływają z gór Elbursu<sup>129</sup>. Dojeżdżamy do ostatniej stacji przed Teheranem.

To Szach-Abbad<sup>130</sup> z pałacem Soleimanieh, zbudowanym przez słynnego Fet-Ali-Szacha<sup>131</sup>, drugiego króla z dynastii Kadżarów. Jedna to jeszcze z letnich rezydencji Nasr-Eddina, niezmordowanego podróżnika, nie darmo panującego nad licznymi plemionami nomadów. Monarcha nie często tu przebywa; wspaniały pałac jest zaniedbany, a otaczający go naokół rozległy i cienisty park wygląda na raj opuszczony.

Wciąż mamy przed sobą Demawend, którego śniegi olśniewająco iskrzą się w słońcu.

Do Teheranu dojeżdżamy, nie spodziewając się go prawie. Nie poprzedzają go bowiem, jak Khoj i Kasbin, długie szeregi ogrodów i szarych murów. Nagle widzę spoza skrzytu drogi kilka kopuł, kilka minaretów, szare błotniste masy domów i ogrodzeń, nagie szczyty topoli i rozłożyste gałęzie platanów. Oto już *Derwaseh Kasbini*<sup>132</sup>, jedna z dwunastu bram miasta, zdobna w niebiesko-białe majoliki i strzelająca w niebo smukłymi turkusowymi wieżycami.

Bramy strzegą wojownicy o minach sennych, przybrani w czerwone mundury. Na głowie mają niskie czapki barankowe, ozdobione z przodu złocistą blachą, na której nad lwem Iranu wschodzi puciołowate słońce.

Jesteśmy w mieście. Jedziemy wzdłuż brudnych, o niezachęcającym wyglądzie ulic, między murami z błota, tudzież rzędami topoli i platanów. Przez nową, niższą, mozaiką zdobną bramę wjeżdżamy na obszerny plac kwadratowy, na którym panuje ruch ożywiony: krążą tu pojazdy i toczy się tłum przechodniów. Dalej przez taką jak poprzednia bramę w barwne mozaiki wydostajemy się z placu na szeroką ulicę zda się w prostej linii ku góróm biegnącą; przed nami znów śnieżne szczyty, które świeciły nam od samego Kasbinu. Lecz tuż za bramą przystajemy przy jednym z pierwszych domów. Jest to piętrowy, przyzwoicie przedstawiający się budynek hotelu utrzymanego przez małżeńską parę Szwajcarów. Tu zatrzymamy się przez dni kilka, zanim urządzimy się u siebie.

Bo wędrówka skończona — dotarliśmy do portu.

## VII. TEHERAN

*Zewnętrzna fizjonomia miasta. — Plac broni, główne ulice. — Dzielnica europejska. — Dobrodziejstwa cywilizacji. — Typy uliczne. — Derwisze. — Spacer szacha. — Kareta Fet-Ali-Szacha. — Charakter zewnętrzny dzielnicy perskiej. — Bazar. — Dellale.*

Teheran od lat stu zaledwie, bo od 1795 roku, jest oficjalną stolicą, Persji. Wprawdzie już podczas najścia Afganów szach Hussein<sup>133</sup>, ostatni z dynastii Sofich<sup>134</sup>, utwierdził w nim swą rezydencję, lecz dopiero pierwszy monarcha z panującej obecnie rodziny Kadżarów<sup>135</sup>, Aga-Mohammed-Khan<sup>136</sup>, ogłosił go ostatecznie za stolicę. Na miejscu nędznych glinianych lepienek dawnej wioski, a późniejszej mieściny, chroniącej się w topolach i platanach, stanęły pokaźniejsze domostwa, pojawiły się gmachy, meczety, pałace, potężnie rozrósł się też i bazar.

<sup>129</sup>*Elburs* — pasmo górskie w pln.-zach. części Wyżyny Irańskiej, którego najwyższym szczytem jest Demawend. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*Szach-Abbad*, właśc. *Sa'adabad* — zespół pałacowy ok. 18 km na pln. od centrum Teheranu; złożony z kilkunastu budynków, założony w czasie panowania dynastii Kadżarów, rozbudowywany w czasach dynastii Pahlawich; obecnie większość budynków mieści muzea. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*Fet-ali-szach* — dziś popr.: *Fath Ali Szah Kadżar* (1797–1834). [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*Derwaseh Kasbini* — *Der*: drzwi, *waseh*: otwarte. [przypis autorski]

<sup>133</sup>*Hussein*, właśc. *Sultan Husajn* (1668–1726) — ostatni władca Persji (1694–1722) z dynastii Safawidów; pod koniec jego panowania doszło do powstania Pasztunów w Afganistanie: oddziały afgańskie zdobyły Isfahan, Sultan Husajn abdykował, a przywódca powstańców obwołał się szachem. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*Sofi*, właśc. *Safawidzi* — szyicka dynastia wywodząca się ze wschodniej Anatolii, panująca w Iranie w latach 1501–1736. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*Kadżarowie* — perska dynastia pochodzenia turkmeńskiego, władająca Iranem w latach 1794–1925; obalona w 1923 z inspiracji Wielkiej Brytanii przez Reżę Szaha, założyciela dynastii Pahlawi. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*Aga-Mohammed-Khan*, właśc. *Agha Mohammad Chan Kadżar* (1742–1797) — założyciel dynastii Kadżarów w Iranie; jako przywódca jednego z plemion turkmeńskich, wykorzystując wewnętrzny chaos w państwie, wszczął rebelię przeciwko rządzącej ówczesnie dynastii Zandów, zakończoną jego zwycięstwem w 1794. [przypis edytorski]

Pietro della Valle, który zwiedzał był Persję i Teheran w XVII wieku, podczas panowania Abbasa Wielkiego, nic godnego w mieście nie zaznacza, prócz wielkiej ilości platanów; nazwał je też „miastem platanów”.

Stolica Persji rozpostarła się na wielkiej przestrzeni, jak w ogóle zresztą wszystkie tutejsze miasta. Każda rodzina, nawet najbiedniejsza, posiada własny dom, najędźniejsze choćby oddzielne pomieszczenie. Przy domostwie znajduje się ogród, czy ogródek, wskutek czego każda grupa rodzinna rozsiada się na szerokim obszarze.

To, co mówiłam o Khoj, w zupełności zastosowuje się do zewnętrznej fizjonomii każdego perskiego miasta. Wzdłuż ulic biegną z dwóch stron mury z gliny i błota, sponad nich wyglądają wierzchołki drzew ogrodu. Furtki lub niskie bramy o ciężkich żelaznych zawiasach i ryglach prowadzą do mieszkalnego budynku, otaczającego czworobokiem ogród. Domy zazwyczaj parterowe, z rzadka posiadają jedno piętro — *balakhaneh*<sup>137</sup>. Dachy mają płaskie, lepione ze słomy i gliny i oparte na wątlym, drewnianym belkowaniu. Dachy te zapadają się z niesłychaną łatwością, gdy nadchodzi pora deszczów wiosennych, krótkotrwałych wprawdzie, lecz ulewnych. Nie ma prawie domu, w którym by jeden choć pokój nie ucierpiał, jakkolwiek mieszkańcy energicznie i wytrwale wodę z dachów zmiatają; rynny oczywiście nie istnieją. Na dachach gwarno i wesoło latem. Siedzą tam przez dzień cały, jedzą, pracują, modlą się i bawią.

Środek ogródka zajmuje nieodzowny basen w wianku róż, tamaryksów<sup>138</sup>, bżów i granatów. Woda, niezbyt często odnawiana, zamienia się w upalne dni lata w kałużę zielonkawatego błota. Podróżnicy unoszący się w zachwytach nad tymi basenami zwiedzali widać wyłącznie ogrody szacha i dostojników, gdzie woda zbiorników jest rzeczywiście jak kryształ przejrzysta i świeża, gdyż sprowadzają ją z niemalym kosztem z górskich strumieni. Lecz zawartość w basenie przeciętnego śmiertelnika zmieniana bywa raz lub co najwyżej dwa razy na miesiąc, a w Europejczyku wprost budzi odrazę. Persowie jednak nie dzielą naszych na tym punkcie uprzedzeń. Myją się w tym cuchnącym płynie, pocierając nim twarz i ręce; są przy tym najmocniej przeświadczeni, że czynią zadość wszystkim wymogom higieny i czystości, tym bardziej że odczuwają potrzebę nurzania rąk w lepkiej mazi basenu po kilkanaście razy dziennie. Widziałam niejednokrotnie Persów z najlepszej sfery, wysokich dygnitarzy, przybywających do mego męża na konsultację lub z wizytą, jak przed wejściem do poczekalni pochylali się nad basenem, ażeby obmyć ręce w jego podejrzanej przezroczystości wodzie.

W ogóle też lubią przesiadywać przy basenach godzinami całymi; rzekłbyś, że woda ich hipnotyzuje. Może dlatego, że kraj w nią nie obfituje, że z gór mozolnie ją do kanałów sprowadzać trzeba, że rzeki świecą częściej wyschlým kamiennym łożyskiem niż srebrną wód falą. Faktem jest w każdym razie, że spędzają długie dnia godziny wpatrzeni w głąb mętną, zieloną, zadumani głęboko, ujawszy głowę w dłonie lub ciągnąc machinalnie kalian. Co widzą w tafli wodnej? O czym myślą? Czy myślą?

W domach ludzi mniej zamożnych enderum i birun, jakkolwiek wyraźnie rozgraniczone, w jednym mieszczą się budynku. W sferach bogatych i arystokratycznych kobiety posiadają oddzielne domostwo, umieszczone za birunem, w głębi ogrodu.

\*

Teheran otoczony jest wałem obronnym i murem. Wał jest podobno nieszczególny, mur zlepiiony z ziemi kruszy się i szczyrbi wyłomami. Słabą nader byłby ochroną przeciw nieprzyjacielowi. Dwanaście bram, Derwaseh, w tym murze otwartych, prowadzi do dwunastu różnych części miasta. Wszystkie zdobne są jednakowo w smukłe wieżyczki, ze wszystkich świecą niebieskie, białe, szafirowe majoliki, mozaiki kwiatów, liści, arabesk, ptaków, zwierząt i wojowniczych postaci.

Nad najbliższą naszego domu Bramą Szimrańską króluje w mozaice Fet-Ali-Szach, roztaczając olbrzymi wachlarz swej czarnej brody.

<sup>137</sup>*balakhaneh* — dosłownie: wysoki dom. [przypis autorski]

<sup>138</sup>*tamaryks, tamaryksów* — dziś popr.: tamaryszek, tamaryszków (łac. *Tamarix*, rodzaj krzewów lub młodych drzew o krótkim pniu i gęstej koronie, występujących na pustyniach, półpustyniach i stepach). [przypis edytorski]

Środkowy punkt miasta stanowi wielki czworokątny plac, Majdani Tophaneh<sup>139</sup>, plac broni (dosłownie: plac domu armat), otoczony ze wszystkich stron jednostajnymi zabudowaniami arsenału i otwierający luki sześciu bram, przybranych w majolikę jak bramy miejskie, na sześć głównych ulic. Budynek okalające plac wymalowane są na jaskrawe barwy; od tła czerwono-zielonego odbijają żywo dobroduszne lwy i naiwne słońca Iranu.

Na środku placu kilkanaście drzew tworzy niewielki skwer czworokątny, w którego rogach ustawiono cztery armaty. Abbas Wielki zabrał je był na Portugalczykach. Wystrzał, rozlegający się z jednej z tych armat zwiastuje miastu południe, drugi wystrzał obwieszcza zachód słońca. Przez miesiąc Ramadanu, miesiąc postu i umartwienia, wystrzały rozbrzmiewają trzy razy dziennie. Pierwszy z rana, o wschodzie słońca, nakazuje wiernym, by jeść przestali, drugi oznajmia godzinę południa, trzeci o zachodzie słońca, zwiastuje chwilę, w której wolno zabrać się na całą noc do wchłaniania pokarmów. Ludzie przepisy religii ściśle obserwujący<sup>140</sup> mogą bowiem przez Ramadan jeść jedynie pomiędzy zachodem i wschodem słońca. Lecz o tym później.

Z trzech stron placu ulice prowadzą do dzielnic czysto perskich: do bazaru, do głównego meczetu, do pałacu miejskiego szacha, na plac musztry, do *merizkhaneh*<sup>141</sup>, szpitala, wzniesionego staraniem Nasr-Eddina.

Z czwartej, ostatniej strony dwie bramy wychodzą na dwie równoległe ulice biegnące ku Derwasz Szimrani, za którą rozpoczyna się właściwa wieś Teheranu. Stąd ciągną drogi do podmiejskich pałaców szacha, do gór i wiosek w nich ukrytych, dokąd Europejczycy podążają w skwarne miesiące lata.

W dwóch tych dość długich ulicach, tudzież w kilku przylegających do nich skupia się całe życie europejskiej kolonii.

Tu — z wyjątkiem rosyjskiej — mieszczą się legacje<sup>142</sup> wszystkich mocarstw, tu wznosi się kościółek katolicki, tu zakład sióstr świętego Wincentego à Paulo, które pod protektorem francuskim założyły szkołę dla dzieci armeńskich i szpital dla wszystkich potrzebujących pomocy, bez różnicy ras, narodowości i wyznań.

Tu mieszkają Europejczycy pozostający w służbie rządowej, a więc instruktorzy wojska, profesorowie Collège Impérial, wyższej szkoły o zakresie mniej więcej uniwersyteckim, doktorzy, dyrektorzy banków, urzędnicy telegrafu angielskiego, wreszcie kilku przedsiębiorców.

Tu wreszcie znajduje się klub, bez którego Europejczyk nigdzie obejść się nie może, a na który Pers patrzy z mieszaniną strachu, pogardy i zaciekawienia.

Klub posiada bilard i rozklekotane pianino, otrzymuje kilka pism różnojęzycznych, przeważnie jednak francuskich, prowadzi kuchnię i stołuje młode filary dyplomacji, urzęduje zebrania rodzinne, wreszcie pozwala miłośnikom damy pikowej na straszliwe zgrywanie się w *écarté*<sup>143</sup>, pokera i wista<sup>144</sup>. Bakarat został zabroniony na skutek przegrania przez pewnego *attaché*<sup>145</sup> ambasady tureckiej dwustu tysięcy franków w ciągu jednego wieczoru.

Legacji i domów Europejczyków pełniących służbę rządową strzegą wojacy tak obdarci i brudni, że nie opisze ich najwięcej realistyczne pióro.

Od czasu do czasu nadziewają niezdarne czerwone mundury i idą na musztrę; za powrotem do domu nakładają znów pospiesznie swe postrzępione lachmany, w których widocznie lepiej się czują.

Rząd udziela tym obrońcom kraju pensje minimalne i nakłada na nich obowiązek żywienia się własnym kosztem.

<sup>139</sup>*Majdani Tophaneh* — plac Tupchane, główny plac miejski na południu centralnej dzielnicy Teheranu; zbudowany w 1867, po islamskiej rewolucji irańskiej (1979) przemianowany na plac Imama Chomejniego. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*obserwować* (daw., z łac.) — tu: zachowywać; przestrzegać. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*merizkhaneh* — dom chorych. [przypis autorski]

<sup>142</sup>*legacja* (daw.) — poselstwo, misja poselska; tu: placówka dyplomatyczna. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*écarté* (fr.) — dawna hazardowa gra karciana dla dwóch osób, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*wist* — dawna gra w karty podobna do brydża, popularna w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*attaché* (fr.) — przedstawiciel dyplomatyczny niskiego stopnia. [przypis edytorski]

Od osób, których całość i bezpieczeństwo powierzone są ich pieczy, pobierają płacę 7–10 kranów<sup>146</sup> miesięcznie! I pomimo tak niesłychanie szczupłych środków istnienia zbierają grosze.

Nie próbuję nawet zrozumieć, w jaki sposób kombinują swój budżet, stwierdzam tylko, iż wszyscy bez wyjątku zajmują się drobną lichwą.

Ulice w dzielnicy europejskiej przedstawiają się względnie czysto. Mówię względnie, gdyż, moim zdaniem, Teheran mimo swej nazwy (*tebran* znaczy czysty) jest miastem rzetelnie brudnym, a w wiosenne dni deszczów, trwających do dwóch tygodni, zamienia się w jedną rozlewną kałużę, po której niepodobna chodzić pieszo.

Na szczęście dla ludzi nieposiadających własnego powozu, istnieją tu dorożki, oplakane wprawdzie gruchoty, drogie przy tym niemiłosiernie, ale umożliwiające przynajmniej jako tako komunikację. Dorożki należą do prywatnego przedsiębiorcy, Belga.

Belgowie nie ograniczyli się na obdarzeniu miasta tym dobrodziejstwem. Im również zawdzięcza Teheran kolej: maleńką, na kilkunastu kilometrach wyciągniętą linię, prowadzącą do słynnego meczetu Szah Abdulasim<sup>147</sup>, celu wędrówki pobożnych tłumów. Podburzana przez fanatycznych mułów gawieź porozbijała pierwsze wagony i lokomotywy, zabito maszynistę. Z czasem niechęć ostygła; kolej mogłaby funkcjonować z prawdziwym powodzeniem, ale jedyne cztery lokomotywy, sprowadzone z Europy, zepsute są najcałkowiciej. Udało mi się jednak odbyć wycieczkę do Szah-Abdulasim za życia ostatniej z lokomotyw.

Otwarte, letnie wagony przepełnione były seidami i mułami<sup>148</sup>.

Do towarzystwa belgijskiego należą też tramwaje, przerzynające kilka ulic; biedniejsi Persowie korzystają z nich bardzo chętnie, Europejczycy natomiast zupełnie ich nie używają.

Belgowie wreszcie założyli fabrykę szkła i fabrykę cukru, naokół której urządzają plantacje buraków.

Nie wiem, czy buraki nie wschodzą, czy brak rąk roboczych, pewna jednak jestem, że niczyje oczy nie oglądały jeszcze cukru fabryki belgijskiej. Może zresztą obecnie lepiej jej się dzieje.

Fabryka gazu założona znów została przez prywatnego przedsiębiorcę Francuza, który zainstalował również gazowe oświetlenie. Szafirowe i czerwone słupy latarni szpecą ogródki szacha i wielkiego wezyra, tudzież z rzadka rozrzucone są wzdłuż ulic. Gaz cierpi na ogólną anemię: gaśnie, nim go zapala. W ogóle dzieją się z nim dziwne tragedie i istnienie jego jest raczej symboliczne niż realne. Wieczorami zalegają ulice fantastyczne mroki, wychodząc więc na miasto, należy brać z sobą *karaula*<sup>149</sup> niosącego *fanus*, tj. wielki, papierowy, w mosiądz oprawny lampion.

Oto wszystkie nabytki cywilizacyjne stolicy króla królów.

Cała sieć linii kolejowych pokryje podobno wkrótce Iran od Morza Kaspijskiego do Zatoki Perskiej.

Cywilizacja wleje się potężną falą, przyniesie wszystkie swe zdobycze i wynalazki, wszystkie swe cuda...

Lecz kiedy dymy lokomotyw płamić zaczną szafir nieba i czepiać się czarnymi kłębamami po gór skłonach, kiedy zgrzyt kół fabrycznych zagłuszać będzie monotonne, żalosne nawoływania derwiszów<sup>150</sup> i klócić ciszę wieczorną, gdy trotuary zalegną brzegi ulic, a sklepy zajaśnieją blaskiem świateł elektrycznych, Persja przestanie być jednym z ostatnich zakątków ziemi, gdzie artysta szukający natury jeszcze niezgwałconej przez człowieka, rozkochany w harmonii barw, światła i tonów napawać może wzrok obrazami, których wspomnienia na zawsze mu pozostaną w myśli i wyobraźni.

W teraźniejszym Teheranie pewne części dzielnicy perskiej, pewne widoki, obcho-

Historia

<sup>146</sup>pobierają płacę 7–10 kranów miesięcznie — kran wart jest obecnie pół franka. [przypis autorski]

<sup>147</sup>Szab Abdulasim — sanktuarium Szah Abdul Azim, ważne miejsce pielgrzymkowe, znajdujące się w mieście Rej (ob. część Teheranu); zawiera grób Szacha Abdula Azima, potomka Hasana ibn Alego (wnuka Mahometa i drugiego z 12 imamów szyizmu) i towarzysza Muhammada al-Taki (dziewiątego z imamów szyizmu), który został tu pochowany w IX wieku; w sąsiedztwie sanktuarium znajdują się mauzolea dwóch krewnych innych imamów. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>seidowie i mułowie — seid: potomek proroka, mułta: zwyczajny duchowny. [przypis autorski]

<sup>149</sup>karaul — żołnierz strzegący domu. [przypis autorski]

<sup>150</sup>derwisz — żebrzący, ascetyczny, wędrowny mnich muzułmański. [przypis edytorski]



dy, uroczystości są jakby obrazami zamierzchłych dziejów; patrząc na nie, zapomina się o chwili obecnej. Wieki się cofnęły, czas stanął w biegu. W krajobrazach, w gestach, w kostiumach ludzi odżywają minione chwile historii świata.

Gdy wyjeżdżam na spacer za miasto i patrzę na pracujące w polu kobiety w lekkich, jaskrawych czadurach, zdaje mi się, że widzę Rut i Noemi<sup>151</sup>, zbierające kłosa. Gdy czerpią ze strumienia wodę w wielkie gliniane amfory i zręcznym ruchem stawiają na ramieniu, przypominają Rebekę<sup>152</sup> przy studni.

Derwisze w białych sukniach, o długich splotach czarnych i ciemnorudych włosów, o twarzach pięknych i ściągłych, promieniejących nieraz ascetyczną ekstazą, derwisze-anachoreci<sup>153</sup>, wyzuci z potrzeb doczesnych — przywołują na myśl proroków Testamentu.

Pospieszam dodać, że mówię o czysto zewnętrznej stronie rzeczy. Wiem, iż ci ludzie wyzuci są z potrzeb, lecz nie wiem, czy liczą w swym gronie wielu natchnionych proroków. Wiem za to, że z zamiłowaniem i powodzeniem oddają się żebraniu. Mam swoich derwiszów, którzy po prostu przejść mi przez ulicę nie dają i gdziekolwiek mnie ujrzą, wyciągają rękę o datek jak o rzecz należną im z prawa. Żebrzą z wytwornym wdziękiem i przyjmują jałmużnę z godnością i powagą; miedzianych monet, zwłaszcza od *frengi*, nie uznają: trzeba im srebra.

Żebrak

Na ulicach coraz to nowe, niespodziewane widowisko wzrok przykuwa. Oto dąży do pałacu monarszego pyszny orszak magnata. Spod stóp koni ogień pryska; z krzykiem „*hawarda, hawarda*”<sup>154</sup> pędzą ferrasze, pałkami tłum rozganiając; w tumanach pyłu toczy się za nimi powóz lub karetą, przez cztery, czasem sześć arabskich koni niesiona, w niej nieruchoma hieratyczna postać. Za pojazdem sunie ciżba konnych pacholców.

Pozycja społeczna

A orszak szacha! Gdy „król królów, biegun świata, źródło wiedzy” wyrusza na spacer lub wraca do Teheranu z podmiejskich zamków, biegną przodem ferrasze z pałkami, za nimi jeźdźcy o laskach z wielką srebrną gałką, dalej piesze laufry<sup>155</sup> w olbrzymich czapkach, krótkich czerwonych ubraniach, białych pończoszkach i trzewikach o wysokich obcasach — wreszcie powóz królewski.

Szach jest w nim zawsze sam tylko; żaden z jego poddanych, żaden nawet z książąt krwi nie może dostąpić szczytu towarzyszenia monarsze.

Za karetą cała kawalkada przybocznej świty: generałowie, oficerowie, dygnitarze, Persowie, Turkomani, Afganowie w swych malowniczych kostiumach, w zawojach jedwabnych o żywych barwach z frędzlą zawadiacką na bok się zwieszającą — smukli, szczupli, nerwowi.

Dalej jadą *gulami*<sup>156</sup>, wiozący w dywanowych *kurdżynach*<sup>157</sup> kaliany i rozliczne sprzęty, bez których Szah-in-Szah na krok się nie rusza, broń monarchy i dygnitarzy, przybory kuchenne.

Setki ludzi, setki kostiumów, setki typów; przed wiekiem, przed laty trzystu i przed laty pięciuset tak samo wjeżdżali do swej stolicy, w tym samym otoczeniu, w tej okazałości pełnych fantazji kostiumów, z tymże ceremoniałem Tamasp I, Abbas Wielki, Fet-Ali-Szach. Nie niosły ich tylko europejskie karety.

Pietro della Valle opowiada bowiem, że podczas jego bytności w Ispahanie Anglia, od dawien dawna kokietująca Persję, ofiarowała Abbasowi Wielkiemu wspaniałą karetę; monarcha wschodni pogardził wszakże tym prezentem, bo nawet na próbę wsiąść do pojazdu nie chciał. Zamknięto powóz i zapomniano o nim na zawsze.

<sup>151</sup>*Rut i Noemi* — postacie z biblijne z *Księgi Rut*: uboga wdowa i jej owdowiała teściowa; na polu Booza, bogatego krewniaka Noemi, Rut zbierała pozostawione przez żniwiarzy kłosa, żeby zapewnić wyżywienie sobie i teściowej. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*Rebeka* — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*: żona patriarchy Izaaka, matka Ezawa i Jakuba; służąca Abrahama, który w odległym mieście miał znaleźć odpowiednią żonę dla Izaaka, wybrał ją, kiedy zgodnie z jego modlitwą o znak dała mu wody ze studni i napiła jego wielbłądy. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*anachoreta* — pustelnik; samotnik i asceta. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*hawarda* — z drogi. [przypis autorski]

<sup>155</sup>*laufër* (daw., z niem.) — służąca biegnący przed pojazdem swego pana; goniec. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*gulam* — służący. [przypis autorski]

<sup>157</sup>*kurdżyna* — worek. [przypis autorski]

Poselstwo angielskie przybyło do Teheranu w początku XIX wieku, w r. 1812, przywiozło również w darze karetę panującemu wówczas Fet-Ali-Szachowi. Nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia, w jaki sposób wręczono królowi ten upominek<sup>158</sup>.

Otóż poselstwo wiozło z sobą mnóstwo bogatych prezentów dla króla: kilkadziesiąt zwierciadeł weneckich, fortepian, różne meble, wreszcie parę karet. Persja nie posiadała widać jeszcze w tej epoce nawet swych przedhistorycznych furgonów. Rzeczy, przybyłe z Europy przez Zatokę Perską, stamtąd przez Bussyr<sup>159</sup> i Sziraz przyciągnięte zostały do Teheranu przez ludzi, ponieważ z powodu potężnych rozmiarów pak niepodobna ich było ładować na wielbłądy. Miły temat do rozmyślań: ten parias-człowiek ponoszący trud fizyczny, którego bydlę przenieść nie jest zdolne...

Dary Wielkiej Brytanii dotarły do Teheranu w stanie oplakany: lustra były potłuczone, meble połamane. Jednakże udało się wyreparować jedną z karet. Gdy ją przed pałac królewski przyciągnięto, Fet-Ali-Szach obszedł ją naokół po kilkakroć i podziwił wspaniałość wyrobu. Wreszcie, zdjąwszy obuwie, wszedł do karety i usiadł na aksamitnych poduszkach. Wtedy kilku najwyższych dostojników kraju poczęło ciągnąć pojazd. Rozrywka trwała godzinę, król królów bawił się znakomicie i wyraził ambasadorowi swe zadowolenie, obdarzając go cennym podarkiem. Po czym zamknięto karetę do składów i światła dziennego więcej nie ujrzała.

Wracam do obrazów ulicznych Teheranu. Szukać ich należy przede wszystkim w dzielnicy perskiej, w jednej z ulic przylegających do bazaru. Nikłe cienie kobiet owiniętych w ciemne czadury, w fioletowych lub zielonych szarawarach, suną tajemniczo wzdłuż murów. Inne jadą na osłach, prowadzonych za uzdę przez służących. Tam kroczy muł, obuczony kołyskami kedźawie, tu ciągnie do bazaru karawana wielbłądów, prowadzona przez posępnych i dzikich czerwadarów, tłum ludzki płynie zwartą falą; Persowie w długich swych sukniach, spadających w prostych fałdach na atlasowe żupany, w wysokich barankowych kholach, Tatarzy w tulupach i płaskich szerokich czapach, Kurdowie o pięknych energicznych twarzach, w zawojach czerwono-niebieskich, Indusi i Afgani, Arabowie i Turcy, Armeńczycy i Czerkiesi, mułlowie i seidzi, robotnicy z bazaru i handlarze uliczni w krótkich fałdowanych tulupach i wojłokowych myckach, wędrowni derwisze, skórą okryci, półnaczy, z pałką jak maczuga w ręku. Niewyczerpana to skarbnica studiów dla artysty, niezliczone bogactwo typów, obrazów, barw, kostiumów, a na wszystko płyną z nieba potoki światła i słońca.

A bazar? Kto go nie widział, nie wie, czym jest miasto wschodnie. Bazar to jego serce, nieprzerwanym życiem tętniące, wchłaniające całą jego energię, przetwarzające ją i oddające znowu. Miasto to w mieście, mające swe ulice, swe meczety — jest ich cztery w bazarze teherańskim — swe karawanseraje i swe dzielnice: każdy przemysł i każda narodowość w innej części się mieszczą, bazar perski oddzielony jest całkowicie od bazaru armeńskiego.

Zwiedzać można to szczególniejsze targowisko po kilkanaście i kilkadziesiąt nawet razy i na pewno nie obejrzało się jeszcze wszystkich jego zaułków. W Teheranie, tak jak w Tebrysie, nad ulicami bazaru rozciąga się dach, w którym umieszczono dość liczne otwory pozwalające przenikać światłu. Sklepy są przeważnie tak małe, że wejść do nich trudno. W otwartych drzwiach na podwyższeniu okrytym dywanem siedzi majestatycznie kupiec, podwinąwszy pod siebie nogi, zapijając herbatę lub paląc kaliań. Przed nim i za nim rozłożone bogactwa jego sklepu; nieraz te ciasne izdebki mieszczą prawdziwe skarby. Kupiec, nieruchomy i poważny, nigdy gestami ani słowem nie zachęca przechodnia do oglądania lub kupowania.

Są też w bazarze wielkie składy towarów europejskich; tym już brak wszelkiej odrębności, tym bardziej że sprzedają najordynarniejszą tandetę: porcelany i szkła we wszystkich kolorach tęczy, jaskrawe muśliny, kretony i materie, wstążki i kwiaty; pończochy i rękawiczki jedwabne, zielone lub fioletowe. Ulubione to kolory kobiet perskich: używają ich i nadużywają beżmiernie.

<sup>158</sup>Nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia, w jaki sposób wręczono królowi ten upominek — Opis czerpany z podróży Jacques'a Morres, sekretarza poselstwa. [przypis autorski]

<sup>159</sup>Bussyr — dziś popr.: Buszehr (daw. Abu Szahr), miasto w pld.-zach. Iranie, nad Zatoką Perską; stolica prowincji. [przypis edytorski]

W bazarze właściwych wyrobów wschodnich wzrok mój najwięcej ciągną dywany i jedwabie. Dywany, od najskromniejszych wojłoków do najpyszniejszych kobierców jedwabnych, idą całą gamą tonów, cieni i połysków. Tu wyroby turkomańskie o deseniach regularnych, granatowych i białych na tle czerwonym; dywany to drogie, lecz niezniszczalne. Dywany z Dagestanu mają tła jasne, po których biegną delikatne arabeski; dywany Hamadanu najwięcej są do europejskich doбором kolorów i deseniem zbliżone; przednie wreszcie kobierce z Heratu, jedwabne i półjedwabne mienią się najpiękniejszym skojarzeniem barw i tonów. Na ich tle biało-żółcistym, srebrzysto-popielatym, niebiesko-stalowym lub ciemnoróżowym płaczą się ze znakomitym zmysłem ornamentacyjnym pomyslane arabeski, kwiaty, rzucane delikatnie kiście palm jak na szalach perskich. Wznoszą się też na nich, jak na obrazach prymitywistów, naiwnie rysowane hieratyczne drzewa o czerwonych owocach. U stóp drzew stoją pawie, rozpościerając zielono-szafirowe wachlarze swych ogonów. Po tych dywanach stąpają tylko królowie i miliarderzy. Zwyczajni śmiertelnicy zawieszają je na ścianach jak obrazy.

W bazarze materii, przy mieniących się, brzydkich i sztywnych jedwabiach wyrobu miejscowego lśnią aksamity i jedwabie z Kaszanu, na których tle czerwonym lub fioletowym rzucane są zygzakowate linie promieni żółtych i zielonych. Jedwabie z Brussy<sup>160</sup> i fulary indyjskie o szafirowo-żółtych motywach, tak miękkie i wiotkie, że przez pierścienek przeciągnąć je można, sąsiadują z materiałami ispahańskimi, szytymi złotem, srebrem i jedwabiami o przyćmionych barwach. Z kosztownych tych tkanin robią cenne chałaty<sup>161</sup>.

Dalej idzie szereg sklepów z wyrobami sukiennymi z Resztu. Na tło jednego sukna nakładają — w desenie liści, kwiatów, zwierząt, ptaków itp. — kawałki innych sukien zahaftowane kolorowymi jedwabiami. Brutalna jaskrawość barw i wulgarność rysunku cechuje nowoczesne wyroby tego miasta. Ale między dawnymi są prawdziwie artystyczne czapraki, serwety, zasłony. Gonią się na nich fantastyczne chochliki i zwierzęta, wykwitając wielopromienne słońca i dziwne drzewa rozpościerają szerokie konary.

Tam znów rozłożone są jedwabne haftowane serwety, przezroczyście zasłony, przesnute złotem, grube płótna bucharskie, wyszyte w śmiałe rzuty kwiatów, ptaków i arabesk.

Tam jeszcze sprzedają ispahańskie kalemkory, wyrabiane, jak twierdzą złośliwe języki, w Manchesterze. Rzecz to najzupełniej możebna, bo te nowoczesne kalemkory różnią się całkowicie od dawnych, nieskończenie delikatniejszych, jako wyrób i koloryt. Lecz nowoczesne, dajmy na to manchesterskie kalemkory, są mimo niedbałego rysunku i ostrych kombinacji kolorów efektowne i ciekawe. Są to wielkie płótna drukowane, na których tle, najczęściej białym, a rzadziej czerwonym lub granatowym ciągną się wielkie bukiety kwiatów i węzowate sploty fantastycznych liści, ujęte w szeroką ramę napisów z Koranu. Rysunki innych kalemkorów przypominają sceny ze Starego Testamentu, wieżę Babel, ofiarę Izaaka. Na innych jeszcze widać drzewo wiadomości złego i dobrego, Rustema<sup>162</sup> depczącego diabła, Fet-Ali-Szacha z rozłożystą czarną brodą, sceny z życia obyczajowego: kobiety w sukniach jak balony nadętych, palące kaliany i zjadające ssirini. Szeroki uśmiech zastygł na ich księżycowych twarzach. A wszędzie pawie i w ogóle ptaki. Ptak, muzy, króluje w ornamentyce perskiej nad innymi motywami. Odtwarzają go na kalemkorach, bucharach, dywanach, starych malowidłach i porcelanach, które wyrabiali tu na miejscu przed stu laty chińscy garncarze; robią go ze stali inkrustowanej złotem, ryją go dłutem w miedzi, mosiądzu, srebrze.

W bazarze wyrobów miedzianych oglądać można rzeczy przepiękne; panuje w nim tylko hałas nie do wytrzymania. Wyrabiają tu przedmioty codziennego użytku: misy, miseczki, okrągłe olbrzymie tace, na których podają na Wschodzie posiłek. Lecz są tu i wyroby dawne z Kasbinu i Ispahanu: wazony, amfory, miski, tace staroświeckie, na których robotnik-artysta wyrzył dziwaczne chimery, sploty liści, zwierzęta, ludzi, epizody wojenne i sceny obyczajowe w obramowaniu oryginalnych napisów z Koranu.

W tejsze części bazaru nęcą wzrok stare bronie, szable i kindżały, całe rynsztunki rycerskie, szyszaki i naramienniki, tarcze stalowe, inkrustowane złotem i srebrem w bo-

<sup>160</sup>Brussa — ob. Bursa, miasto w pñ.-zach. Turcji, 25 km od morza Marmara. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>chalat — suknia wierzchnia, okładana zwykle sobolami, którą w dowód łaski szach ofiarowywa książętom krwi lub dygnitarzom. [przypis autorski]

<sup>162</sup>Rustem — bohater podań, jak Herkules grecki. [przypis autorski]

gatej fantazji desenie. Dalej skrzynie, skrzynki, skrzyneczki z *batemu* — mozaiki z kości słoniowej, perłowej masy i delikatnych blaszek złota. Skrzynki ispahańskie z aksamitu haftowanego bladymi jedwabiami, złotem i srebrem; ciężkie skrzynki żelazne i stalowe, wysadzone złotem w wojownicze postacie królów otoczonych przez kornie schylonych dworaków.

Kto wejdzie do bazaru z dobrze wypełnioną sakiewką, nie oprze się pokusie opuszczenia go z próżną kieszenią. Bo nie zwiedziliśmy jeszcze wszystkiego, co się w nim kryje. Oto srebrne wyroby z Ispahanu i Szirazu, wypukłorzeźby pokrywające tace, solniczki, *kalemdany*<sup>163</sup>. Oto prześliczne staroświeckie malowidła: kolory i złoto nakładane jak u prymitywistów, niesłychanej subtelności ornamentacje; oto delikatne miniatury na kości słoniowej i inne pospolitsze na metalowej płycie. Oto słynne *reflets métalliques*, palone w ogniu gliny, mieniające się blaskami roztopionych metalów; sekret ich wyrobu zaginął dziś całkowicie i najmniejsze zabytki sprzedawane są na wagę złota. Ze współczesnych garncarskich wyrobów przypominają je najwięcej rzeczy wyszłe<sup>164</sup> z pracowni Golfe-Juanu.

A bazar kalianów! Są w nim kaliany najprostsze, z grubego szkła, ordynarnej<sup>165</sup> porcelany lub szyfrowego<sup>166</sup> kamienia korassańskiego, i najdroższe, najwspanialsze, staroświeckie i artystyczne, zdobne w emaliowane medaliony i okolone festonami<sup>167</sup> pereł, turkusów, szmaragdów.

W bazarze jubilerów kryją się miliony milionów. Olbrzymie turkusy, tak ciemne, jak błękitne niebo Wschodu, szafiry, perły z zatoki Perskiej, szmaragdy z Synaju, brylanty, ametysty, rubiny. Staroświeckie klejnoty, wielkie kolczyki, broszki, naszyjniki w ptaki, kwiaty i liście, sadzone różnobarwnymi kamieniami, wyglądają barbarzyńsko i ciekawie.

Sztuka

\*

Rozłożone w innej części tytonie, od jasnozłoty do czarnych prawie, schodzą gamą żółtobrazową. Całe długie ulice zajmuje bazar produktów spożywczych i bazar owoców. Granaty wielkie, czerwone i słodkie, soczyste pomarańcze, cytryny kwaśne i cytryny słodkie, olbrzymie jak głowy ludzkie; bachanalia<sup>168</sup> winogron zielonych, złotych, czarnych i rubinowych; jedne z nich maleńkie i jak miód słodkie, schną na gałązkach w rodzenki; inne znów, długie na pół palca, zielono-różowe, najładniejsze są, lecz nie najlepsze. Podłużne melony ispahańskie, białe jak śnieg i jak śnieg zimne, zwyczajne melony stref naszych, figi, daktyle, pistacje. Zdaniem moim, najgorzej dojrzewają na gruncie Persji gruszki, brzoskwinie i wiśnie; nie są ani słodkie, ani smaczne. Porzeczek i agrestu nie ma wcale; maliny hoduje kilku Europejczyków, a truskawki pielęgnują *baghbani*<sup>169</sup> w ogrodach różnych dostojników i sprzedają je za dość słoną cenę, oczywiście bez wiedzy swych panów.

Jedzenie

Jednym z najcharakterystyczniejszych obrazów bazaru jest widok ulicznych kuchni. *Aszpez*<sup>170</sup> bazarowy rozdmuchuje leniwie wachlarzem ogień z drzewnych węgli tłący się na małej, żelaznej fajerce, nad którą warzy się na parze ryż w ilościach niezmiernych lub pomidory nadziewane tymże ryżem albo mięsem. Nad innymi fajerkami skwierczą na rożenkach kebaby i gotują się potrawy z baraniny, zaprawione przepalającym podniebieniem sosem. W glinianych miseczkach piętżą się góry marynat (*turszi*), kwaszonych ogórków, melonów i najróżnorodniejszych jarzyn w occie. Prawowierny Pers nie uznaje bez nich jedzenia. Przy ulicznych tych kuchniach pełno też *kabwe-kbaneh* (dom kawy), w których

Jedzenie, Handel

<sup>163</sup>*kalemdany* — piórniki, często bardzo artystycznie malowane lub rzeźbione. Każdy Pers nosi ze sobą zawsze taki piórnik; jest w nim kałamarzyk, napełniony gęstym atramentem podobnym do tuszu. [przypis autorski]

<sup>164</sup>*wyszle* — dawna forma imiesłowu przymiotnikowego, dziś zastępowana raczej zdaniem podrzędnym, np.: które wyszły (tu: pochodziły) z pracowni Golfe-Juanu. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*ordynarny* (daw.) — pospolity, zwykły. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*szyfrowy* — tu: przym. od *szjfer*, odmiana łupku, kamienia charakteryzującego się dużą łupliwością. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*feston* — element dekoracyjny w formie podwieszonoego po bokach pęku kwiatów czy owoców lub fragmentu tkaniny upiętej guzami, inaczej girlanda. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*bachanalia* — w starożytnym Rzymie uroczystości na cześć Bachusa, boga wina; tu: szaleństwo obfitości. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*baghban* — ogrodnik. [przypis autorski]

<sup>170</sup>*aszpez* — kucharz. [przypis autorski]

kipią potężnych rozmiarów samowary i warzy się aromatyczna kawa w miedzianych czarkach o długich rączkach. Persi, tak jak Turcy, nie cedzą kawy przez żadne filtry. Przetartą w żarnach na pyłek drobny jak najdelikatniejsza mąka, gotują z odpowiednią ilością wody i cukru; przyprawiona w taki sposób jest prawdziwym nektarem.

W godzinach południowych naokół kuchni gromadzą się tłumy. Jedni w szmaty chleba zawijają kebaby, inni, biedniejsi, syпки ser owczy. Ryż znika błyskawicznie szybko. Uliczni handlarze herbaty z blaszanym samowarem i skrzynką drewnianą, w której mieści się cukier i szklanki, krążą po wszystkich zaułkach bazaru. Bogatym kupcom przynosi służba na tacach liczne dania.

\*

Jeżeli brak czasu i możliwości na odwiedzanie bazaru — bazar sam do domu przychodzi. Codziennie do każdego Europejczyka stuka kilku *dellalów*, przekupniów wędrownych, przeważnie Żydów. Dellal posiada zazwyczaj osiołka, którego objucza towarami; sam w przepaścistych jak otchłanie kieszeniach chowa mnóstwo najróżnorodniejszych drobiazgów. Gdy go karaul odprawia, nudzi go i prosi dotąd, póki nie uzyska pozwolenia wejścia na podwórze. Dellale oplacają się zresztą służącym i pełniącym straż wojskom. Nie zraża dellalę oświadczenie, że nic stanowczo odeń się nie kupi. On też bynajmniej nic sprzedać nie pragnie, chciałby tylko, by hanum, którą on tak kocha (liczy zawsze na słabość kobiet do zakupów), obejrzała, jakie to on ma dziś cuda. „*Tamasza bekunid, hanum*”<sup>171</sup>. I z komicznymi grymasami mającymi wyrażać bezmiar zachwyty, jakim przejmują go jego piękne rzeczy — pozbędzie się ich jedynie przez miłość dla *frengi* — dellal rozkłada jedwabie, dywany, szale, kalemkory, skrzynki, tarcze, hełmy. „*Hanum, in Szak-Abbos!!!*” Oczy mu w ślup stają, gdy pokazuje mu jakiś pancerz pierwotnej bardzo roboty. A ta znów siekierka nasadzana złotem należała do Fet-Ali-Szaha. Kiwa głową, wymachuje rękoma, sam wprost uwierzyć nie może, że los uczynił go posiadaczem tak cennych zabytków, sfabrykowanych zresztą przed paru miesiącami w bazarze przez umiejętnych naśladowców starzyzny.

Handel, Żyd

Dellal miesza zabawnie w mowie do swej perszczyzny kilkanaście wyrazów francuskich, dodających według niego siły i dobitności określeniu. „*Hanum, in hejli*”<sup>172</sup> *très joli! Hejli antique! In or, argent, brillant, télégraphe-or!*”<sup>173</sup> Złoto telegraficzne (?) oznacza w jego pojęciu najszlachetniejszy gatunek metalu.

Rozłożywszy na tarasie domu wszystko, co zawierała nosza osiołka, dellal wydobywa ze swych wielkich jak worki kieszeni łyżki do sorbetów delikatnie rzeźbione w drzewie oliwnym, srebrne pudełeczka emaliowane i inkrustowane, stanowiące rodzaj amuletów i jako takie przywiązywane do ramienia jedwabnymi sznurkami; wierni noszą w nich podobno przykazania Mahometa. Niektóre z nich prześlicznie są cyzelowane i przedstawiają skończenie artystyczne cacka. Z kieszeni dellalę wylaniają się nowe skarby: miniatury, pierścionki, kamienie pozawijane w brudne papierki, monety srebrne z czasów Aleksandra Macedońskiego, główki starych kalianów niebieskie od turkusów. Mimika kupca, rozplywającego się w podziwie nad własnym bogactwem, dochodzi do najwyższego napięcia; w głosie brzmi ekstaza.

Zasadą dellalę jest, rozumie się, bezwzględne obdzieranie *frengi*. Lecz nie obraża się bynajmniej, gdy mu zaproponować dziesiątą część żądanej przez niego ceny. Najczęściej po paru „*hanum*”, bolesnym wyrzutem nabrzmiałych, po kilku pełnych godności zapewnieniach, że jego samego drożej to kosztuje, wyciąga rękę po zapłatę. „*Male szuma, hanum*, mniejsza o to, że ja biedny stracę na tym interesie!”

Handel, Interes

Spomiędzy niezliczonej ilości ulicznych typów dellal jest bez wątpienia najwięcej zajmujący. Szczerze się przyznają, że lubią jego długie przemowy, przesadne zachwalania i wyrazistą gestykulację. Może obdziera nas trochę, i bardzo, lecz o to nie mam do niego najmniejszej urazy.

<sup>171</sup> *Tamasza bekunid* — robić oględziny, rozkładać; wyrażenie wciąż używane i zaadoptowane przez Europejczyków. [przypis autorski]

<sup>172</sup> *in hejli* — *in*: to, *hejli*: bardzo. [przypis autorski]

<sup>173</sup> *Hanum, in hejli très joli! Hejli antique! In or, argent, brillant, télégraphe-or!* (mieszanka pers. i fr.) — Pani, to bardzo ładne! Bardzo stare! To złoto, srebro, wspaniałe, złoto telegraficzne! [przypis edytorski]

W kategorii typów ulicy zaznaczyć jeszcze muszę *tabakieszów*, dźwigających na głowie nakrytej płaską mycką olbrzymie tace lub wprost drewniane kręgi, na których ustawiają stopy talerzy, baterie kieliszków, szklanek, karafek, kryształowych świeczników, lamp, filiżanek. Z niesłychaną zręcznością przesuwają się przez tłum ze swym ładunkiem i nieocenione oddają usługi przy przewodzkach. Nigdy, przenigdy nie stłucze *tabakiesz* najmniejszego drobiazgu. Wzdłuż ulic krążą też roznosiciele wody z wielkimi skórzany- mi bukłakami ociekającymi płynem.

W miejscach, gdzie się ruch koncentruje, siedzą balwierze<sup>174</sup> z całym swym przybo- rem; żołnierze zajmujący się zmianą pieniędzy rozkładają na wywróconych dnem skrzyń- kach monetę srebrną i miedzianą; handlarze lodów pchają wózki ze swym przysmakiem, cuchnącym łojem bardzo, mimo to przez lud cenionym. Służący rujnują się na ten spe- cjał, nawet karauły ulegają pokusie i wydobywają z brudnych szmatów skrzętnie chowane szai<sup>175</sup>.

Fizjonomia miasta zmienia się w jednej prawie chwili z nadejściem wieczoru. Zaled- wie słońce skryje się za górami, rozlega się z minaretów „*Allab-bou*” muezinów, wzywa- jących wiernych do modlitwy. Wnet ustaje praca dzienna, opróżniają się ulice i sklepy bazaru, kupcy spieszą do domów; wraz z nocą schodzi cisza. Słysząc tylko częste na- szczekiwanie psów trędowatych, wyleńialych i poranionych, których gromady wylegają tu pod murami jak w Konstantynopolu. Chwilami rozbrzmiewa przeciągłe i żalotne „*Al- lab-Ali*” derwiszów. Miasto usypia, czuwają już tylko Europejczycy.

Miasto, Noc, Pies

## VIII

*Turki i Farsi. — Kurdowie i Bachtari. — Parę słów o armii. — Wybitne cechy charakteru narodowego. — Uprawa gruntu i przemysł. — Fauna i flora. — Klimat.*

Iran zamieszkują dwa odmienne plemiona, złączone jednością religii stanowiącej wiel- ki odłam islamu. Na północo-zachodzie kraju, a więc w prowincji Azerbejdżanu i w per- skim Kurdystanie, osiadły narody pochodzenia turańskiego, potomkowie Medów, no- szący ogólne miano Turki. Południe i środek zamieszkali Farsi lub Parsi, od południowej prowincji Farsistanu, mającej za stolicę Sziraz. Język farsi jest językiem sfer ukształco- nych<sup>176</sup> całego kraju. Rozprawiły już w nim wszystkie arystokratyczne hanum w Khoj, które niezmiennie witały mnie frazesem: „*Farsi midanid?*”<sup>177</sup>, naiwnie zdumione mą nie- świadomością. I jakkolwiek panująca od lat dwustu (1705 r.) dynastia Kadżarów jest po- chodzenia Turki, jakkolwiek na dworze Agi-Mohammed-Khana, pierwszego króla tej dynastii, mówiono twardym turecko-tatarskim żargonem, stanowiącym narzeczce pro- wincji północnych — obecnie farsi wyrugował go z użycia całkowicie.

Farsi jest językiem nauki, literatury, poezji i językiem Sadiego, Hafiza i Firduziego<sup>178</sup>, który w tej mowie opiewa sławę królów, bohaterskie czyny Rustema<sup>179</sup>, jego zwycięstwa nad wielkim białym dziwem (diabeł-*diu*) i piękność kobiet o twarzy księżycowo rozlanej. Taki bowiem był ideał piękna wielkiego poety.

W ogólnej liczbie ludności Persji, wynoszącej więcej niż 8 milionów, trzecia niemal część przypada na koczownicze plemiona Illiatów, przeważnie irańskiego pochodzenia, jak Kurdowie i Bachtari<sup>180</sup>.

Kurdowie podlegli królowi królów równie są niesforni i nieokiełznani jak lennicy czerwonego sultana Abdul-Hamida<sup>181</sup>! Buntowniczych ich khanów wciąż wzywają do

<sup>174</sup>balwierz (daw.) — fryzjer wykonujący również zabiegi kosmetyczne i felczerskie. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>szai — dwudziesta część krano; *kran*: obecnie pół franka. [przypis autorski]

<sup>176</sup>ukształcony (daw.) — wykształcony. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>Farsi midanid? — Czy znasz farsi? [przypis autorski]

<sup>178</sup>Sadi, Hafiz i Firduzi — Firduzi (940–1020), najwięcej popularny i słynny dawny poeta, autor *Szab-Namek*, „Historii królów”, 125 000 wierszy; Sadi (1184–1191), autor *Gulistanu*, czyli „Ogrodu róż”, urodzony i pochowany w Szirazie; Hafiz (1320–1391), poeta, urodzony w Szirazie. [przypis autorski]

<sup>179</sup>Rustem — bohater legend ludowych, jak Herkules grecki. [przypis autorski]

<sup>180</sup>Bachtari, właśc. *Bachtiarzy* — lud w pld.-zach. Iranie. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>Abdul-Hamid, właśc. *Abdülhamid II* (1842–1918) — sultan Imperium Osmańskiego; nazywany „krwawym” lub „czerwonym” z powodu masakry Ormian z lat 1894–1898. [przypis edytorski]

stolicy, aby tłumaczyli się przed władzami ze swych postępów; nie zawsze jednak zjawiać się raczą.

Wystarczy spojrzeć na zawadiackiego Kurda jadącego na ognistym arabskim rumaku, obwieszono go bronią, by zrozumieć, że ta buńczuczna postać, od której bije zuchwałość i samowola, nie uchyli się przed żadną przewagą.

Bachtari — wojownicze także plemię, rozsiadło się głównie w Laristanie, prowincji południowo-zachodniej, nad Zatoką Perską. Niektórzy z historyków przypuszczają, że są to potomkowie dawnych mieszkańców starożytnej Baktriany<sup>182</sup>. Język ich przypomina dawną mowę Persów, od których różnią się wszakże zupełnie w obyczajach.

Podróżnik z początku XIX wieku, Jacques Morier, tak na przykład opisuje ich ob-rządki pogrzebowe:

Naokół grobu tańczą i śpiewają przy monotonna i głuchych dźwiękach muzyki. Jeśli zaś zmarły zginął na wojnie, zapalają taneczne wzrastają w dwójnasób, śpiewy brzmią wesołą nutą; śmierć bowiem na polu bitwy jest w ich przekonaniu śmiercią sprawiedliwych.

Zatargi Bachtari z władzami są częste, khanowie ich płacą nieraz głową za bunt i opór. Obecnie ucichli pod żelazną dłoń gubernatora prowincji południowych, Zille-Sultana (brata Muzaffer-Eddina), najenergiczniejszego człowieka. Dowódcy nomadów wolą uniknąć jego gniewu, który bywa straszny i bezwzględny.

Nie należy przypuszczać, że nomadowie snują się w ciągłym ruchu po drogach Iranu. W dawnych czasach pędzili rzeczywiście żywot prawie wyłącznie koczowniczy. Teraz zajmują się wszyscy niemal uprawą roli, budują lepianki, gromadzą je w wioski. W lepiankach tych mieszkają zimą, obrabiając ziemię, a gdy latem zbiorą zasiewy, wyruszają ze stadami w góry, stale w te same zakątki, w których z ojca na syna od lat dziesiątków trzody swe pasą.

Pogrzeb

\*

Turki i Farsi różnią się charakterem i usposobieniem.

Ociężałość umysłu kojarzy się u Turki z prostotą i szczerością; z krwią przodków dalekich przejęli pewną odwagę.

Oplakana armia perska pomiędzy nimi rekrutuje przeważnie swych żołnierzy, których waleczność większa jest od służbistości. Wojaków tych, przybyłych z Azerbejdżanu do stolicy lub innego miasta, ująć trzeba w surowe karby dyscypliny, by zaczęli zdawać sobie niejasno sprawę ze swych obowiązków i pojęli, że powinni strzec pokoju, zamiast niecić nieporządku. Jednakże prawdziwa karność wojskowa nie da się nigdy zaszczyć w tych mózgach.

Na utrzymanie armii, której cyfry nominalne przedstawiają 40 000 piechoty, 30 000 kawalerii i 5000 artylerii, obracana jest znaczna część dochodów korony. Lecz pieniądze, przechodząc przez liczne łapczywe ręce ministrów, generałów — od których się w Persji roi — pułkowników i niższych oficerów, w mgłę się rozwiewają, nim dojdą do żołnierza. Z rzadka ogląda on nędzną swą pensję, a rząd, jak już mówiłam poprzednio, nie daje mu ani chleba ani schronienia. Toteż poza godzinami służby zajmuje się biedak rozmaitymi przemyślaniami. Tu sprzedaje chleb, tam owoce, najchętniej zaś zamienia srebrną monetę na miedziane szai, pobierając od tej operacji finansowej dość wysoki procent.

Żołnierz

Stanowisko bankiera, choćby ulicznego, rozkładającego cały swój majątek na zdartej szmacie lub starej skrzynce, ciągnie go magnetycznie.

Ubranie jego codzienne jest szczytem brudu i niechlujstwa.

Spod zbutwiałych gałganów, świecących gdzieniegdzie metalowymi guzikami, wygląda koszula, której pierwotnej barwy nikt określić nie zdoła; na nogach człapie się naśladowanie łapci, z których wygląda bosa — mimo parodii skarpetek — stopa.

W dni musztry i świąt uroczystych, w dni przeglądu wojsk przez Naieb-Saltaneh lub szacha żołnierze wdziewają czerwone mundury, w których wyglądają prawie czysto.

W jaki sposób wywiązują się z ćwiczeń wojskowych — nie wiem tego dokładnie. Sądzę wszakże, że instruktorzy europejscy na marne tracą swój czas i zużywają energię.

<sup>182</sup>Baktriana (gr.) — Baktria, starożytna kraina w Azji Środkowej, w ob. północnym Afganistanie między Amu-Darią a Hindukuszem. [przypis edytorski]



Turki przedstawiają problematyczną może nieco, lecz w każdym razie jedyną siłę fizyczną organizmu narodowego, Farsi są jego mózgiem. Umysł mają bystry, obejmujący łatwo, ale nie pogłębiający przedmiotu. Uczą się wszystkiego niesłychanie prędko, nie przetrawiają jednak zdobytej wiedzy. Asymilują sobie jej stronę powierzchowną, zachowując z niej to, co błyszczące, czym mogą olśnić. Odrzucają wszystko, co treść jej wewnętrznej stanowi. Lubią robić *tamasza*<sup>183</sup> z swych wiadomości, jak dellale z swych skarbów.

Próżność ich i zarozumiałość jest niebotyczną. Tak samo, jak z pochwyconych gdzieś słabych światła wiedzy, chępią się z bogactwa, z koligacji, z tytułów.

Gdy opowiadać zaczną o swych przodkach, każdy z nich ród swój wie z jakichś *szahzadek* (księżęta krwi królewskiej) lub z Kadzarów, którym, jak u nas Augustowi Mocnemu, wiele przypisywać można. Bowiem w ogóle, prócz Muzaffer-Eddina, człowieka obyczajów spokojnych, obchodzącego się kilku żonami, szachowie tej dynastii enderumy mieli zapelnione pokąźnie. A słynny Fet-Ali-Szach (1797–1834), król czarnobrody, którego postać uwieczniają ściany pałaców, mozaiki bram, miniatury, malowidła kalemndanów (piórniki), kalemkorów (plótna) i skrzynek — posiadał kolekcję 700 małżonek, które dały mu 600 sztuk potomstwa.

Rozmnażając się w skromniejszych niż wielki ojciec rozmiarach, potomstwo to dorosło jednakże do niezłej już cyfry 5000 osobników. Nietrudno więc Persowi z Kadzarów w prostej linii legitymować się lub choć bokiem do nich się przygarnąć.

Uważają się też Irani za najstarszy naród świata i cywilizacji. Ich instytucje społeczne i państwowe są nieskończenie wyższe od odpowiednich instytucji Fręngistanu; ich *medresze* to najpierwsze szkoły obu półkuli; ich poezji żadna inna nie dorówna — z niej jeszcze bez wątpienia ciągną najslusniejszą chwałę. Król ich jest najpotężniejszym z monarchów ziemi: to „biegun wszechświata i jego bożyszcze, studnia wiedzy, pierwszy szczebel drabiny niebieskiej, monarcha, którego armie liczniejsze są niż gwiazdy na niebie i piaski w morzu, król królów i cień Boga”. Czym zresztą nie jest on w ich przesadnie napuszonych określeniach?

Nigdy nie zapomnę pewnej okoliczności, w której mogłam po raz pierwszy osądzić naiwną zarozumiałość i pewność siebie synów Iranu. Działo się to nie w Persji, lecz jeszcze w Paryżu, na wielkim raucie, wobec przynajmniej trzystu osób.

W różnojęzycznym tłumie gości, przeważnie złożonym z przedstawicieli świata lekarskiego, kołatało się kilku Persów, którzy ukończywszy studia medyczne w teherańskim Collège Impérial, przyjechali na uzupełnienie ich do Paryża.

Na raucie popisywali się wirtuozi fortepianu i jacy wirtuozi: grał Paderewski<sup>184</sup>, po nim znana pianistka, pani Roger-Miclos<sup>185</sup>. Kto więcej — nie pamiętam, w każdym razie artyści niepośledniej miary.

Nagle zbliża się do gospodarza domu jeden z młodych Persów, oświadczając, że on również biegłym jest wykonawcą i chce zagrać zgromadzeniu kilka perskich melodii.

— Czy to być może? Ależ to doskonale!

Nieopatrznie sadzają go przy instrumencie, oznajmiając, że dr Szeik Mohammed zgodził się uprzejmie zapoznać nas z popularnymi motywami swej ojczyzny i w ciszy salonu rozlega się wystukiwana jednym palcem, monotonna jak szmer wody nuta perskiej piosenki.

Wysłuchawszy ją raz, obiecujący wiele filar medycyny perskiej powtórzył ją raz drugi, trzeci, czwarty... i nie wiem już wiele razy, bo — wraz z całym towarzystwem — walczyłam z duszącym mnie śmiechem.

Szczęściem gospodarze, dziękując Persowi i dając hasło do oklasków, zakończyli komedię, a wirtuoz z bożej łaski z miną głębokiego zadowolenia powstał od fortepianu.

Nie dosyć na tym.

W parę dni później u mnie wobec kilku osób opowiadał z twarzą rozpromienioną o swym tryumfie. Zaproponował nam przy tym, iż zagra *d'autres morceaux, encore plus*

<sup>183</sup>*tamasza* — pokaz, wystawa. [przypis autorski]

<sup>184</sup>*Paderewski, Ignacy* (1860–1941) — znakomity pianista i kompozytor, polityk i działacz społeczny; premier i minister spraw zagranicznych, w roku 1919 delegat polski na konferencję wersalską. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*Roger-Miclos, Marie-Aimée* (1860–1951) — francuska pianistka. [przypis edytorski]

*beaux*<sup>186</sup>. I nim zdążyłam znaleźć jakiś zręczny frazes i oszczędzić mym gościom tej rozkoszy — Szeik Mohammed siedział już przy fortepianie, stukając jednym palcem *d'autres morceaux, encore plus beaux*.

Bezczelna pewność jego nie jest bynajmniej wyjątkowa. Dzieli ją ze wszystkimi niemal swymi rodakami. A ogólnie biorąc, jest jednym z najwięcej inteligentnych spomiędzy znanych mi Persów. Ani więcej próżny, ani więcej zarozumiały od innych — znakomicie kieruje swą barką życiową. Był faworytem wielkiego wezyra, nie zdziwię się bynajmniej, jeżeli zostanie ministrem.

Synowie dawnego Iranu słynęli jakoby — jest to opinia Herodota<sup>187</sup> — ze swej prawdomówności i z mistrzowskiego strzelania z łuku. Nie wiem jak dzieje się obecnie z łukiem. Odwaga bowiem dzisiejszych Persów w niczym odwagi lwów Farsu<sup>188</sup> nie przypomina. Zresztą i lwy wyginęły i stają się mitem.

Co się tyczy prawdomówności, samo posądzanie o nią Persów mogłoby wyglądać na zjadliwą ironię. Prawda nigdy na ustach ich nie wykwita. Potrzebą ich natury jest mijanie się z nią na każdym kroku, kłamstwo dla kłamstwa, jak sztuka dla sztuki. Potrzeba ta pozostaje zresztą w ścisłym związku z niezwykle przesadnością umysłu, rozdmuchującego drobiazgi do rozmiarów olbrzymich, i z wrodzonym również zamilowaniem do pochlebstwa.

Te wady, przykre niezawodnie w bliższych stosunkach, nic nie ujmują zewnętrznemu wdziękowi ich obejścia, potęgują go nawet. Pers mówi dużo, ładnie, pełnymi obrazami. Lecz człowiek, który w stosunku z nim zapomina, że piękne frazesy są efektami retoryki, skazany będzie na smutne zawody i rozczarowania.

Szanujący się Pers przy pierwszym zetknięciu z kimkolwiek zasypie go powodzią komplementów i ofiaruje mu w potoku słów miodopłynnych swój dom ze wszystkim, co tenże zawiera, swe stosunki, swe wpływy — niebotyczne, oczywiście, jak szczyty Demawendu. Wszystko, co doń należy, jest *male szuma*, co już miałam sposobność zaznaczyć wyżej.

Nie przypominam sobie jednakże, aby którykolwiek umiał obietnic dotrzymywać, o ile mu się o nich wciąż nie przypomina i nie stoi przed oczyma żywym wyrzutem, nie zadręcza go natrętnie.

Nie są to moje tylko osobiste spostrzeżenia. Potwierdzają je wszyscy bez wyjątku dawni i dzisiejsi podróżnicy, wszyscy Europejczycy pozostający z Persami w styczności.

Chardin niejednokrotnie rozwodzi się obszernie nad skłonnością ich do przesady i pochlebstwa, nad ich nieprawdomównością i brakiem poszanowania dla danego słowa. Jacques Morier uważa, że Persi poczytują praktykowanie pochlebstwa na kolosalną skalę za elementarny obowiązek grzeczności.

Trzeba więc, obcując z nimi, pamiętać, że słowa służą do zamaskowania myśli i nie wymagać od nich przymiotów, których odmówiła im natura. Wtedy wdzięk, uprzejmość i wytworność ich zachowania sympatyczne pozostawią wrażenie.

Zdarzają się jednak wyjątkowo między nimi ludzie skromni, a pełni zalet gruntownych, pracujący wytrwale dla dobra publicznego i poważnie wykształceni.

Każdy, kto przebył czas jakiś w Teheranie, poznał ludzi i stosunki, postawi niezaprzeczenie na pierwszym miejscu w ich rządzie zmarłego przed kilku laty ministra oświaty, Mohbere-Dowle i czterech jego synów.

Synowie ci pobierali wszyscy nauki w niemieckich uniwersytetach, mają prawdziwą wiedzę i z nią się nie popisują. Znaczną część wielkiego majątku poświęcają na cele publiczne, nie zrażając się niezliczonymi trudnościami, jakie w swym kraju spotyka na każdym kroku Pers pragnący zbudzić swych braci z martwoty i apatii.

Lecz Persja szybkim krokiem dąży do upadku. Właściwiej byłoby powiedzieć, że jest w nim pogrążona beznadziejnie. Wątpię też, czy dobra wola kilku jednostek i ich wytrwały wysiłek zdołają coś przeciw niezmierzonej mocy inercji i застоju.

<sup>186</sup>*d'autres morceaux, encore plus beaux* (fr.) — inne utwory, jeszcze piękniejsze. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>Herodot z Halikarnasu (ok. 484-ok. 426 p.n.e.) — historyk grecki, nazywany „ojcem historii”, autor pierwszego zachowanego greckiego dzieła prozą pt. *Dzieje*, opisującego w 9 księgach wojny grecko-perskie oraz zawierającego cenne informacje o geografii, historii, wierzeniach i obyczajach Hellady oraz różnych krajów wchodzących wówczas w skład imperium perskiego, a także ludów ościennych. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*lwy Farsu* — lwy bezgrzywe, spotykane jeszcze z rzadka w prowincji Farsistanu. [lew perski, zwany też lwem azjatyckim, występował niegdyś od Grecji przez Persję aż po Indie, obecnie jest zagrożony wymarciem; podobnie jak u lwa afrykańskiego, grzywę u lwa perskiego mają tylko samce; red. WL]. [przypis autorski]

Obszar Persji przewyższa obszar Francji, a zaludnienie jej jest stosunkowo 15 razy mniejsze. Pod uprawę idzie zaledwie pięćdziesiąta część gruntu. Zapasów zboża ani ryżu nie ma nigdy i być nie może. Gdy przychodzą złe zbiory, głód w ślad za nimi kroczy, dieściskując ludność. W roku 1861 nawiedził kraj cały. Powrócił w r. 1871–1872. W mieście Meszedzie<sup>189</sup> 80 000 ludzi zmarło w owej epoce śmiercią głodową.

Dawni mieszkańcy Iranu uważali uprawę gruntu za jeden z obowiązków religii, toteż kraj pocięty był szeroko rozgałęzioną siecią kanałów roznoszących ziemi wodę, na którą natura dziwnie tu jest skąpa, a którą z wielkim mozołem i ciężkim trudem z gór sprowadzać trzeba. Upusty kanałów otwierane zostają w określonych odstępach czasu na dzień cały. Woda rozlewa się po polach i ogrodach, przesycając grunt należycie. System ten użyźniania, dający jak najlepsze rezultaty, jest niestety całkowicie dziś zapuszczony na wielkich przestrzeniach kraju.

Persja biedna jest w rzeki. Jedna z nich zaledwie, Harun<sup>190</sup>, wpadająca do Szatel Arabu<sup>191</sup>, uchodzić może za splawną i posiada wodę w każdej porze roku. Wszystkie inne, jak Sefid-rud<sup>192</sup> (biała rzeka), dopływ jej Szach-rud i różne pomniejszych rzeczek i strumienie wysychają zupełnie w letnie skwary. Potoki górskie, płynące wezbraną falą podczas roztopu śniegów, czernieją suchym łożyskiem przez długie letnie miesiące.

Dodać bowiem należy, że suchość klimatu jest wprost niesłychana. Rosa stanowi fenomen nieznan w środkowej Persji. Jeden z dawniejszych podróżników, Olliriz, konstatuje<sup>193</sup> ze zdumieniem, że na rozległej przestrzeni kraju, którą zwiedził, nie znalazł ani jednego ziemnego ślimaka. Nie dziwię się temu, jeśli przebywał latem bezwodne i przepalone przez słońce okolice. Deszcze nie spadają całymi miesiącami. W drugim roku mego pobytu od początku marca do połowy września jednej kropli wody niebo nie zesłało.

Letnie skwary trwają od początku maja do połowy października, nieraz dłużej. Odycha się przez te długie miesiące żarem strasznym; noce tylko przynoszą ulgę, bo są względnie znośne, nawet w Teheranie, na 100 metrów nad morzem położonym, a zupełnie chłodne w górach Szimranu<sup>194</sup>, dokąd w końcu maja wyruszają wszyscy Europejczycy. Persowie chronią się podczas upalnych godzin dnia do swych *sirzemini*, piwnic specjalnie na ten cel urządzanych, czystych, a u ludzi bogatych wykwinionych nawet wykładanych mozaiką lub marmurem, szemrzających kaskadą źródlanej wody, dopływającej do obramowanego w majoliki basenu. Panuje w tych piwnicach przyjemny półmrok i chłód orzeźwiający.

Wiosną, jak już mówiłam, spadają ulewne deszcze, powodujące stałe zapadanie się płaskich ziemnych dachów. W naszym domu przez dwa lata z rzędu rozpadał się w gruzy dach jadalnego pokoju, w salonie woda sączyła się w dwóch kątach, w sypialni wzdłuż jednej ściany. Należeliśmy jeszcze do względnie uprzywilejowanych; w wielu domach sypiano pod parasolami. A Europejczycy zajmują najlepszą dzielnicę i najporządniejsze budynki. Cóż dziać się musi u Persów?

Przez te kilka dni potopu ziemia wchłania chciwie wilgoć (czego dowodem dachy); potoki górskie zalewają pola i drogi. I gdy kończą się krótkotrwałe deszcze, natura rozkwita w niezrównanym przepychu. Drogi prowadzące do wiosek Szimranu zamieniają się na te rozkoszne dni wiosny w ogrody z czarodziejskiej bajki. Kwitną na nich róże polne, białe, różowe, płomiennie żółte i krwawoczerwone. Krzaki stoją jak olbrzymie jednobabarwne bukiety, liści wcale nie widać. Przy nich róże ogrodów i bzy perskie bladoliliowe, o wątlm i delikatnym kwieciu i woni upajającej, ciemne bzy tureckie o kiścicach kwiatów

Lato, Woda

Wiosna, Deszcz, Dom

Deszcz, Natura, Kwiaty

<sup>189</sup>Meszed — dziś popr.: Meshed, miasto w płn.-wsch. Iranie; drugie co do wielkości w tym kraju. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>Harun — dziś popr.: Karun, największa rzeka Iranu, dł. ok. 860 km; wypływa z gór Zagros, uchodzi do Szatt al-Arab. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>Szatel Arab — dziś popr.: Szatt al-Arab, rzeka w płd. Iraku, o dł. ok. 200 km, tworzona przez połączenie wód Eufratu i Tygrysu, uchodząca do Zatoki Perskiej. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>Sefid-rud — dziś popr.: Sefid Rud, rzeka w płn. Iranie, wpadająca do M. Kaspijskiego, tworzona przez Szahrud oraz Ghezel Ouzan; w 1962 na Sefid Rud zbudowano zaporę wodną. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>konstatować — stwierdzać. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>Szimran — dziś popr.: Szemiran, ob. dzielnica Teheranu, ok. 30 km na płn.-wsch. od centrum, na zboczach gór Elburs; dawne miejsce letnich rezydencji władców Persji. [przypis edytorski]

jędrnych i skupionych, biała tarnina, osypana śnieżystymi płatkami, akacje białe i złociste, różowe tamaryksy, jaśmin o zapachu ciężkim i słodkim, wszystkie wreszcie drzewa owocowe. Gdzieniedzie wznosi swą koronę judaszowe drzewo<sup>195</sup>, wspaniałe i dziwne, o pniu ciemnofioletowym i różowo-liliowych kwiatach. Wszystko na słonecznych drogach rozkwita jak za dotknięciem różdżki magicznej. Zielenieją topole i wierzby, srebrzy się białym liściem jujuba. Ogrody są jak wielkie kępy zieloności, róż i woni, trawnikami płyną smugi fiołków przesypane płatkami brzoskwini i jabłoni.

Gdy widziało się raz tę wiosnę Wschodu, zachowuje się na zawsze obraz jej we wspomnieniu. I nostalgiczna za nią tęsknota ściska duszę, gdy powieją pierwsze ciepłe podmuchy.

W Persji poprzedzają tę porę roku silne wiatry. Lecz z największą gwałtownością zrywają się wiatry latem i jesienią, szczególnie na południu, gdzie straszliwe czynią spustoszenia. Wiatr gorący, niosący tumany kurzu i wirujące słupy piasku, przechodzi nad okolicą jak gniew boży, wyrывая z korzeniami drzewa, znosząc namioty. Zwa go *samyalem* lub wiatrem ognistym. Chardin obszernie o nim pisze. Wszyscy podróżni byli świadkami słabszych lub silniejszych huraganów wietrznych. Morier twierdzi, że o nich to myśleli prorocy mówiąc: „Wiatr, który przeszedł nad trawą, spalił ją”. „Zboże spalone jest, nim zostało zebrane”.

Nie widziałam spalonego zboża, lecz spotykałam w ogrodach i na drogach potężne drzewa przez wichurę zwalone.

Burza równie rzadka jest jak deszcz, lecz gdy wybucha, to z siłą nieposkromioną. Oszalała i pogrąża w odrętwienie. Błyskawice nie schodzą na chwilę z nieba, pioruny biją bez przerwy w ogłuszającym huku grzmotów, które echa gór odbijają przeciągle. Huragan wstrząsa ścianami domów, szyby brzęczą żałośnie, drzwi, zamknięte na pierwotne zasuwę, otwierają się bezustannie.

Trwa to niedługo, a całe wieki... wreszcie deszcz spada nawałą. Mija parę godzin i z przeczystego nieba już śmieje się słońce lub wyiskrzają się gwiazd miliony.

Jesień pogodna, ciepła jeszcze trwa miesiąc, nie więcej, i przepala liście drzew na wszystkie odcienie czerwieni i złota. Nigdzie w naszej chłodnej Europie nie widziałam równie subtelnej rozmaitości tonów. Z gałęzi układamy artystyczne bukiety piękniejsze nad wiązanek kwiatów.

Zima krótka jest, ostra, mroźna i słoneczna. Śniegi spadają gęste, zasypując pola i drogi. W godzinach południowych słońce grzeje jednak prawie jak latem i działa prawdziwe cuda. Przybyliśmy do Teheranu w ostatnich dniach grudnia; najeliśmy mieszkanie około 10 stycznia. W ogrodzie domu nad basenem rozkwitał jeszcze krzak róży, podczas gdy śnieg zalegał grubą warstwą miasto.

\*

Zarzucenie stopniowe uprawy gruntu sprawia, iż kraj zamienia się powoli w bezpłodną i jałową pustynię. Zaledwie część prowincji Azerbejdżanu i Farsistanu, jako też wąski pas Gilanu i Mazenderanu<sup>196</sup> wzdłuż Morza Kaspijskiego przedstawiają w niej dobroczynne oazy życia roślinnego, wykwitającego bogato pod tym słońcem, jeżeli tylko człowiek zechce mu dopomagać wodą.

Dojrzewają pod nim granaty, figi, pomarańcze, cytryny, daktyle, trzcina cukrowa, niezliczone odmiany winogron i wszystkie prawie owoce stref naszych. Na południu ścielą się bezbrzeżne pola róż, z których ciągną wonną esencję i olej różany. Na południu też i w Gilanie zaprowadzona jest kultura jedwabników; drzewa morwowe rosną na rozległych przestrzeniach. W pewnej części Gilanu, około Rudbaru, znajdują się jedyne w Persji gaje oliwne, dostarczające dość znacznej ilości oliwek. Mazenderan zaopatruje w ryż kraj cały. Mnóstwo pól obsiewanych dawniej zbożem, przeważnie pszenicą, idzie obecnie pod uprawę maku. Opium stanowi jeden z głównych produktów wywozowych Persji.

<sup>195</sup>judaszowe drzewo — judaszowiec (*Cercis siliquastrum*), drzewo liściaste z południowej Europy i Azji Zachodniej, słynące z obficie kwitnących wiosną purpurowo-różowych kwiatów; wg legendy jego kwiaty pierwotnie były białe, a gdy na takim drzewie powiesił się biblijny Judasz, zarumieniły się ze wstydu. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>Mazenderan — dziś popr.: Mazandaran, prowincja w północnym Iranie. [przypis edytorski]

Wiatr

Burza

Zima

Armeńcy na dość szeroką skalę, choć w bardzo pierwotny sposób wyrabiają wino, którego jednakże nie eksportują zupełnie. Za najlepsze uchodzą wina z Kasbinu, Ispahanu i Szirazu, białe i czerwone, nadzwyczaj silne i odurzające.

Od Khoj do Teheranu nie widziałam jednego lasu iglastego ani liściastego. Nie ma ich też w okolicy miasta ani w całym Szimranie. Za to prowincja Gilanu, przesiąknięta wilgocią, siedlisko febry błotnej<sup>197</sup>, przedstawia istny las dziewiczy, las odwieczny o chorobliwie wybujałej roślinności stref gorących. Gałęzie mimozy, wyrosłej do kolosalnych rozmiarów, płaczą się z konarami figowca, potężne paprocie wznoszą wysoko rozłożyste liście, naokół pni stuletnich wije się wino. Małe strumyki spływają ze szmerem. W gąszczach zieleni kłębią się węże... Choć zdradliwe wyziewy zatrują powietrze i szerzą gorączkę i choroby, Gilani<sup>198</sup> chępią się ze swego wspaniałego lasu.

Z lasem Gilanu łączy się las Mazenderanu; obydwa ciągną się wzdłuż północnego stoku Elbursu; obydwa roztaczają jednakowy przepych roślinności. Nasr-Eddin lubił polować w Mazenderanie i rokrocznie udawał się tam na długie wycieczki.

Różne drapieżniki nawiedzają lasy i pustynie Iranu. W lasach Gilanu i Mazenderanu czai się tygrys królewski; w prowincji Farsu wodzą się jeszcze lwy bezgrzywe; w kniejach leśnych są dziki, wszędzie po trosze bląkają się wilki. W pustyni żyją szybkożone gazy, na które dość często a prawie zawsze bezskutecznie, urządzają polowania w okolicy Kasbinu. W pustyni też krążą jeszcze dzikie osły, z czarnym krzyżem na grzbiecie. Polowanie na nie było ulubioną rozrywką dawnych Persów, mówi już o nim Ksenofont w *Anabazisie*. Mięso tych zwierząt uważane było przez Irani za nadzwyczaj wytworny przysmak, spożywany na stołach magnatów i królów. Przyjmując uroczyste cudzoziemskich ambasadorów, Abbas Wielki uraczył ich festynem, na który zabito 32 dzikie osły.

Zapomniałam o jednym ze zwierząt, najprzykrzejszym: chcę mówić o szakalach, które nocami wyją przeraźliwie. Na wsi Szimranu oka nieraz zmrzyć niepodobna, gdy ich jęk przenikliwy, podobny do płaczu dziecka, miesza się z przeciągłym naszczekiwaniem psów-włóczęgów.

Spomiędzy zwierząt domowych posiada — jak już mówiłam — Persja wspaniałe konie. Dostarczają ich przeważnie prowincje Horassanu<sup>199</sup>, Turkestanu i Kurdystanu. Wywóz ich do Europy jest prawie niemożliwy. Przeprowadzenie statkiem bowiem najczęściej bywa dla nich zabójcza, a droga lądowa niesłychanie jest trudna i uciążliwa. Nasr-Eddin ofiarował był Napoleonowi III czwórkę przepysznych arabskich rumaków, lecz stajnie cesarskie cieszyły się nimi niedługo.

\*

Handel Persji, jak i wszystko w kraju, chyli się do upadku. Głównymi przedmiotami wywozu są dywany i jedwabie, esencja różana i opium, suma eksportu którego wynosi 22 miliony franków. Szeroki dość odbyt<sup>200</sup> w Europie znajdują również wyroby z miedzi i różne starożytności, których część znaczną fabrykują w Ispahanie, Szirazie i Teheranie biegli w swej sztuce artyści-rzemieślnicy. Europa, stwarzająca z równym mistrzostwem rzeczy przyprószone pyłem wieków, o tonach umiejętnie przybladłych, nie może mieć do nich żalu o siekierki Szacha-Abbasa i tarcze Tamaspa kowane w roku pańskim 1890, a sprzedawane za autentyczne zabytki epoki.

Góry Persji kryją w swym łonie nieprzebrane bogactwa mineralne. Jest w nich wszystko, co mogłoby zapewnić krajowi dobrobyt i pomyślność. Są kopalnie węgla i żelaza, marmuru i malachitu, ołowiu i miedzi, srebra i złota, turkusów i rubinów. Eksploatowane miejscami tylko i niedbale, nie dają słabej części tego, co przynieść by mogły. Pers czy Europejczyk, który chciałby ten stan rzeczy poprawić i zastosować nowe środki dobywania i oczyszczania rudy, straci czas, pieniądze i energię na bezowocne wysiłki, które

<sup>197</sup> *febra błotna* (daw.) — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

<sup>198</sup> *Gilani* — mieszkańcy Gilanu; Teherani: mieszkańcy Teheranu, Tebrysi itd. [przypis autorski]

<sup>199</sup> *Horassan*, właśc. *Chorasán* — kraina historyczna w Azji Środkowej; współcześnie: największa z prowincji Iranu, stanowiąca zachodnią część tej krainy i obejmująca płn.-wsch. część państwa, w 2004 podzielona na trzy odrębne prowincje. [przypis edytorski]

<sup>200</sup> *odbyt* (daw.) — zbyt, popyt, popularność, popularność wśród nabywców. [przypis edytorski]

Las

Polowanie

Zwierzę, Pies

Góry

rozbiją się o nieprzebitą opokę obojętnej na wszystko apatii. Persja daje się nieść fali życia; sama żyć już nie próbuje.

## IX

*Religia. — Szyci i sunnici. — Ali, Husajn, imami. — Mułlowie i muszdeidzi. — Sekty: babiści. — Gebrzy, wielbicieli ognia. — Moharrem, teatr religijny. — Przedstawienia w Takieh.*

Persowie tworzą w mahometanizmie odrębny zupełnie odłam szyitów, czczących jako świętych Alego, zięcia Mahometa, i jego potomków, imamów.

Po śmierci Mahometa, który nie pozostawił męskiego potomka, kalifat pozostał bez następcy — kalifat, przedstawiający najwyższą władzę duchową i doczesną, jaką w swych rękach jednoczył prorok. Niezwłocznie wytworzyły się dwie wrogie partie: jedna, pragnąca wynieść na godność kalifa Abu Bakra, ojca trzeciej, a ulubionej żony Mahometa Aiszy, druga, ofiarowująca go Alemu, pokrewnemu proroka i mężowi jedynej jego córki, Fatimy. Stronnictwo Abu Bakra odniosło zwycięstwo; Ali zaś i jego zwolennicy, później zaś jego synowie Hasan i Husajn, jako też rodziny tychże zostali zwykłym w historii świata trybem — przez zwycięzców wymordowani.

Następca Abu Bakra, kalif Omar, zawojował Persję i zaszczerpił w niej islamizm. Wszystkie sympatie podbitego narodu zwróciły się — przez naturalną reakcję — ku Alidom (potomkom Alego), których prześladowania i męczeństwo było poniekąd obrazem nieszczęść Iranu. Przy tym młodszy syn Alego, Husajn, poślubił księżniczkę perską, córkę ostatniego króla z dynastii Sasanidów<sup>201</sup>, pozbawionego tronu przez zaborców. Tenże Husajn, nie chcąc uznać za kalifa Yezida-ben-Moawiah<sup>202</sup>, drugiego króla z rodziny Omajjadów, która zaważnęła kalifatem po śmierci Omara, zmuszony był — chroniąc się przed gniewem Yezida — opuścić Medynę i uciec do Mekki. Mieszkańcy miasta Kufy (na południo-wschodzie Małej Azji, terytorium tureckie), oddani sprawie Alidów, wezwali wówczas Husajna, ofiarowując mu przytułek w murach swego grodu i ogłaszając go za jedyne prawdziwego kalifa, następcę proroka. Obawiając się smutnych dla siebie następstw z takiego postawienia sprawy, Yezid-ben-Moawiah wysłał przeciw Husajnowi wojska, które spotkały go w pobliżu miasteczka Karbala w otoczeniu 62 osób jego rodziny. Nastąpiła znów rzeź ogólna. Husajn, jego żony, dzieci i wszyscy towarzyszący mu Alidzi śmierć męczeńską ponieśli.

Śmierć ta utwierdziła jeszcze wyraźniej Persów w kulcie dla Alego i jego potomków imamów. Kwestia religijna i kwestia narodowościowa złączyły się ściśle. Imam<sup>203</sup> Husajn jest dla każdego Persa nie tylko świętym potomkiem proroka: zarówno wierzący, jak wolnomyślni widzą w nim jednocześnie i przede wszystkim bohatera i męczennika Iranu. Węzły krwi, które połączyły go z Sasanidami, zrobiły zeń, w ich pojęciu, prawdziwego syna ich ziemi. Persi otaczają czcią i uwielbieniem Alego, Husajna i imamów nie tyle dlatego, że pochodzą od proroka, ile że związali swe losy z losami Sasanidów.

Sunnici zaś, muzułmanie tureccy, którzy za następcę proroka uznali Abu Bakra, odrzucając w zupełności kult Alidów i imamów, czczą Omara, następcę Abu Bakra.

Szyici, w których umyśle z imieniem tego kalifa wiąże się podbój kraju, żywią dla jego pamięci nienawiść.

Grobowce imamów są miejscami świętymi i celem pobożnych pielgrzymek. Imamów było ogólnie dwunastu. Ostatni z nich, Mahady<sup>204</sup>, przeniesiony został przez Allaha w 260 roku *hegiry*<sup>205</sup>, a w 880 naszej ery w miejsce niewiadome, gdzie czeka dnia, w którym cała ludzkość nawróci się na islamizm. Najwięcej czczony przez Persów jest, rozumie się, imam

<sup>201</sup>*Sasanidzi* — panowali w Persji od 226 do 651 r. naszej ery. Wsławił tę dynastię Sapor lub Czapur II Wielki [dziś popr.: Szapur; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>202</sup>*Yezid-ben-Moawiah*, właśc. *Jazid ibn Muawija* (645–683) — drugi kalif (od 680) z dynastii Umajjadów (Omajjadów). [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*imam* — potomek proroka. [przypis autorski]

<sup>204</sup>*Mahady* — dziś popr.: Mahdi, tu: Muhammad al-Mahdi. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*hegira* — [dziś popr.: *hidżra*; red. WL], ucieczka Mahometa z Medyny w 621 roku naszej ery; data, od której zaczyna się era muzułmańska. [przypis autorski]

Husajn, którego święte zwłoki spoczywają w Karbali, na terytorium tureckim<sup>206</sup>, gdzie poniósł śmierć męczeńską.

Mułłowie strzegący grobu sprzedają wiernym grudki ziemi mającej cudowne własności, a wydobyte z miejsca, na którym rozłożone były namioty Husejna. Zważywszy, że zabito go przed lat z górą tysiącem, trzeba przyznać, że namioty musiały zajmować poważny obszar, by świętej ziemi starczyło po dni nasze na setki tysięcy pielgrzymów nawiedzających rok rocznie grób proroka.

Ludzie bogaci i wielkiego rodu nieraz każą się chować na cmentarzach miast słynących z grobów imamów: w Meszedzie, gdzie spoczywa imam Reza, w Kasbinie, w Karbali, wreszcie w Kum<sup>207</sup>, dokąd grobowiec Fatimy, żony Alego a córki Mahometa ciągnie pobożne tłumy ze wszystkich zakątków Persji.

Królowie odbywają te pielgrzymki na równi z prostymi śmiertelnikami. Fet-Ali-Szach pieszo, na znak pokory, przebywał przestrzeń od wrót miasta do grobowca, który zbogacił przy tym mnóstwem cennych darów. Grobowiec ten odznacza się wielkim przepychem. Trumna i otaczająca ją naokół balustrada wykute są w srebrze. Na nabitych złotymi blachami drzwiach sanktuarium wryto napisy z Koranu. Mnóstwo złożonych naokół grobowca ofiar, drogocennych kamieni i kosztownych przedmiotów, świadczą o naiwnej wierze tłumów.

Szyici więc (Persi) różnią się przede wszystkim od sunnitów (Turków i Arabów) kultem dla Alidów, którzy prześladowani byli przez sunnitów. Jednym z punktów dzielących jeszcze te dwa szczepy islamu jest prawo dowolnego interpretowania Koranu, przysługujące wszystkim sunnitom, podczas gdy u szyitów mułłowie jedynie mogą komentować boskie księgi.

Duchowieństwa niższego, mułłów (*inollah*) jest w Persji ilość niezliczona. Na każdym kroku roi się od ich białych i zielonych turbanów. Hierarchia duchowna przedstawia bardzo mało stopni. Mułłowie każdej prowincji zależą od tak zwanych *imam-dżomeh*, mianowanych przez rząd i od rządu pobierających pensję. Imam-dżomeh zaś na równi z mułłami zwracać się muszą do najwyższej instancji *muszdeidów*<sup>208</sup>, wielkich kapłanów. Tych jest zaledwie kilku na kraj cały: świątobliwe życie i wielkie cnoty wskazują ich zazwyczaj na to stanowisko. Decyzje muszdeidów w kwestiach wiary i prawa mają moc wyroku: królowie nawet odnoszą się do nich z najwyższą czcią i poszanowaniem; śmierć każdego z nich pociąga za sobą żalobę narodową. Godność pierwszego muszdeida przypada w udziale arcykapłanowi, zamieszkującemu w Karbali, świętym mieście chroniącym zwłoki imama Husejna.

Z muszdeidów Persji najwyższą sławą i poważaniem cieszył się podczas naszego tam pobytu muszdeid Tebrysu. Mogliśmy osobiście sprawdzić olbrzymie uznanie, jakim we wszystkich sferach społecznych otaczają tych dygnitarzy kościoła. W przededniu postanowionego przez nas wyjazdu do Teheranu muszdeid, chory od dawna na oczy, zastanowiwszy się, że wiedza medyczna *hakima frengi*<sup>209</sup> więcej może warta od nauki perskich lekarzy, jeśli go do kształcenia ich sprowadzają — zawezwał nagle mego męża do siebie. Uprzedziliśmy już depeszą ministra oświaty, który naglił o najprędzszemu przybyciu, że nazajutrz wyruszamy. Muszdeid tymczasem wyraził po konsultacji życzenie, aby doktor został na dni parę i sam przeprowadził przepisaną przez się kurację. Wszyscy znajomi Persowie zawyrokowali natychmiast, że odmówić nie możemy bez narażenia sobie całkowicie opinii publicznej. Zapytany depeszą minister odpowiedział niezwłocznie, że możemy zabawić w Tebrysie tak długo, jak tego zapragnie muszdeid, gdyż wezwanie lekarza przez tego kapłana jest najwyższym usankcjonowaniem jego wiedzy.

Kapłan, Lekarz

<sup>206</sup>w Karbali, na terytorium tureckim — obecnie Karbala znajduje się na terytorium Iraku, w jego środkowej części. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>Kum, właśc. Kom — miasto w środkowym Iranie, u podnóża gór Kuh-e Rud; jedno ze świętych miast szyitów; w Kum, dokąd grobowiec Fatimy, żony Alego a córki Mahometa ciągnie pobożne tłumy: celem pielgrzymek do Kom jest grobowiec Fatimy al-Masumy, siostry ósmego imama Alego ar-Ridy i córki siódmego imama Musy al-Kazima. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>muszdeid — dziś popr.: *mudżtabid*, muzułmański uczonego prawnik i teolog, w szyickim odłamie islamu: najwyższego stopnia w hierarchii. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>hakim — doktor. [przypis autorski]

Nie dosyć na tym. Gdy przybyliśmy do Teheranu, wszyscy bez wyjątku, zaczynając od Nasr-Eddina i ministrów, a kończąc na chorych, którzy posypali się tłumnie, winszowali *hakimowi czeszm*<sup>210</sup> tej kuracji i poczytywali ją za zaszczyt dlań i dobrą wróżbę.

Biedny muszdeid umarł jeszcze podczas naszego w Teheranie pobytu. Żałobne jęki słychać było ze wszystkich meczetów; sklepy i bazyry pozamykano jak w święta uroczyste, w to święto smutku narodowego.

Ponad mułłami i imam-dżomeh istniała dawniej najwyższa władza duchowna, szef i głowa kościoła — papież szyizmu, *Sudder-ul-Suddur*. Lecz jeśli potęga duchowna arcykapłana nie zawadzała szachom, władza jego ziemską wydała im się zbyt wielka. Toteż Fet-Ali-Szach uważał za akt dobrej polityki zniesienie tego pontyfikatu, rzucającego cień na jego wszechwładztwo.

W taki sposób zniesiona została oligarchia duchowna, lecz nie zmniejszył się bynajmniej wpływ duchowieństwa. Mułłowie ciążą olbrzymią siłą reakcji na całym życiu społeczeństwa i paraliżują wysiłki jednostek, pragnących wyrwać naród z mocy obskurantyzmu.

Mułłowie nie tylko komentują Koran i walczą uparcie ze światłem i postępem. Zwierzchnim sądem każdej prowincji w kwestiach prawa cywilnego, a więc: własności, podziałów spadków, wywłaszczeń, małżeństw i rozwodów jest trybunał złożony — pod zwierzchnim przewodnictwem imam-dżomeh — z mułłów, biegłych w prawie. Wyroki ich oparte są na słowach Koranu i na tradycjach obyczajowych, moc prawa mających. Urzędnicy cywilni korony: gubernatorzy prowincji i podległa im rzesza poddostojników, rozstrzygają tylko w kwestiach prawa karnego i zajmują się gorliwie poborem podatków.<sup>211</sup>

Nie zdaje mi się, by Persowie w tajnych głębiach ducha odznaczyli się nadmiarem pobożności, a szczególnie wiary.

Przekonana nawet jestem, że sfery intelektualne najzupełniej są ze wszelkich przekonań religijnych wyzute lub hołdują co najwyżej zasadzie deizmu<sup>212</sup>. Jedyne ciemny tłum wierzy ślepo w słowa Koranu. Ale taka jest potęga duchowieństwa i tak liczyć się z nią trzeba, że wszyscy Irani, zarówno wierzący, jak obojętni i wolnomyślni zachowują w zewnętrznych stosunkach życiowych pozory wiary, a nawet fanatyzmu. Każdy z nich wspomina w każdej okoliczności imię Allaha; z ust wciąż się sypią „*Insz-Allah*”, „*Masz-Allah*”, „*Barek-Allah*”<sup>213</sup>. Na rękę każdy Pers zawieszony ma różaniec, którego paciorki machinalnie przesuwają, powtarzając jakoby w myśli sto imion Allaha. Gdy zaś nadchodzi godzina modlitwy: o wschodzie słońca, w południe lub o zachodzie, kiedy z minaretów rozlega się nawoływanie muezzinów — zwraca się ku Mecce, zastygły, zda się, w zamodlonej pozie. Lecz za przesadą tych zewnętrznych demonstracji kryje się często najzupełniejszy indyferentyzm<sup>214</sup> religijny.

Mówiłam już, że podczas świętego miesiąca ramadanu przepisy religii zabraniają wier-  
nym spożywania potraw pomiędzy wschodem i zachodem słońca. Prosta masa ludu obser-  
wuje ten post ściśle; przekonana jestem że służący nasi nie jedli nic przez dzień cały. Ślania-  
li się jak cienie, wyniszczeni i osłabieni, pracowali jeszcze leniwiej niż zazwyczaj, choć  
już miara zwykłego ich pracowstrętu jest dość imponująca. Gdy o zachodzie słońca  
rozbrzmiewał wystrzał z Tophaneh, rzucali się na jedzenie z żarłocznością świadczącą wy-  
mownie o długiej wstrzemięźliwości. Lecz wszyscy prawie Persowie z lepszej sfery posilają  
się w ciągu dnia, kryjąc się przed służbą. Wstrzymują się jedynie od picia wódki i wi-  
na, obawiając się, by zapach alkoholu nie uderzył czułych powonień mułłów, z którymi  
każdy codziennie się styka. Ale to chwilowe umartwienie powetowują sobie nocą. Z bar-  
dzo i bardzo nielicznymi wyjątkami piją oni wódkę, i to już nie kieliszkami, lecz całymi  
szklankami. Po wchłonięciu kilku takich porcji obrzydliwego i mocnego *raki* zachowują

Kaplan, Prawo, Sąd

Wiara

Religia, Pobożność,  
Jedzenie, Alkohol

<sup>210</sup>*hakim czeszm* — doktor oczu. [przypis autorski]

<sup>211</sup>Zwierzchnim sądem każdej prowincji... — Szczegóły o urządzeniach sądowych znaleźć można w *Le Caucase et la Perse* przez M. Orsolle. [przypis autorski]

<sup>212</sup>deizm — pogląd, według którego istnienie Boga można wywnioskować racjonalnie z obserwacji świata naturalnego, połączony z odrzuceniem źródeł religijnych jako autorytetów; uznający, że Bóg stworzył wszechświat wraz z prawami natury, ale nie ingeruje w jego działanie. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*Insz-Allah, Masz-Allah, Barek-Allah* — Jeśli Allah pozwoli, chwala Allahowi itd. [przypis autorski]

<sup>214</sup>indyferentyzm — obojętność wobec istotnych kwestii społecznych, moralnych, religijnych itp. [przypis edytorski]



całą przytomność umysłu, co świadczy wymownie o pewnym wyrobieniu w kierunku absorbowania alkoholu.

Pod osłoną religii oficjalnej i zewnętrznymi pozorami prawowierności kryją się i krzewią niezliczone sekty. O jednej z nich, której doktryny wywarły wpływ potężny na masy, a szczególnie na tę część społeczeństwa, która czuje i myśli, pragnęłabym wspomnieć słów kilka. Jest to sekta babistów<sup>215</sup>, których krew męczeńska popłynęła strumieniami przed pół wiekiem, sekta pozornie zduszona, w rzeczywistości posiadająca obecnie tyluż może co w epoce pierwszego rozkwitu wyznawców. Tylko nauczeni krwawym doświadczeniem poprzedników dzisiejsi babiści kryją swe przekonania i przesuwają jak najprzekładniej w rękę paciorki różańca.

Twórcą tej sekty był seid<sup>216</sup> z Szirazu, Mirza Ali-Mohammed, który od lat młodzińskich zasłynął był w swym otoczeniu z cnót niepospolitych, słodyczy i łagodności niewymownej połączonej z pogodą umysłu otwartego, jasnego, obejmującego szeroko kwestie filozoficzne, religijne i społeczne.

Ali-Mohammed gromadził naokoło siebie tłumy słuchaczy i prozelitów<sup>217</sup>. Odrzucając całkowicie Koran i wszystkie jego baśnie, „Bab”<sup>218</sup>, jak sam siebie nazywał, uznawał jedyne Boga, odmiennego od Biblii i Mahometa. Istota boska w koncepcji Baba przenika wszystkie twory; są one wprost jej emanacją i powrócą do niej w dniu sądu ostatecznego. Religia ta jest najczystszy panteizmem<sup>219</sup>.

Zło istnieje na świecie, nie stanowi jednak koniecznego wyniku dualizmu<sup>220</sup> ducha ani fatalnego następstwa przewinień prarodziców — lecz jest tylko niezbędnym rezultatem faktu stworzenia i oddzielenia się czasowego tworu od istoty boskiej. Pojmowanie go w taki sposób wyklucza pokutę, ofiarę, ascetyzm, którym to umartwieniom Bab nie przyznaje racji bytu.

Natura ludzka jest dobra; człowiek, zdając sobie sprawę ze swego boskiego pochodzenia, dąży do doskonałości. Religia Baba pomaga mu w tym dążeniu, głosząc zasady dobroci, pobożności i litości. Nakazuje ona bogatym opiekować się biednymi w imię Boga, który w ich ręce złożył majątek jako depozyt, a nie własność. Potępia zarówno poligamię — która zresztą staje się już obecnie zbytkiem rodziny królewskiej — jak bezżeństwo. „Z każdego istnienia powinno powstać istnienie”. Potępia życie haremu, zamykające w poniżającej niewoli umysł i ducha kobiety; żąda dla niej szacunku i *równouprawienia*. „Każdy babi ma prawo rozmawiać i przestawać z kobietami, widzieć je z odkrytą twarzą”. Potępia rozluźnienie węzłów rodzinnych, będące naturalnym skutkiem wielożeństwa i niskiego stanowiska społecznego kobiety, od której nie wymaga się nawet, by umiała być matką. Jest tylko płodzącym stworzeniem.

Słodki apostoł czarem natchnionego słowa i przykładem życia cnót pełnego pociągał serca i umysły tłumów. Liczba zwolenników babizmu wzrastała szybko i potężnie; doktryny Baba rozprzestrzeniane przez jego uczniów znalazły oddźwięk w całej Persji. Zaniepokojeni mułlowie zakrzętnęli się czynnie, składając rząd do prześladowań.

Wybuchnęły też one ze straszłą siłą. Bab i ulubiony jego uczeń rozstrzelani zostali w Tebrysie, krew wyznawców babizmu popłynęła potokiem. Na śmierć męczeńską i torturę poprowadzono kobiety, dzieci, starców. Wytępiono ludzi, lecz nie zabito idei; babizm żyje w wielu sercach i mózgach.<sup>221</sup>

W Persji pozostała jeszcze szczupła garstka wyznawców wiary starożytnego Iranu, gebrów<sup>222</sup>, wielbicieli ognia. Cierpią oni prześladowania i z wiarą swą się kryją, ale z du-

<sup>215</sup>babiści, właśc. *babici* — wyznawcy babizmu, perskiej religii wywodzącej się z islamu, powstałej w połowie XIX w. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>seidowie — potomkowie męczenników, którzy zginęli wraz z Husejnem i Alidami. [przypis autorski]

<sup>217</sup>prozelita — neofita, nowo pozyskany wyznawca jakiejś wiary. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>Bab — Wrota (do poznania Boga). [przypis autorski]

<sup>219</sup>panteizm (filoz.) — pogląd utożsamiający Boga ze światem, z przyrodą. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>dualizm (filoz.) — dwoistość natury zjawisk a. świata. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>Wytępiono ludzi, lecz nie zabito idei; babizm żyje w wielu sercach i mózgach — Bab zaczął głosić swą doktrynę w r. 1848. Szczegóły o babizmie w źródłowym dziele M. de Gobineau: *Religions et philosophies dans l'Asie Centrale*. [przypis autorski]

<sup>222</sup>gebrowie, właśc. *guebrowie* (z pers. *ghebr'*: niewierny) — dawna nazwa wyznawców zaratusztrianizmu nadana im przez muzułmanów, którzy nazywali ich także czcicielami ognia. Zaratusztrianizm wywodzi się z pierwotnych wierzeń mieszkańców płn. Iranu i stanowił państwową religię w istniejącym na terenie współczesnego Iranu i Iraku perskim imperium Sasanidów. Szczególnym obiektem kultu w tej religii jest stworzony przez najwyższe

mą uważają się za jedynych prawdziwych potomków dawnych Irani. Liczba ich w całym państwie nie przenosi<sup>223</sup> 9000; w Teheranie jest ich zaledwie kilkuset.

O dziesięć może kilometrów za miastem wznosi się wieża niska i szeroka, samotna i ponura, na tle wzgórz czarnych i jałowego, smutkiem wiejącego krajobrazu zniszczenia. Zwą ją wieżą gebrów lub wieżą milczenia, Dagmeh. Jest to cmentarzysko gebrów. Krążą nad nim drapieżne ptaki, szarpiąc zgniliznę ciał rzuconych im na pastwę; obyczaj religii zakazuje gebrów grzebać umarłych.

Trup, Pogrzeb

\*

Do pobieżnego tego nader rzutu oka na religię, o której szczegółów zasięgnąć można w znakomitej pracy M. de Grobinea *Religions et philosophies dans l'Asie centrale* — dodać muszę kilka uwag o moharremie, miesiącu żałoby i odbywających się w tej epoce obrządkach i uroczystościach.

Już u dawnych Arabów, przed wprowadzeniem jeszcze zolamizmu<sup>224</sup>, moharrem był miesiącem świętym. Wrogie plemiona zawieszały w tym czasie wojenne czynności. Podczas pierwszych dni dziesięciu moharremu Koran schodził częściowo z nieba, by się objawić wiernym. Wreszcie dziesiątego dnia tego miesiąca, zwanego *ruz-Katl*<sup>225</sup> lub *ruz-Hosein*, imam Husejn, którego opowiadałam śmierć tragiczną, został zamordowany wraz z otaczającymi go Alidami przez żołnierzy Yezida-ben-Moawiah.

Dlatego też moharrem jest dla Persów okresem żałoby i postu. Jednocześnie na całej przestrzeni Iranu, w najmniejszych osadach i największych miastach odgrywają — przez pierwszy jego dni dziesięć — na zaimprovizowanych scenach dramaty upamiętniające główne epizody końca życia Husejna, od ucieczki z Medyny do śmierci jego w Karbali. Śmierć tę przedstawiają teatry w dniu dziesiątym, *ruz-Katl*.

Teatr, Religia

Podczas pobytu jeszcze na wsi Szimranu w pierwszych dniach moharremu nie miałam sposobności widzieć Takieh królewskiego w Teheranie, urządzonego z największym przepychem i posiadającego najlepszy dobór improwizowanych aktorów. Lecz obecna byłam na dwóch przedstawieniach w Kameraniach, rezydencji księcia Naieb-Saltaneh, brata Muzaffer-Eddina, a ulubionego syna Nasr-Eddina. Zamknięte w jednej z łóż dla żon księcia przeznaczonych (było nas parę kobiet europejskich), patrzymy na widowisko jak prawdziwe wschodnie hanum, poprzez czarną sukienną firankę zasuniętą nad łożą i powyrzynaną w ażurowe desenie. Widzimy wszystko, pozostając niewidzialne.

Takieh jest olbrzymim namiotem, którego ściany obciągnięto na znak smutku czarnym kirem żałoby. Jarzy się w nim mnóstwo świeczników, co bynajmniej duszy nie rozwesela. Wszyscy obecni ubrani są czarno: nas również poproszono uprzednio o przybycie w czarnych sukniach, w których topimy się z wolna w podzwrotnikowym skwarze.

Naokół piętra Takieh ciągnie się szereg łóż o ażurowych ciężkich zasłonach, za którymi kryją się żony księcia i ich otoczenie. W łożach dolnych, otwartych, zasiedli oficerowie, urzędnicy, mułlowie. Tłum męski zalega ławki, których kilkanaście rzędów otacza teatr amfiteatrem.

Parter zarezerwowany jest całkowicie dla kobiet.

Z boku wznosi się rodzaj ambony obciągniętej czarnym sukmem. Wchodzi na nią mułła i — przed zaczęciem przedstawienia — przypomina publice, jakie okoliczności z życia Husejna wiążą się z dniem danym i jaka część dramatu jego dni ostatnich odegrana będzie przed ich oczyma. Pobudza ich równocześnie do smutku, płaczu i do wylania za zewnątrz nagromadzonego w duszy bólu.

Nie zapominajmy, że Husejn jest dla Persów męczennikiem narodowym, że ci z nich nawet, którzy mają Koran za stek kłamstw i absurdów, uważają syna Alego za bohatera, który złączył swe losy z losami prześladowanej dynastii i zginął tak, jak zginęli Sasanidzi. W ich wspomnieniach — wraz ze wspomnieniami śmierci Husejna — odżywa dawna

bóstwo, Ahura Mazdę, oczyszczający, święty ogień. Po podboju arabskim większość Irańczyków zmieniła wiarę, część w VIII–X w. uciekła przed muzułmańskimi prześladowaniami i osiedliła się w Indiach. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*przenosić* — tu: przekraczać (wielkością), przewyższać. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>*zolamizm* — prawdopodobnie błąd druku, kontekst wskazuje, że mowa o islamie lub islamizmie. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*ruz* — dzień. [przypis autorski]

chwała, najście Omara, zalenie kraju przez zwycięskie armie kalifa. I wszyscy płaczą łzami gorzkimi żalu, gdy mułła opowiada o świętym męczenniku, a aktorzy odtwarzają sceny z jego życia.

Przedstawienia są nadzwyczaj naiwne; dekoracje nie istnieją prawie; niektóre postacie odznaczają się szczytnym komizmem. Przesuwa się na przykład często przez scenę, rozprawiając szeroko, europejski ambasador *wazir muhtar frengi*, ubrany cudacznie w tużurek<sup>226</sup> *clergymana*<sup>227</sup> angielskiego; na głowie ma cylinder. Tradycja twierdzi, że przedstawiciel któregoś z mocarstw Europy interweniował był wobec Yezidów, żądając oswobodzenia Husejna.

Zważywszy, że imam zabity był w 681 roku naszej ery, widzimy całe nieprawdopodobieństwo tej wersji. Za ambasadorem kroczy śmieszna figura w króciutkiej żakietce i okrągłym kapeluszu — zadziwiające poszanowanie dokładności historycznej kostiumu! — postać owa przedstawia *hakuna* (doktora) dostojnego dyplomaty.

Lecz zapomina się wkrótce o tych śmiesznych i wulgarnych szczegółach wobec życiowego dramatu, który przypomina nam gra aktorów, i wobec tego przede wszystkim, co dzieje się w samej widowni. Gdy kolejno przesuwają się przez scenę Alidzi, gdy Husejnowi grozi coraz cięższe niebezpieczeństwo, gdy po przeciągłej i rzewnej w początku deklamacji odzywa się tragiczna nuta, prawdziwy jęk rozpacz — cały teatr wybucha nagłe łkaniem, krzykiem szczerej, nieklamanej bolesti. Rozbrzmiewają zawodne<sup>228</sup> „*Wai! Wai! Yah Hossein! Hassan! Hossein!*” i wstrząsają do głębi duszę. Moje nerwy tak słabo są zahartowane i tak źle opancerzone przeciw tym wrażeniom wielkich wzruszeń tłumów, że lzy gwałtownie napływają mi do oczu. Na scenie płaczą drobne dzieci Husejna, śpiewając przy tym niewymownie żalodne, mimo swej monotonności, motywy. Wielki dramat jest w tym śpiewie. To agonia w głos ludzki wlana. Skardze dzieci odpowiadają nowe jęki tłumów.

Tak musieli płakać Żydzi pod murami Jerozolimy tym przeciągłym, długim jękiem konania...

Oto w dniu dziesiątym moharremu epilog dramatu. W okolicy Karbali, którą ma przedstawiać scena, rozłożono dwa namioty; imam obozuje w nich ze swą rodziną. Przez scenę przesuwają się postacie półnagie z zatkniętymi za pas długimi włóczniami, na których kołyszają się dziwne metalowe chorągwie z napisami z Koranu. Dalej kroczą ludzie niosący przez scenę emblematyczne przedmioty mające przypominać koniec Husejna, a więc jego trumnę, jego ubranie, wreszcie wspaniałego konia arabskiego, na którym był właśnie, gdy go zabito. Zjawiają się krwią zbroczeni towarzysze Husejna, którzy wraz z nim tego dnia zginęli. Nadchodzi wreszcie sam Husejn w otoczeniu swych żon i dzieci. Rozpacz tłumów dochodzi do ostatnich kresów paroksyzmu. Jeden olbrzymi jęk bólu przerywa powietrze, jęk nabrzmiały wściekłą zajadłością przeciw ciemności i mordercom. Sypią się klątwy na Yezidów i na Omara. A nad wszystkim góruje skarga żalonna płynąca z tysiąca piersi: „*Hassan, Hossein! Yah Hossein!*”

Nie próbuję już opisać tego, co się dzieje w Takiéh, gdy żołnierz podnosi rękę na Husejna, gdy zabijają jego towarzyszy i dzieci. Oddycham, wychodząc na powietrze i słońce; ciężar spadł mi z serca i z mózgu. Rozumiem, że ludzie przez dziesięć dni z rzędu na to patrzący dochodzą do chorobliwej egzaltacji.

Przez te dziesięć pierwszych dni moharremu ulice są widownią szczególnych procesji. Tłumy półnagich postaci, o piersiach i czołach zakrwawionych na znak żałoby, ze sztyltem lub nożem uwięzłym jeszcze w ranie, krążą po ulicach, bijąc się w nagie piersi miarowym ruchem. Dzikie to i przejmujące. Niejednokrotnie fanatycy umierają z ran, które sobie zadają podczas tych procesji moharremu.

## X

<sup>226</sup>tużurek (z fr.) — dwurzędowy surdut popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>clergyman (ang.) — duchowny. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>zawodny — tu: zawodzący, lamentujący. [przypis edytorski]

*Obchód Nowego Roku. — Sala tronowa — Tron Mohammed Szacha. — Uroczystość Salamu. — Dary królewskie: pieniądze, konie, kалаaty. — Gościna króla u poddanych. — Ceremoniał dworski. — Święto wielbłąda.*

Nie wiem, czy religia szyitów zaleca jakie zewnętrzne obrządki uspokajające dusze po łzach nad losami Alidów i Husejna i smutkach moharremu. Lecz zsyła wesele po ciężkim poście ramadanu, poście straszliwym, wycieńczającym nad miarę tych, którzy zachowując go skrupulatnie, nie wypiją od wschodu do zachodu słońca szklanki wody i umieją odwrócić oczy od pokusy nęcącego ich kalianu. A zważywszy, że post ten przypada nieraz w lecie<sup>229</sup>, w znojne żary i w zabójczą suszę, bohaterstwo tych wiernych jest wielkie i będzie im chyba w dniu sądu przez Allaha policzone.

Podczas mego pobytu ramadan przypadł na wiosnę. Ostatniego wieczoru tego miesiąca umartwienia Persi wylegli na dachy domostw i wyczekiwali gorączkowo zjawienia się księżycy. Jego ukazanie bowiem zwiastuje Rok Nowy, *No-ruz*<sup>230</sup> (dosłownie nowy dzień), wraz z którym zaczyna się szereg uroczystości ciekawych i poetycznych w swych zewnętrznych przejawach, a pozostawiających w pamięci szereg obrazów świetnych i iskrzących, barbarzyńskich i wspaniałych. Główną z nich jest Salam — powinszowanie noworoczne, złożone przez lud królowi królów w pierwszy dzień No-ruzu.

Europejczykom z kolonii dyplomatycznej lub pozostającym w służbie rządowej chętnie udzielają zaproszeń na tę uroczystość. Rozumie się, że korzystamy z nich skwapliwie. Poprzez gęste tłumy cisnące się w Majdani Tophaneh (plac broni) i przyległych ulicach powóz przesuwa się z trudem. Jesteśmy wreszcie w ogrodzie pałacowym zwanym Gulistanem<sup>231</sup>, czyli krainą kwiatów. Rzeczywiście, jedna to z najbogatszych oaz roślinności Teheranu i jego okolic. Przejrzyste strumienie płyną po dnie z niebiesko-turkusowych majolik; takąż majoliką wyłożone są dna licznych basenów, w których srebrzy się woda jak łza czysta. Szafir nieba odbija się w kryształowej fali; od zacienionych alei wieje chłód rzeźwiący. Docieramy do budynku, zwanego talarem lub Tachti Khaneh<sup>232</sup>, salą tronową. Przed nim rozściela się dość obszerny plac, właściwy teatr Salamu.

Owa sala tronowa wznosi się na niewielkim podwyższeniu, a pozbawiona jest zupełnie przedniej, patrzącej na ogród ściany, tak że z zewnątrz widać tron doskonale. Sala uchodzi za jeden z najpiękniejszych wzorów sztuki ornamentacyjnej perskiej, którą artyści irańscy osiedleni w Hiszpanii w mieście Rioja przenieśli byli podobno do pałaców mauretańskich. Wysoki sufit tworzy kilka wielkich sklepień podzielonych na mniejsze niezliczoną linią łuków i załamów, rzeźbionych delikatnie, pokrytych arabeską barw i złocen. Od tła ich odbijają oryginalnie malowane postacie kobiet i jeźdźców; wszędzie płączą się kwiaty. Pomimo bogactwa kolorów i złocen nie razi to oka jaskrawością, lecz przeciwnie, daje wrażenie harmonijnego dzieła prawdziwych artystów. Tylną ścianę Tachti Khaneh stanowi jedno szerokie okno łukowe, którego szkła różnokolorowe tworzą zwoje kwiatów i ujęte są w misterne jak tkanka pajęczna lekkie linie rzeźb drzewnych.

Dwie boczne ściany pokryte są, podobnie jak sklepienie, rzeźbami i złoceniami. Wyrzynane w najróżnorodniejsze formy zwierciadlane, ramy otaczają portrety królów z dynastii Kadżarów: niepiękną i nieciekawą twarz Mohammeda, wspaniałą czarną brodę Fet-Ali-Szacha, energiczną i drapieżną nieco głowę Nasr-Eddina. Władcy Persji mogą się malować i fotografować wiele<sup>233</sup> tylko zapragną, w najrozmaitszych pozach i postaciach. Lecz ani w marmurze, ani w brązie, ani w gipsie uwiecznić im się nie wolno. Przepisy religii uważają za grzeszne portrety rzucające cień postaci. Nie umiem objaśnić, w czym się to wierze Mahometa sprzeciwia. Wiem wszakże, że Nasr-Eddin wywołał surową krytykę i głośne oburzenie w sferach duchownych, pozwalając jakiemuś nieudolnemu artyście przedstawić swą królewską postać w rzeźbie na koniu. Ze stanowiska estetyki słusznie

<sup>229</sup> *post ten przypada nieraz w lecie* — miesiące kalendarza muzułmańskiego są księżycowe, a więc ruchome; co rok każdy z nich przypada o 10 dni wcześniej niż roku poprzedniego. [przypis autorski]

<sup>230</sup> *wyczekiwali gorączkowo zjawienia się księżycy. Jego ukazanie bowiem zwiastuje Rok Nowy, No-ruz* — *No-ruz*, choć oznajmia Nowy Rok, nie jest przecie pierwszym miesiącem roku. Jest nim moharrem; ramadan jest dziesiątym miesiącem, z nowym rokiem zaczyna się więc jedenasty miesiąc. [przypis autorski]

<sup>231</sup> *gul* — kwiat. [przypis autorski]

<sup>232</sup> *tachti* — tron. [przypis autorski]

<sup>233</sup> *wiele* (daw.) — ile. [przypis edytorski]

można biadać nad tym wybrykiem monarszym; grupa jest wprost okropna: wyzłocony koń, wyzłocony król, wyzłocony postument, a naokoło szafirowe słupy latarni.

Sufit sali tronowej opiera się z przodu na prześlicznych kręconych alabastrowych kolumnach pokrytych splotami kwiatów oraz liści zielonych, złotych.

Wzdłuż dwóch bocznych i przedniej ściany biegnie na metr przynajmniej wysokości obramowanie z przezroczystego białego marmuru, na którym nakładane są wypukło złotej i zielonej barwy liście, kwiaty i arabeski. W każdym dawnym pałacu królewskim te przezroczyste marmury<sup>234</sup>, będące wytworem powolnego sączenia się źródeł przesyconych ciałami wodnistymi, a przeświecające zielonkawym odcieniem, stanowią ozdobę choćby kilku pokoi. Wyłożony też był nimi słynny meczet niebieski w Tebrysie.

Tron Mohammed-szacha, na którym w dni przyjęć solennych, jak dzień dzisiejszy, zasiadają władcy Persji, wykuty jest w tymże kosztownym marmurze. *Tachti mermer* (tron marmurowy) wznosi się na środku sali, blisko przedniej, otwartej na ogród ściany; szerokie krzesło tronowe oparte jest na lwach i kariatydach<sup>235</sup>, dwa zaś marmurowe stopnie na lwach i sfinksach.

Obecni na Salamie Europejczycy pomieszczeni są w sali do Tachti Khaneh przylegającej, skąd wzrok obejmuje ogród, plac i cały obraz na nim się rozsnuwający. Przez drzwi otwierające się na salę tronową widzimy również dobrze monarchę i każdy ruch jego.

W ogrodzie, na placu przed pałacem tłoczy się tłum olbrzymi. Przybyli tu khanowie turkomańscy i tatarscy, bejowie kurdcy, książęta afgańscy w kostiumach malowniczych, w zawojach jedwabnych o barwach gorących. Nie brak żadnego z dostojników korony. Jest Sadrah-azam, wielki wezyr, prawa ręka króla królów, i wszyscy inni ministrowie. Na przedzie stoi wielki mistrz ceremonii, wspaniała Zaire-Dowle (szwagier Muzaffer-Eddina) o hardej twarzy i jasnym wąsie Sarmaty. W tego Zaire-Dowle wpatruję się na wszystkich obrzędach, na których figuruje jego arystokratyczna i buńczuczna postać, tak mi przypomina zawadiackie typy magnatów z obrazów Matejki.

Prawda, że i pewne kostiumy Persów tak podobne są do naszego stroju narodowego: atlasowe żupany, lite pasy, suknie z wylotami. Tu dopiero widzę wyraźnie, jak wiele szczegółów ubrania przyjęli od nich nasi przodkowie; dygnitarze przybrani są w długie, sięgające do ziemi płaszcze z kosztownych szalów perskich lub złotogłowiów ispahańskich, okładane sobolami. Olbrzymie brylanty iskrzą się na guzach; na wszystkich pierśiach błyszczą portret szacha, otoczony brylantami — najwyższe odznaczenie, udzielane przez monarchę.

Przy nich stoją przedstawiciele licznej rodziny Kadzarów, której niestrudzony Fet-Ali-Szach przysporzył tylu potomków, dalej mułlowie, dalej jeszcze dowódcy armii w obwieszonych orderami i kapiących złotem mundurach. Na lewo europejscy oficerowie w błyszczących hełmach i sutych szamerowaniach. Setki służących w liberjach tak wyzłoconych szuchami, że można ich wziąć za jenerałów, kręcą się pomiędzy grupami. Z dala od Majdani Tophaneh i przylegających ulic płynie zgłęb przytłumiony tysięcznych tłumów.

Salwa wystrzałów armatnich oznajmia ukazanie się króla. Otwierają się podwoje boczne, na lewo od Talaru położonego pałacu (na rezydencję królewską składa się cały szereg budynków). Widzę Nasr-Eddina, zawsze młodego, trzymającego się sztywno i prosto, noszącego zadziwiająco dobrze swe lat siedemdziesiąt, czarnowłosego i czarnowąsęgo dzięki dobroczyńnemu *henne*. Szach kroczy wolno, kierując się do Talaru między podwójnym szeregiem dostojników schylonych, do ziemi prawie zgiętych, jak gdyby objawił się prorok i między lud swój zeszedł. Tak mało dziś ważący we wszechświatowej polityce władca jest rzeczywiście wszechpotęgą wobec swych poddanych. Gdy posuwa się z wolna, zapatrzony gdzieś w nieskończoność, hieratyczny<sup>236</sup>, ołsniewająco wspaniały, w mundurze o guzach skrzących rubinami i brylantami, o epoletach z potwornie wprost olbrzymich szmaragdów, otoczonych frędzlą wielkich pereł, o kołnierzu i wyło-

Król

<sup>234</sup>przezroczyste marmury — marmury te pochodzą głównie z prowincji Azerbejdżanu, a mianowicie z Denkherghanu, położonego na północy-wschodzie jeziora Urmiah i z okolic Suk Balaku na południu tegoż jeziora. [przypis autorski]

<sup>235</sup>kariatyda — rzeźba stojącej kobiety, dźwigającej na głowie belkowanie budowli, gzyms lub balkon, spełniająca funkcję kolumny lub filaru. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>hieratyczny — właściwy uroczystemu rytuałowi (np. religijnemu). [przypis edytorski]

gach brylantami sadzonych, o pasie spiętym wielką brylantową klamrą, jest istotnie jakby w chwale i apoteozie<sup>237</sup> wyosobnionym i przedstawiać się może podnieconej wyobraźni tłumów jako „Biegun Wszechświata, cień Wszechmocnego, Król królów, studnia wiedzy i bożyszcze”.

Gdy król zasiadł na tronie, *piczetmet* (paź) podaje mu kalian dni uroczystych, rżnięty z górskiego kryształu i zdobny w drogocenne kamienie. Z tyłu za nim, o poręcz tronową oparty, leży długi wałek puchowy, obsyty w jedwabie zahaftowane całkowicie perłami siejącymi łagodne i miękkie blaski. U stóp tronu kłęczą dwóch czarnych eunuchów.

Od czasu do czasu z wolna, wciąż w dal niewiadomą zapatrzony, monarcha pociąga kalian.

Zaczyna się Salam. Król przemawia pierwszy, życząc swemu ludowi dobrego roku. Przemówienia Nasr-Eddina odznaczały się podobno wielką czystością języka, której szach przestrzegwał gorliwie. Lecz ilekroć go słyszałam, uderzał mnie więcej niż dobór wyrazów, który trudno mi było ocenić, niezwykle lakonizm<sup>238</sup> tych przemówień. Toż samo konstatuję na Salamie. W odpowiedzi na *speech*<sup>239</sup> monarszy, przemawia wielki wezyr, wychwalając w kwiecistych zwrotach dobrodziejstwa, jakie spadają na kraj ze szczęśliwych i chlubnych rządów Nasr-Eddina.

Wezyr skończył. Szach rzuca znów szereg zdań urywanych i niezbyt się z sobą wiążących: „Czas jest piękny, zwiastujący dobre urodzaje. Miejmy nadzieję, że spadną deszcze i sprowadzą bogate zbiory”, i inne refleksje filozoficzne o sprawiedliwości, bezinteresowności, prawdzie, z których wieje mądrość La Palice’a<sup>240</sup>.

Teraz kolej na poetę dworu, stojącego na przedzie grupy Kadzarów. W improwizacji, która ma naśladować natchnienie, opiewa chwałę króla i cnoty Kadzarów; gdy wymawia imię władcy Iranu, wszyscy obecni chylą się niemal do ziemi.

Salam się kończy. Wielki kapłan wzywa błogosławieństwa niebios na szacha i jego rodzinę. Nowe strzały armatnie zwiastują zakończenie uroczystości. Nasr-Eddin schodzi z tronu tymże krokiem wolnym, zapatrzony w przestrzeń, jakby po obłokach stąpający, i idzie między podwójnym szeregiem głów schylonych.

Po skończonym Salamie prowadzą nas do galerii, nad salą tronową położonej, skąd patrzemy na igrzyska, będące w naturalnym porządku wszelkich uroczystości. Siłacze o głowach całkowicie wygolonych, na pół nadzy i wymazani tłuszczem, wyglądają bardzo nieciekawie i nieestetycznie. Popisy ich niczym mnie nie uderzają, ocenić mi ich nie pozwala wstręt nieprzeparty do sportów atletycznych. Z łączliwością rzucają się na srebrne pieniążki sypane przez szacha, który w otoczeniu koła dworzan patrzy na ich zapasy z drugiej, bliskiej galerii.

Oprócz tego głównego, publicznego Salamu są jeszcze dwa inne, na które profani nie mają dostępu. Pierwszym z nich jest Salam dyplomatyczny, gromadzący przedstawicieli europejskich legacji; najdawniej przebywający w Persji z ministrów zagranicznych występuje na nim z przemową. Na drugim Salamie przyjmuje szach urzędników rządowych europejskich, a więc profesorów Collège Imperial, instruktorów wojska, doktorów. Szach rozdaje wszystkim jedwabne woreczki pełne drobnych srebrnych monet, cienkich jak blaszki, zdobnych w liry i słońca. Zawartość całkowita każdego woreczka wynosi tomana (5 franków); zrealizować by się wszakże nie dała, gdyż składające się na nią pieniążki nie są używane w obiegu.

Obyczaj ofiarowywania w upominku wartościowych i niewartościowych monet szeroko jest w Persji rozpowszechniony. Nasr-Eddin w chwilach dobrego humoru wyrażał dworakom swe najwyższe zadowolenie, rozdając na prawo i na lewo złote monety 20, 10, 5 i 2½ frankowe, ozdobione z jednej strony jego pokrętnymi wąsami, z drugiej napisami perskimi. Swemu faworytowi, smutnej sławy Azi-Sultanowi, trzynasto- czy czternastoletniemu chłopcu przegniłej i odpychającej postaci, o rozlanej twarzy i chorych zapłakanych oczach, codziennie w dodatku do bogactw, jakimi go obsypywał, ofiarowywał parę garstek złota.

<sup>237</sup> *apoteoza* (z gr.) — ubóstwienie. [przypis edytorski]

<sup>238</sup> *lakonizm* (z gr.) — tu: lakoniczność, zwięzłość. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> *speech* (ang.) — mowa, przemówienie. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *La Palice, Jacques de* (1470–1525) — francuski arystokrata i dowódca wojskowy; bohater pieśni satyrycznej będącej zbiorem truizmów i tautologii. [przypis edytorski]

Historia tego Azisa zasługuje na wzmiankę, bo ciekawa jest jak bajka. Siostrzeniec głównej klucznicy, czy szafarki enderumu królewskiego, Azis odegrał wypadkowo i biernie, przez sam fakt swej obecności, opatrnościową rolę wobec monarchy, któremu groziło niebezpieczeństwo. W zabobonnej duszy wschodniego władcy zrodził się odtąd przesąd, że losy jego istnienia ściśle są z losami Azisa związane i nic życia się przerwie, gdy zabraknie Azisa.

Więc pielęgnował go, psuł, darzył bogactwami i zaszczytami. Faworyt miał z natury najgorsze instynkty: z dzikim okrucieństwem strzelał do żołnierzy i uśmiercał ich, wypróbowując przymioty nowej broni. Orgie, pijatyki i wszelkie nadużycia zrujnowały go fizycznie w dzieciennym prawie wieku. Szach na nic nie zważał, przebaczał haniebne skandale, nie rozstawał się prawie ze swym Azisem. Córkę własną dał mu za żonę. Nie pomogło to przeciw przeznaczeniu, które uzbroiło rękę Mirza-Rezy; Nasr-Eddin znalazł śmierć w Szah Abdulasimie<sup>241</sup>, a Azis zdrowy i żywy pozostał, tylko po tragicznym zgonie dobroczyńcy musiał niezwłocznie opuścić Teheran, gdzie obmierzała jego postać wszystkim była wstrętna i nienawistna. Ma jednak czym osłodzić gorycz niełaski i lży żalu obetrzeć: z hojnych darów królewskich zebrał pokaźną fortunę.

Wracam do obyczajów darzenia monetami. Wpadłam w niewymowne osłupienie, gdy po raz pierwszy któryś z synów ministra oświaty ofiarował mi z uprzejmym uśmiechem złotą monetę. Dwa lata pobytu w Persji odzwyczyły mnie od dziwienia się tym prezentem. Jest to zwyczajna towarzyska grzeczność, którą Persi praktykują zarówno wobec mężczyzn, jak i kobiet. Dawanie złotej monety o tyle jest zrozumiałe, że w obiegu monet tych nie ma wcale. Ale w składach wekslowych bazaru lub u licznych nawet bankierów, tych imponujących karaulów, rozkładających swój kantor zamienny na sponiewieranej szmacie przy rynsztoku, można ją wymienić z łatwością na monetę bieżącą.

Szach daje oczywiście i wspanialsze od garstek złota podarki. Najczęściej w dowód uznania i monarszej łaski ofiarowuje dostojnikom perskim lub *frenge*, którzy położyli wobec niego zasługi, rasowe wierzchowce; zamiast *gulami* stajenni przyprowadzają często wynędzniałe szkapy. Fantazja koniuszych i rozlicznej pałacowej służby kieruje się sytuacją społeczną obdarowanego i wysokością *piszkieszu*, jaki odeń otrzymać mogą. Koniom przysyłanym w darze przez monarchę farbują — nie wiem z jakich przyczyn — ogon na czerwono.

Jak samowolnie rozporządza się służba pałacowa, świadczy o tym poniższa autentyczna historia. Mohammed-Szach, pierwszy król z dynastii Kadżarów, chcąc wyrazić pewnemu europejskiemu malarzowi swe zadowolenie z wykonanego przezeń portretu, rozkazał posłać mu konia. Czterech *gulamów* przyprowadziło więc do artysty z wielkimi honorami stare okulałe zwierzę. Lecz służący jego, znając swych współrodaków, wybuchnął na widok biednego Rosynanta<sup>242</sup> potokiem najstraszliwszych obelg i odmówił stanowczo przyjęcia go do stajni swego pana. *Gulami* wysłuchali wymysłów z największą flegmą i zawrócili z kulejącą szkapą do stajen królewskich. Po paru godzinach zjawili się ponownie z bardzo pięknym wierzchowcem i pokorną miną ludzi przeświadczonych, że obdarowany *frenge* musi być ważną figurą, jeśli jego służący obszedł się z nimi tak obcesowo. W tej anegdocie maluje się cały Pers dzisiejszy, tak jak Pers sprzed wieku i sprzed wieków: podstępny i przebiegły, a zarazem bezgranicznie naiwny.

Ofiarowuje jeszcze szach wiernym swym poddanym tak zwane *kalaaty*. Nie zdaje mi się, by tym prezentem obdarzani byli *frenge*. Najzwyczajniejszy *kalaat* polega na zwierzchniej sukni z mniej lub więcej cennej materii, okładanej sobolami. Kompletny *kalaat* przedstawia się o wiele bogaciej, składa się nań suknia, złoty łańcuch, sztylet lub szabla, drogie futra. Niewiele rzeczy zmienia się w Persji z biegiem czasu, obniża się wszakże skala hojności monarszej i takie *kalaaty* stają się coraz rzadsze.

Oto jak opisuje Moriér (*Second voyage en Perse*, 1816) uroczyste wręczenie przysłanego przez Fet-Ali-Szacha *kalaatu* wielkorządcy Szirazu z okoliczności Nowego Roku. *Kalaat* to był okazały — i kompletny. „Zwykły *kalaat* — mówi Moriér — składa się z długiej zwierzchniej sukni, pasa i szala perskiego. Chcąc wyróżnić szczególnie obdarowanego dostojnika, dołączają do tych przedmiotów szablę lub kindżał, wreszcie, dla osób wy-

<sup>241</sup> *Szab Abdulasim* — miejsce pielgrzymki, do którego chodziła wzmiankowana wyżej kolej. [przypis autorski]

<sup>242</sup> *Rosynant* — wychudły, kościsty koń Don Kichota, błędnego rycerza, tytułowej postaci powieści Miguela de Cervantesa. [przypis edytorski]

sokiego bardzo rodu, drogocenne futra. Lecz gdy kalaat jest całkowity monarcha, daje jeszcze konia o złotej uźdźmienicy, złoty łańcuch i szablę w złoczonej pochwie”.

Taki mniej więcej kalaat otrzymał był ongi książę Szirazu. „Wystrzały armatnie i dźwięki trąb zwiastowały nastąpienie tego dnia pięknego. Księcia Szirazu wyróżniał od otaczającej go świty wielki parasol nad głową rozpostarty, przywilej przysługujący książętom krwi. Na przestrzeni trzech mil angielskich droga zarzucona jest kwiatami, podobne honory świadczą jedynie osobistościom, zajmującym wybitne stanowisko. Butelki cukru (?) rozpryskują się wciąż pod nogami książęcego rumaka, sypanie pod nogi cukru jest symbolem szacunku, jaki się żywi dla kogoś, i szczęścia, jakiego mu się życzy”<sup>243</sup>.

Obecnie król nie tyle rozdaje, ile otrzymuje podarki. A słusznie zupełnie nad błażość cennych drobiazgów przekłada realną marność metalu. Więc gdy przypadkiem zbywa mu na drobnej monecie, a nie chce naruszać nagromadzonych skarbów, zapowiada któremu z potentatów zaszczyt swej wizyty. Honor ten oprócz kosztów podejmowania monarchy wraz z jego liczną, złożoną z osób dwustu lub trzystu świtą, zaznacza się jeszcze w kieszeni wybranego deficytem kilkunastu tysięcy franków, który ofiarowuje na wspaniałej tacy i w pokornie zgiętej pozie swemu panu i władcy, jako skromny *piszkiesz* (prezent) za łaskę, która w tym dniu na dom jego zstąpiła. Wyobrażam sobie, jak w tej przemowie do słońca Iranu rozsuwają się kwieciste i miódopłynne frazesy, wiele tam powtarza się „*male menmale szuma*”<sup>244</sup>, tym razem musowo szczerych.

Gdy króla królów podejmują jego poddani, obiadowe sam jeden w oddzielnej sali. U innych czy u siebie w swych pałacach, szach nie dopuszcza nikogo do zaszczytu zasiadania z nim do stołu. Nie robi w tym wyjątku nawet dla dyplomatów cudzoziemskich. Gdy przed siedmiu laty miano święcić jubileusz Nasr-Eddina, członkowie legacji europejskich zaproszeni zostali na wielki obiad. Lecz szach w innej, oni w innej jeść mieli sali. Dodam, że Nasr-Eddin nie uznawał zbyt wielu stołów i wolał spożywać swój posiłek spokojnie po persku, zasiadłszy na haftowanych złotem materacach lub jedwabnych dywanach i posługując się przy jedzeniu głównie palcami. Po skończonym obiedzie i wymyciu rąk obcierał je co dzień nowym kosztownym szalem wschodnim.

Na odległości oznaczonej ceremoniałem otaczają króla dworzanie, oficerowie, ministrowie, książęta krwi. W dowód szczególnej łaskawości obdarza czasem szach kogoś z tej świty udkiem lub skrzydełkiem kury, które szczęśliwy wybraniec losu spożywa z oznakami niewymownego zachwytu. Nikomu w obecności monarchy usiąść nie wolno i wszyscy — nie potrzebują tego zaznaczać — są bez obuwia. Za względnie niedawnych jeszcze czasów europejscy nawet posłowie zmuszeni byli je zdejmować, zjawiając się przed obliczem króla królów. Morier wraz ze swym ambasadorem, jakkolwiek ten ostatni pochodził z wielkiego rodu, nie uniknęli tych wymagań dworskiej etykiety. „Gdy dojrzeliliśmy króla (Fet-Ali-Szacha), złożyliśmy mu z szacunkiem nakazane przepisem pokłony; po czym, zatrzymawszy się o trzydzieści kroków od niego, porzuciliśmy nasze obuwie”.

Te bałwochwalcze formy zewnętrznych stosunków władcy do wiernopoddanych, tak różniące się od wielkiej prostoty tychże stosunków, w którą chętnie ubiera się dziś potęga monarchów Europy, nie rażą zbyt na Wschodzie, przesadnym we wszystkich przejawach życia, konsekwentnym zresztą w tej czi prawie boskiej z pojęciem, jakie wiąże do wszechwładztwa. Czy można i należy odnosić się inaczej do bieguna wszechświata, króla królów i cienia Boga?

Dary dawane i przyjmowane przez króla odwiodły mnie daleko od przedmiotu, od świąt obyczajowych, z których jedno zasługuje jeszcze na pobeżne choć wspomnienie. Jest nim święto wielbłąda, obchodzone, o ile pamiętam, w październiku. Dnia tego na placu Nigaristanu, przed drugim miejskim pałacem monarchy, zabijają wielbłąda na pamiątkę ofiary Abrahama. Mięso tego zwierzęcia jest święte i każdy pragnie zdobyć choć najmniejszy jego kęs.

Poprzedzony przez muzykę wojskową z tryumfem go na zagładę prowadzącą stąpa wielbłąd, przybrany w drodze czapraki, haftowane złotem i obszyte jedwabną frędzlą; na głowie kołysz mu się bogaty pióropusz.

<sup>243</sup> Wystrzały armatnie i dźwięki trąb (...) jakiego mu się życzy — Cytaty czerpane z Morièra. [przypis autorski]

<sup>244</sup> male menmale szuma — co moje, to twoje. [przypis autorski]



Nie wiedząc, co go czeka, biedny wielbłąd kroczy wolno, majestatycznie i godnie pomiędzy dwoma rzędami żołnierzy. Za nim, odziany równie jak on wspaniale w brokaty i aksamity, idzie z długą lancą *szach-zadeh*<sup>245</sup>, któremu przypadł w udziale nieprzyjemny zaszczyt zabicia wielbłąda. Dalej znów ciągnie wojsko.

Obszedłszy prawie całe miasto, orszak zatrzymuje się wreszcie na placu Nigaristanu. Szach-zadeh rani śmiertelnie zwierzę swą włócznią, reszty dokonywają rzeźnicy, ćwiartując i krając drgające jeszcze zwłoki. Lud rzuca się na nie, szarpiąc i wyrywając sobie krwawiące szmaty mięsa, zaledwie książę zatknął na ostrzu lancy pierwszy jego kawałek, by ponieść go w otoczeniu orszaku i wojska monarsze zasiadającemu w Talarze na marmurowym tronie, w apoteozie blasku i potędze dni uroczystych. I znów przemawia król, przemawiają dygnitarze, mułlowie i poeci.

Tak się odbywa Salam święta wielbłąda.

## XI

*Główny pałac królewski. — Tron pawia. — Nigaristan. — Pałac wielkiego wezyra. — Drogi Szimranu i podmiejskie rezydencje szacha. — Doszan-tepe. — Kasz-i-Kadžar. — Eszret-abad. — Ogród Kameranieh. — Czeszmeh-i-ali. — Szah-Abdulasim. — Ruiny Rhagesu.*

Pałac królewski i otaczające go zabudowania monarszego enderumu rozrzucone są niedaleko od europejskiej dzielnicy, w zieleni Gulistanu, na szerokiej, równej przestrzeni pomiędzy Majdani Tophaneh i bazarem. Zwiedzać je można za specjalnym upoważnieniem. Za to do podmiejskich zamków dostęp jest zupełnie swobodny, o ile szach w nich na razie nie przebywa; niejednokrotnie też rozkładaliśmy wesołe śniadania i podwieczorki na trawie, w ogrodach letnich rezydencji króla.

Budynki, z których składa się główny pałac teherański, są niewypowiedzianie beztylowe zewnętrznie; w okalających je murach ogrodu tkwią zabawnie naiwne majoliki, których widok rozproszyć może najczarniejszą melancholię. Patrzą z tych murów postacie wojaków o kostiumach i kolorach równie nieprawdopodobnych, jak rozpaczliwe krzykliwe. Twarze mają puciołowate, oczy bezmyślne i nastroszone na pół łokcia wąsy. Dziwić się wprost należy, że Persja, uprawiająca sztukę majoliki z głębokim artyzmem, pozwoliła umieścić w królewskich ogrodach podobne karykatury. Jedyłą ich zaletą jest, iż pobudzają do szczerego śmiechu i prowadzą w wesołym nastroju do przybytku króla królów.

Mówiłam już obszernie o przepięknej sali tronowej i o tronie marmurowym. Władcy Persji posiadają inny tron jeszcze, najwięcej pewnie oryginalny z istniejących ogólnie, barbarzyńsko wspaniałe i oślepiąco pyszny. Nadir-Szah (1684–1747), wielki wojownik, który rozniósł szeroko sławę perskiego oręża, zdobył go był w Indiach, krainie fantastycznych bogactw. Tron należał do Wielkiego Mongoła<sup>246</sup> Delhi, miasta Pendżabu, położonego na jednym z dopływów Gangesu, Delhi, słynnego w całej historii Indii, teatru bohaterów i niezliczonych wydarzeń Kriszny, opiewanych w 250 tysiącach wierszy *Mababharaty*<sup>247</sup>, tej *Iliady* indyjskiej. Stolica Wielkiego Mongoła jest obecnie jedną z pereł korony królów Anglii — niepodległość polityczna nie była zapisana Indusom w wyrokach boskich.

Tron ten zwie się tronem pawia, *Tachti-Tawus*. Czy jest z marmuru? Trudno to powiedzieć, gdyż pokryty jest całkowicie warstwą ciemnego złota, od którego tła odbija mozaika różnobarwnych kamieni. Poręcze, plecy, boki, samo krzesło tronowe, wszystko lśni się, iskrzy i mieni gamą tonów i blasków płynących od tej powodzi brylantów, szmaragdów, rubinów, pereł, szafirów, turkusów.

<sup>245</sup>*szach-zadeh* — książę. [przypis autorski]

<sup>246</sup>*Tron należał do Wielkiego Mongoła (...)* — Indie, zawojowane w XI wieku przez Mahmuda Gaznewida, króla Iranu, odbite zostały Persji przez Mongołów, których władcy pod mianem Wielkich Mongołów z Delhi nad krajem panowali [obecnie dynastię pochodzenia turecko-mongolskiego rządząca muzułmańskim państwem w pln. Indiach nazywa się Mogołami lub Wielkimi Mogołami; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>247</sup>*Mababharata* — jeden z dwóch głównych hinduistycznych poematów epickich (obok *Ramajany*); epos opowiadający o historii starożytnych Indii, zawierający nauki z zakresu filozofii (logiki, etyki), astronomii, medycyny, jogi, sztuki wojennej, edukacji, ekonomii, architektury, a także sztuki miłosnej. [przypis edytorski]

W głębi, na tylnym oparciu, wykwita wielopromienne brylantowe słońce, a z dwóch stron jego dwa pawie rozpościerają błękitno-zielone wachlarze swych ogonów, w których lży wielkie szafirów migocą w aureoli szmaragdów.

Na tym barbarzyńskim a pięknym tronie posadziłabym ukochaną przez Haruna ar-Rasyda cudną Zobeidę lub jeszcze Ireneę<sup>248</sup>, cesarzową dekadencji bizantyńskiej, w sztywnych sukniach ze złotogłowiu, w hieratycznych klejnotach: łańcuchach, krzyżach, diademach i opaskach z ciężkiego złota, jaśniejących potworną wspaniałością kamieni — Ireneę o twarzy wybielonej i wyróżowanej, o oczach linią koholu przyciemnionych, o ustach krwawiących karminem, istotę niepokojącą, tajemniczą, dziwną i olśniewającą. Bo tron to dla takich bożyszcz.

Tacht-i-Tawus wznosi się w głębi wielkiej sali rady stanu i ode drzwi już wzrok uderza swym niesłychanym, przynębiającym przepychem.

Tavernier, podróżnik, który zwiedzał był państwo Wielkiego Mongoła w początku XVIII wieku, widział tron pawia w Delhi i ocenił go na 150 milionów franków. Wartość jego jest, moim zdaniem, stanowczo wyższą; stanowi on w swym rodzaju rzecz jedyną, na którą nie ma ceny.

Nasr-Eddin lubił się w tym tronie fotografować, a Fet-Ali-Szach niejednokrotnie kazał się na nim swym malarzom uwieczniać.

Gdy przed tym zadziwiającym klejnotem stało się chwil parę w niemych zachwycie, sala rady państwa, która go mieści, wydaje się nagle oku nieznośnie banalna. Zbyt wyłoczone zdobią ją fotele, zbyt nowe i bogate brokaty. Cała jest biało-złocista i cała w lustrach, ujętych w złoczone i rzeźbione gipsy.

Obszerne salony pałacu zasłane są przeważnie wielkimi dywanami o niezrównanie pięknych tłach i deseniach; na nich, rzucane jak kwiaty, mniejsze, jedwabne piesszczą wzrok miękką barw harmonią. Nasr-Eddin, z jednego do drugiego pałacu i z jednej do drugiej sali wędrujący, rozkładał na nich swe koczownicze obiady.

Zmarły szach po trzykroć zwiedzał Europę, gościł u wszystkich jej monarchów i we wszystkich stolicach. Mógł podziwiać skarby sztuki nagromadzone w kolekcjach królewskich i arcydzieła muzeów, którymi chlubi się miast tyle. Mógł wyrobić sobie smak i gust przy najsłabszym choćby wrodzonym poczuciu piękna. Lecz niestety los skarał go widocznie całkowitym zanikiem zmysłu estetycznego. I nigdy, przenigdy król ten, panujący nad krajem, którego stara cywilizacja i kultura przekazały wspaniałe wzory do naśladowania współczesnym artystom Iranu, nie nabył jednego obrazka, jednej rzeźby, które by nie raziły bezgraniczną pospolitością.

Oplakane są te pozwożone z Europy nabytki.

Cała nędza jej groszowych bazarów, krzykliwa wulgarność kolorowych szkieł, kwiatów sztucznych, ordynarnych kryształów, potworne imitacje sewrskich<sup>249</sup> i saskich porcelan, pucołowate twarzyczki markizów i osłupione pasterki, zabawki dziecinne, wazony różowe, szafirowe, czerwone, powyzłacane i malowane. Czego tam nie ma? Czy istnieje jakie tanie szkaradzieństwo, na które by nie padł ciekawy i żądny zakupów wzrok monarchy? Ta wystawa okropności, rozłożonych za witrynami wzdłuż ścian uszykowanymi, przejmując odwręceniem, przerażającym się wkrótce w śmiech niespodziewany.

Z drugiej strony teź, a raczej tychże sal, bo wiele z nich bezczeszczą te bezceństwa, ustawiono za kryształowymi szybami gablot i na stołach dary różnych monarchów; mrożąco sztywne sewry, ofiarowane przez Napoleona III<sup>250</sup>, wazony malachitowe, dar cesarza Rosji, przepiękne staroświeckie porcelany chińskie i japońskie, kryształy weneckie, kilka stołów wykładanych cennej roboty mozaiką. Wątpię, czy kiedykolwiek oko monarchy spoczęło na tych przedmiotach. Ale nieraz z pewnością podziwiał dwa zegary, dar Kompanii Indyjskiej, które przejmują mnie dreszczem zgrozy: na złotych postumentach wznoszą się złote pawie, ruszające skrzydłami, gdy biją godziny, jednocześnie łożem z brązu płynie srebrny potok.

Tenże absolutny brak poczucia artystycznego uderza w galerii obrazów.

<sup>248</sup>Irena z Aten (ok. 752–803) — cesarzowa bizantyńska (797–802), sprawowała samodzielnie rządy jako pierwsza kobieta w historii Bizancjum. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>sewrski — pochodzący z Sévres, słynnej francuskiej manufaktury porcelany. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>Napoleon III Bonaparte (1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał przewrotu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w 1870 zdeponizowany. [przypis edytorski]

Pełno tam miernot, poskupowanych chyba na tandetnych wyprzedazach hotelu licytacyjnego paryskiego. I pełno w szerokie złote ramy ujętych arcydzieł nadwornego *nakasz-bassi*<sup>251</sup>, uwieczniających różne fantazje królewskie, a przeważnie sny Nasr-Eddina. Monarcha, jak widzę, miewał wizje wesołe.

Na naiwnych, seledynowo-zielonych pejzażach uwijają się w płasach korowody tancererek, i to nie perskich wykonawczyń drgań sugestywnych, mianowanych tańcem, lecz europejskich baletniczek z obnażonymi, i to bardzo, ramionami.

Jakkolwiek *nakasz-bassi*, którego dość często mam okazję spotykać, jest dobrym, miłym i uprzejmym człowiekiem, stwierdzam z żalem, iż talent jego malarski pozostał na równie pierwotnym stopniu rozwoju, jak estetyzm jego władcy. Jego baletnice zdają się mieć uwiązane u nóg ołowiane kule, suknie ich, z ciężkiej mazaniny, w niczym nie przypominają powiewnością muślinów, ciała stężale są w sztywnym ruchu. O rysunku, linii, perspektywie mowy nie ma oczywiście.

Nasr-Eddin, jak wszyscy Persowie, uważał dekolowanie ramion za szczyt nieprzyzwoitości, za najwyższy dowód niemoralności kobiet europejskich. Jednak wzrok obywateli Iranu szuka chętnie tej nieprzyzwoitości, którą dusza potępia. Trudno przedstawić sobie nagromadzenie większej kolekcji dekoltażów nad te, jakie zdobią ściany licznych salonów pałacu. Nie dość snów króla i wyobraźni *nakasz-bassi*; pełno tu jeszcze chromolitografii, drzeworytów, wyobrażających lekko przybrane wdzięki rozmaitych sław *corps de ballet*<sup>252</sup> i koryfeuszek<sup>253</sup>.

Jednak w tej mierności iskrzy się kilka pereł; są wartościowe płótna szkoły flamandzkiej; są przesłiczne gobeliny, przysłane przez Ludwika Filipa<sup>254</sup> Mohammed-Khanowi, są mozaiki artystyczne, dar papieża, są stare perskie malowidła szkoły ispahańskiej, oryginalnego rysunku i ciekawej roboty, nakładane niesłychanie delikatnie barwami i złotem jak średniowieczne *enluminures*<sup>255</sup> lub obrazy prymitywistów. W jednym z niedawnych opisów podróży po Persji (*Le Caucase et la Perse*, Orsolle) czytałam o ciekawym globusie ziemskim, który jakoby umieszczony jest w oranżerii. Albo go już stamtąd usunięto, lub też nie widziałam tej sali.

Globus wykonany został dla Nasr-Eddina z masywnego złota, na którym oceany, wyspy, lądy znaczą się drogocennymi kamieniami. Morza są szmaragdowe, Indie z ametystu, Afryka z rubinów, Persja z turkusów, Anglia i Francja z brylantów. Zabawka owa kosztowała króla 8 milionów franków, pomimo że dostarczył większej części kamieni.

W jednym z pałaców przechowywano dawniej — widzialne dla zwiedzających — klejnoty skarbu: korony, berła, diademy, potoki pereł, przepyszny brylant, noszony przez szacha na lewym przedramieniu w dnie przyjęć solennych, żółtą jedwabną suknię Fet-Ali-Szacha, naszywaną olbrzymimi perłami przeczystego blasku, mundury galowe innych szachów. Lecz przed laty może dziesięciu zaszła kradzież, wskutek której zamknięto klejnoty w pewnym i bezpiecznym miejscu.

Zewnętrzna dekoracja niektórych salonów jest w guście europejskim, przeważnie jednak widać ściany i sufitry ozdobione kryształami i rżniętymi lustrami.

Barbarzyńskie to nieco w zbyt błyskotliwej świetności, ale daje niezaprzeczenie wrażenie dość estetyczne; niezliczone załamy ścian lustrzanych, szlifowanych w pełne fantazji formy, ujęte są w bardzo udatnie pomyślane kapryśne arabeski sztukaterii<sup>256</sup> gipsowych.

Druga miejska rezydencja szacha, Nigaristan, z rzadka posiada w swych murach władczę, który przekłada nad nią swe podmiejskie zamki.

<sup>251</sup>*nakasz-bassi* — malarz. [przypis autorski]

<sup>252</sup>*corps de ballet* (fr.) — zespół tancerek i tancerzy danego baletu lub teatru, z wyjątkiem solistów, występujący na scenie jako jedna grupa. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>*koryfeuszka* — tancerka, która jeszcze nie jest solistką, ale już nie występuje wyłącznie w jednej dużej grupie, wykonuje także tańce w małych grupkach (np. przyjaciele głównych bohaterów) lub niewielkie partie solowe. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>Ludwik Filip (1773–1850) — ostatni król Francji z dynastii Burbonów, panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>*enluminures* (fr.) — iluminacje, średniowieczne ozdoby malarskie rękopisów, mające postać dekoracyjnych inicjałów, stylizowanych motywów roślinnych na marginesach, a nawet miniatur figuralnych niezwiązanych z treścią dzieła. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>*sztukateria* — ornamenty na ścianach lub na sklepieniu wykonane z gipsu bądź stiuku. [przypis edytorski]

W ogrodzie otaczającym ten pałac wznosi się na skrzyżowaniu kilku alei ów wyłocony Nasr-Eddin na wyłoconym koniu, za które to dzieło sztuki mułlowie się na zbyt postępowego króla obruszyli.

Nigaristan był ulubionym miejscem pobytu Fet-Ali-Szacha.

Bardzo interesujące freski zdobią ściany głównej sali pawilonu, w którym monarcha przesiadywał najchętniej. Przedstawiają one Fet-Alego na tronie w całym splendorze szat okazałych, lśniących od klejnotów, opartego o haftowane perłami poduszki i palącego sakramentalny kalian. Rozłożysta czarna broda okala twarz surową i ostrą. Dwunastu najstarszych synów króla, brodatych jak ojciec, stoi z dwóch stron jego w sukniach naszytych szlakami pereł.

Synowie ci nie przynosili w ogóle rodzinie Kadżarów wielkiego zaszczytu. Historia i kronika opisuje ich jako drapieżników wyzutych z wszelkich skrupułów i płamiących marnymi oszustwami i handlami sławę imienia.

O jednym z nich cytują następującą anegdotę:

Przysłał on był w prezencie pewnemu podróżnikowi inkrustowany złotem puklerz stalowy, dość rzadkiej roboty. Lecz po paru dniach zjawił się u niego *nazir* (zarządzający) księcia, żądając za puklerz 300 tomanów, które w owej epoce przedstawiały 3000 franków. Podróżnik odmówił wypłacenia kwoty i szczególny podarek wrócił do swego posiadacza.

W parę dni później sam książę odwiedza biednego cudzoziemca, którego postanowił obłupić, i dziwi się, że puklerz został mu odesłany.

— Daj mi sto tomanów, a natychmiast ci go przyślę, przy tym należy już do ciebie (*male szuma*); prosiłem cię, byś go przyjął, jak wszystko zresztą, co posiadam.

Książę stu tomanów nie otrzymał i puklerza, rozumie się, nie przysłał. Całe lekceważenie swego słowa i swych obietnic jest w tym drobnym fakcie, który się na obszarze Persji powtarza codziennie w niezliczonych przejawach od wieków już, od Cyrusa<sup>257</sup> czy od Dariusza<sup>258</sup>...

Rdzeń charakteru narodowego pozostaje niezmienny przez czasy. Zastanawiam się tylko, po co obywateli Iranu kształcono, jak twierdzi Herodot, od piątego do dwudziestego roku życia w mówieniu prawdy? Nie nauczyło ich to nawet poszanowania dla danych przez się przyrzeczeń.

Do zacienionego wiekowymi platanami ogrodu Nigaristanu częste odbywałam spacer. W nim to uderzył mnie po raz pierwszy najzupełniejszy brak skrupułów *bagh-banów*<sup>259</sup>, którzy spokojnie ogałają klomby z najpiękniejszych nieraz kwiatów, wiążą je dość niefortunnie w bukiety i ofiarowują zwiedzającym ogród *hanum frengi*. Rozumie się, że czuliby się mocno dotknięci, gdyby ta uprzejmość — kosztem ich panów — nie została opłacona hojnym *piszkieszem*.

Mają również zwyczaj częstowania melonem, herbatą; czasem w kobiałce upiecionej z łoży wierzbowej, a wyłożonej winnym liściem, przynoszą młode ogórki, sałatę, owoce. Zadziwiają przy tym chronicznym niezadowoleniem z otrzymanego datku: choćby najświeżej ich wynagrodzono, zachowują minę obrażonej godności, nie dlatego, by godność należała do liczby ich przymiotów, lecz że trzymają się zasady ukrywania zadowolenia w nadziei otrzymania przy nowej sposobności większego jeszcze *piszkieszu*.

Za najpiękniejszą spomiędzy rezydencji dostojników korony uchodzi w opinii Persów pałac Sadrah-azama (wielkiego wezyra), zbudowany według planów improwizowanego architekta Francuza, przebywającego od lat wielu w Teheranie i szpecącego miasto w miarę sił i możliwości budowlami mającymi pretensje do stylu i elegancji. Poruczają mu również meblowanie tych pałaców, z czego wywiązuje się, wypełniając je szczytnie niegustownymi kąpiącymi od złota konsolami, stolami, kanapami, fotelami, błyszczącymi lampami, mnóstwem żyrandoli i otchłanią szkieł różnokolorowych.

<sup>257</sup> *Cyrus II Wielki*, zw. *Starszym* (ok. 590–529 p.n.e.) — król Persji z dynastii Achemenidów; wystąpił przeciwko zwierzchnictwu Medów i pokonał ostatniego ich króla; podbił państwa Bliskiego Wschodu, tworząc imperium obejmujące tereny od Azji Mniejszej do Azji Centralnej. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *Dariusz I Wielki* (ok. 550–485 p.n.e.) — król perski (od 521) z dynastii Achemenidów, odnowiciel państwa, zdobywca; zreformował administrację, przepisy prawa, system podatkowy i armię, rozbudował sieć dróg, stworzył sprawnie działający aparat państwowy zarządzający największym imperium ówczesnego świata; dokonał inwazji na Grecję kontynentalną, rozpoczynając tzw. wojny perskie. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *bagh-ban* — ogrodnik. [przypis autorski]

Jakkolwiek wielkiemu wezyrowi (ostatnio wpadł w niełaskę) nie można odmówić inteligencji, a szczególnie sprytu dyplomatycznego, czyniącego zeń męża stanu w całym słowa tego znaczeniu — niepodobna przyznać mu najslabszego wyrobienia smaku.

Z pałacu jego wyszłam zmęczona i przygnębiona. Olbrzymie salony o ornamentacji europejskiej wypełnione są najcałkowiciej bezstylowymi meblami. Nagromadził w nich najpospolitsze brązy, najordynarniejsze terakoty i kryształy, niebotyczne bukiety sztucznych kwiatów. Na wielkim stole jednego z salonów rozłożono setki kobiecych fotografii, pozwożonych z podróży po Europie, a zaopatrzonych w dedykacje i podpisy. Znajduję kilka polskich nazwisk. Nie powiem, by przyjemność sprawiło mi to odkrycie. Nieostrożne dawczyni widocznie nie zdają sobie sprawy z niezmierzonej pogardy, jaką w głębi duszy żywi Azjata perski dla kobiety w ogóle, a dla Europejki w szczególności.

*Sir-remini* (piwnice) pałacu, obszerne, widne, wykładane jasnym marmurem, służą za galerię obrazów. Wzdłuż ścian ponalepiane setki i tysiące chromolitografii<sup>260</sup> i rysunków, powycinanych przeważnie z ilustrowanych dzienników angielskich. Wszystko się tu miesza ze wzruszającym eklektyzmem<sup>261</sup>: portrety monarchów, karykatury, obnażone ramiona i muślinowe spódniczki baletnic. *Nakasz-bassi* nadworny pracuje równie często dla Sadrah-asama, jak dla monarchy. Daje to miarę wartości zbiorów.

Przyjemnie wydobyć się ze szkaradnych salonów i z pomsty do nieba wołającej galerii, by wyjść do ogrodu rozległego, starannie utrzymywanego, zakwieconego. Wiosną spędzamy w nich częste godziny, gdyż podwoje jego dla wszystkich są otwarte, a położony w naszej dzielnicy, na wprost legacji francuskiej i przy Derwaseh Szimrani, najwięcej jest uczęszczanym z miejsc pieszych przechadzek.

\*

Tuż za Bramą Szimrańską, do której, jak mówiłam, dążą dwie główne ulice europejskiej dzielnicy, a od której my zaledwie o paręset kroków mieszkamy, rozściela się wieś, a właściwie piaszczyste pustkowie.

Drogi Szimranu zamieniają się wiosną tylko w cud zieleni i kwiecia; latem, jesienią i zimą byłyby smutne i jałowe, gdyby nie urok słońca, napawającego duszę pogodą i weselem, lejącego potoki fal świetlnych, kładącego pyszne blaski na góry, wrzynające się poszarpanymi szczytami w ciemny szafir nieba. Śnieżna korona Demawendu, najwspanialszego z brylantów Iranu, srebrzy się, iskrzy, mieni, płonie w słońcu. Powietrze ma tak dziwną przezroczystość i tak zbliża przedmioty, że wystarczy — zda się — rękę wyciągnąć, by dosięgnąć gór dalekich.

Wszystkie niemal drogi Szimranu prowadzą do pałaców szacha, które zmarły monarcha odwiedzał często z liczną świtą męską i z kilkoma lub kilkunastoma ze swych małżonek, a wszystkie biegną ku podnóżom Elbursu. Jakkolwiek królewskie pojazdy nieraz po nich suną, nie skłania to bynajmniej dygnitarzy, których zwierzchniej pieczy powierzono jest staranie o utrzymywanie ich w porządku i całości, do jakichkolwiek dla nich względów. Zasypane są grudami kamieni i czernią się wybojami.

Na głównej z tych dróg, dążącej do wsi zamieszkiwanych latem przez Europejczyków, a na której spotykam wciąż wielkiego wezyra i innych ministrów w otoczeniu sług i dworzaków — panoszyła się przez całe dwa lata mego pobytu na środku drewnianego mostku wielka dziura, w której koń z łatwością mógł złamać nogę. Nigdy nie dokonano na mostku najmniejszych robót reparacyjnych, nawet w przewidywaniu wizyty szacha do leżących w tamtej stronie zamków. Sądzę, że obecny walliet zastąpi po najdłuższym jego życiu Muzaffer-Eddina, a wybój w moście pozostanie, jako wieczne świadectwo szczytnego niedbalstwa wszystkich Irani. Wiadomo ogólnie, że dojeżdżając do tego miejsca, należy zwalniać konia w biegu: stanowi ono znaną, przewidzianą i akceptowaną przeszkodę.

Mówiłam już, że zmarły szach chętniej niż w miejskich swych pałacach przebywał w rezydencjach rozsianych na wsi okolicznej. Wewnętrzna jakaś gorączka gnała go z Te-

<sup>260</sup>*chromolitografia* — wielobarwny obrazek odbity za pomocą kamiennych matryc z łupku wapiennego, na które uprzednio naniesiono rysunek, każdy kolor na innej płycie; także technika wykonywania takich odbitek, wynaleziona w XIX w., w XX w. wyparta przed druk offsetowy. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>*eklektyzm* — łączenie w jedną całość elementów zaczerpniętych z różnych stylów, często niezgodnych ze sobą. [przypis edytorski]

heranu do bliskiego zamku, stamtąd znów do lasów Mazenderanu, gdzie namiętnie od-  
dawał się polowaniu. Muzaffer-Eddin, chorowity, apatyczny, uśpiony, nie dzieli gustów  
ojca, na które gorzko się nieraz żalili dygnitarze, zmuszeni co dzień stawać przed pańskim  
obliczem i wciągnięni obowiązkowo w koczownicze życie monarchy.

Jednym z ulubionych letnich zamków Nasr-Eddina był Doszan-tepe (góra królików).  
Wygląda on raczej na fortecę i wznosi się na górze dość stromej i wysokiej, o dostępie  
męczącym i niedogodnym. Należy doń rozciągający się na płaszczyźnie brzydki, niezacieniony,  
pozbawiony wszelkiej perspektywy ogród. Chroni się w nim droga sercu mon-  
archy menażeria. Widziałam w niej bezgrzywe lwy Farsu, które, jak się przekonywam,  
nie są jeszcze mitem, są też tygrysy i pantery, jest odór nieznośny, menażeriom właściwy,  
który nie pozwala mi się przypatrywać dłużej drapieżnikom, zamkniętym za żelazną  
kratą.

Najwięcej malownicze jest położenie zbudowanego przez Fet-Ali-Szacha zamku Kadzarów Kasz-i-Kadzar. Wznosi się ten zamek, jak Doszan-tepe, na wysokości, z której  
roztacza się przepiękny widok na Szimran i okolice Teheranu. Prowadzą doń ogrody pnące się w górę całym szeregiem tarasów, poprzerzynane cichymi strumieniami, sączącymi wolno swe przejrzyste wody, zadrzewione, zacienione i melancholijne.

Najbrzydszym z pałaców jest Eszret-abad, zamek rozkoszy, przezwany wulgarnie a dobitnie kurnikiem. Zamek rozkoszy przedstawia się jak szkaradna, wyniosła dość wieża, otoczona w okrąg szeregiem niskich zabudowań, jednostajnych budek, zamieszkiwanych przez damy z enderumu, gdy je kaprys monarszy za sobą prowadzi. A że enderum królewski chronił zazwyczaj do siedemdziesięciu małżonek, więc jakkolwiek Nasr-Eddin wszystkich ze sobą nie woził, zastosować jednak kazał ilość budek do liczby haremowych swych piękności. Nad każdą z nich rozpościerają swe promienie wielkie słońca o kobiecych twarzach, unoszące się nad lwami dobrodusznymi i groźnymi zarazem, o nastraszonych brwiach, z wojowniczo wzniesioną maczugą. W każdej budce są dwa pokoje, umeblowane pierwotnie dywanami i materacami. Persowie łóżek w ogóle nie uznają, a ci nawet, których zaraziły mody Fręngistanu i którzy sprzęt ten posiadają, nigdy zeń nie korzystają.

Mnóstwo jeszcze pałaców otacza miasto od strony Szimranu: Yusuf-abad i Sultaned-abad, Nedżefabad, Dao-Dieh i Niawaran, wysoko już w górach położony; zamek ten upodobał sobie szczególnie Muzaf-fer-Eddin dla przyjemnego chłodu, jaki tam panuje.

Pałaców tych opisywać dokładniej nie będę. Zeszecono je prawie wszystkie ordynarnymi naleciałościami architektury europejskiej, ornamentacją przypominającą salony wielkich hotelów, malaturami jarmarcznych artystów, świecznikami i wazonami, w których lubuje się dusza Persa i którymi zastawia on wszystkie konsole<sup>262</sup> i stoły. Szczęściem, że przechowały się jeszcze w każdym z nich prawie stare zabytki, arcydzieła sztuki ornamentacyjnej perskiej, śliczne mozaiki, majoliki i *battemy* (inkrustacje kością słoniową, złotem i perłową masą), przepyszne szyby, a czasem i sklepienia ze szkła kolorowych, których barwy harmonijnie się kojarzą i na których — lekkie i delikatne — wykwitają sploty zieleni i kwiatów. Po witrażach biegną, obramowując oddzielne szybki, niesłychanie misterne, wąskie linie rzeźb drzewnych. Ściany wyłożone są u dołu przezroczystymi marmurami z Yezdu<sup>263</sup> i Denkerghanu, malowanymi w arabeski i kwiaty o barwach przy-  
Sztuka  
  
ćmionych.

W innych pokojach wymalowano całkowicie mury we freski przedstawiające sceny z życia obyczajowego. Patrzą z nich brodaci Kadzarowie w sukniach wąskich i obcisłych do pasa, u dołu rozszerzonych i sadzonych kamieniami. Fet-Ali-Szach zasiada majestatycznie na tronie lub pędzi na białym, czerwono-grzywym rumaku, kładąc trupem dziki i jelenie. Kobiety w balonowych spódniczkach, o szerokiej twarzy, siedzą, zajadając szirini lub pałac kalian; inne oddają się skandalicznie nieprzyzwoitemu flirtowi.

Parki przylegające do pałaców są w ogóle ładne, o uroczyście cienistych alejach. Wszędzie szemrzą strumienie, biją wodotryski i szkli się w basenach o dnie z turkusowej majoliki woda kryształowo przejrzysta. Ogrodnicy perscy nie znają sztuki grupowania odpowiedniego roślin i kombinowania barw. Lecz — jak wszyscy ich rodacy — lubią namiętne wonie ciężkie i upajające; toteż uprawiają głównie kwiaty o zapachach zdecy-

<sup>262</sup>konsola — ozdobny, wąski stolik umieszczany zwykle pod lustrem. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>Yezd — dziś popr.: Jazd, miasto w środkowym Iranie. [przypis edytorski]

dowanych i silnych. Wiosną pełno w ogrodach hiacyntów i narcyzów, latem róż, jesienią tuberozy, którą Persowie nad wszystkie kwiaty przekładają i zwą poetycznie „*guil Maryem*” (kwiat Maryi).

Ponad wszystkie ogrody — nie wyłączając Gulistanu — stawiam wielki park w Kameranach, rezydencji księcia Naieb-Saltaneh<sup>264</sup>, o kilkanaście kilometrów od miasta położonej. Ogród ten wygląda na olbrzymią cieplarnię, tak roślinność tam jest wybujała wspaniale, a całe jego urządzenie przynosi zaszczyt ogrodnikowi Francuzowi, który nim się zajmuje.

Przepyszne palmy różnych odmian: latanie, draceny, feniksy rozkładają szeroko liści swych wachlarze; ogromne jukki z ciężkim, białym kwiatem, kanny czerwone, białe, różowe, wielkie krzaki, najrzadszych i najpiękniejszych róż, jakie w Persji widziałam. Pełno w ogrodzie cienia, woni i chłodu, więcej od gąszczy drzew i od jasnej tafli basenów. Biały pałac znaczy się jasną plamą na ciemnym tle zieleni. Przed bramą wjazdową słudzy oprowadzają ciężko i poważnie stąpające słonie: jest ich pięć czy sześć — fantazja księcia, który z wielkim kosztem sprowadził je z Indii.

Oprócz królewskich i książęcych pałaców dwie jeszcze miejscowości służą za cel przechadzek i wycieczek. Są nimi fontanna Alego: Czeszmeh-i-Ali i ruiny miasta Rey<sup>265</sup>.

Fontanna Alego to właściwie niewielki staw, zbiornik wody źródlanej ze skał otaczających bijącej. Na prostopadłej i gładkiej ścianie jednej z tych skał wyryto portret któregoś z Sasanidów i otoczono go napisami. Fet-Ali-Szach, odczuwający nieposkromioną potrzebę uwiecznienia swej postaci na wszystkich gmachach, frontonach i murach, nakazał zatrzeć napisy i postać swego poprzednika, a natomiast wyryć swój wizerunek.

Czeszmeh-i-Ali bliski jest słynnego meczetu Szah Abdulasim, miejsca pielgrzymki licznych tłumów. Naokół meczetu wyrosło miasteczko, czyste i ładne, w zieleni drzew ukryte. Pobożni ciągną tu, by spełnić obowiązek religijny, a zarazem użyć rozrywki i spaceru. Kobiety szczególnie, korzystające ze wszystkich sposobów wyrwania się z enderumu, gorliwie uprawiają wędrówki do świętych przybytków, a przeważnie do bliskiego stolicy Szah Abdulasimi. Najsurowszy nawet mąż pozwolenia na taką wycieczkę odmówić nie może. By skuteczniej uzyskać opiekę imamów, modlą się hanum gorąco u ich grobów po dni kilka i kilkanaście, a w chwilach wolnych zawiązują miłosne intrygi.

\*

O dziesięć zaledwie kilometrów od Teheranu wznoszą się smutne ruiny, zdające się patrzeć na cmentarzysko gebrów, wielbicieli ognia. Resztki muru obronnego i dwie na wpół zwalone wieże są wszystkim, co pozostało z chwały i świetności antycznego Rhagesu, jednego z największych miast starożytności. Rhages, przechrzczone przez muzułmanów na Rey, należy do miast, których początki toną w mgłę prawieków.

Przez czas dłuższy po zawojowaniu Persji przez Omara Rhages był jej stolicą, a między 900 a 1000 rokiem naszej ery słynął jako najpotężniejsze, najbogatsze i najludniejsze miasto całej Azji. Urodził się w nim Tobiasz, bohater opowieści Starego Testamentu, wielki kalif Harun ar-Raszyd, wreszcie Zoroaster, twórca doktryny religijnej wychodzącej z pojęcia walki Zła i Dobra, których symbolami są Ormuzd i Aryman, a którą do czasów zaboru muzułmańskiego wyznawała cała Persja.

Wobec tych żalonych ruin nie widzę lepszej ilustracji do rozmyślań nad upadkiem i znikomością potęg ziemskich. W IX wieku chrześcijańskiej ery — jak utrzymuje Chardin — miasto podzielone było na 96 dzielnic, z których każda posiadała 46 ulic, każda ulica 400 domów i 10 meczetów. Miasto posiadało przy tym 6430 szkół, 16 000 hammamów, 13 000 karawanserajów. Autorzy arabscy twierdzą, iż w III wieku hegiry (odpowiadającemu IX stuleciu naszej ery) Rey było najludniejszym miastem Azji; zdaniem ich żadne — poza Babilonem — miasto nie posiadało takich bogactw i równej potęgi. Stąd nazwy, jakie mu nadawała historia: Pierwsze Spomiędzy Miast, Wrota Wrót Ziemskich, Rynek Wszechświata.

Z tego przepychu i z tej wspaniałości nie pozostały nawet rumowiska i kamienie. W roku 1221 nad miastem, liczącym jeszcze w owej epoce 700 000 mieszkańców, prze-

<sup>264</sup>Naieb-Saltaneh — brat Muzaffer-Eddina. [przypis autorski]

<sup>265</sup>Rey — dziś popr.: Rej, jedno z najstarszych miast Iranu, ob. dzielnica Teheranu. [przypis edytorski]

szły barbarzyńskie hordy Czyngis-chana, znacząc swe ślady pogromem i pożogą, pustką i zniszczeniem.

Moner widział jeszcze w 1813 roku zwaliska zamku uczepionego u skały. Na jednej ze ścian wykutych w gładkim kamieniu znajdowała się — według jego opisu — pierwotna rzeźba, datująca sprzed zaboru muzułmańskiego — wojownik pędzący konno z wyciągniętą naprzód dźwigającą na głowie i ramionach wielkie kule.

Wątpię, czy te ruiny istnieją po dzień dzisiejszy. Ja widziałam tylko dwie zwalone wieże, sterczące smutnie w jałowym krajobrazie zniszczenia i śmierci.

## XII

*Rzut oka na stanowisko kobiety w Persji. — Macierzyństwo i chowanie dzieci. — Eunuchowie. — Bibi-banum. — Tancerze i tancerki. — Święto Fatimy. — Wizyta u żony szacha. — Enderum Nasr-Eddina i Muzaffer-Eddina. — Poligamia i rozwód.*

W żadnym z krajów wyznających wiarę Mahometa, ani w Egipcie, ani w Arabii, ani w Turcji, ani pomiędzy muzułmanami zamieszkałymi w Indiach i Syrii — nie otacza kobiety taka jak w Persji tajemniczość; nigdzie nie jest odsunięta tak bezwzględnie od świata zewnętrznego i pulsującego w nim życia. Lecz ogólna apatia rasy, zamarłej w odrętwiałym znieruchomieniu, sprawia, że kobieta znosi z wielkim spokojem dołą, na jaką ją skazują islam i obyczaje jej ojczyzny.

Od najniższych szczebli do szczytów drabiny społecznej wszystkie kobiety Persji jednakowo wegetują: biedne czy bogate, samotne czy otoczone rojem służebnych, żony robotników i małych mieszczan, czy szah-zadeh hanum, wszystkie wloką beczynną godzinę i dzień życia w ciasnym więzieniu enderumu, paląc papierosy, odurzając się kalkanem, pijąc herbatę i pogryzając szirini, o ile nie spacerują od jednego do drugiego sklepu bazaru, zapatrzone w błyskotki i lachmanki. Poza mężem i najbliższymi członkami rodziny klatka ich zamknięta jest dla wszystkich mężczyzn; z żadnym też: ani z mężem, ani z ojcem, ani z bratem nie wolno im wychodzić na ulicę i pokazywać się w miejscach publicznych. Żadne zajęcie pozadomowe nie jest dla nich dostępne, a wdrożone przez cały tryb swej egzystencji do nieuleczalnego lenistwa, wykonywają niechętnie i niedbale nieliczne prace domowe, składając na barki męża lwią część zajęć przypadających u nas w udziale wyłącznie kobietom.

Pomiędzy dwunastym a czternastym rokiem życia, w wieku, gdy my nie pogardzamy jeszcze lalkami, dziewczęta perskie, rzucone brutalnie przez rodziców w objęcia mężczyzn, zostają żonami i matkami. Życie nie przygotowało ich w niczym do roli wychowawczyń przyszłych pokoleń, tymczasem mąż i społeczeństwo domagają się od nich potomstwa, potomstwa i jeszcze potomstwa. Sypie się też drobiazgu ludzkiego obficie. Gdyby cyfra ludności Persji wzrastała w stosunku do ilości urodzeń, byłby to dziś jeden z najwięcej zaludnionych krajów świata. Jeśli nie walecznością swych synów, to choć ich potęgą liczebną mógłby stać się murem obronnym przeciw państwom Fręngistanu, które mu swą wolę i swe prawa narzucają. Lecz ludności nie przybywa, bo śmierci równie są liczne jak urodzenia. Dzieci gniją w niechlujstwie i brudzie, chorują i mrą jak muchy pod obojętnym wzrokiem rodziców. W dwudziestym roku życia kobieta jest często matką pół tuzina rachitycznych stworzeń, kołyszących na cienkich szyjach wielkie głowy hydrocefalów<sup>266</sup> i potworne brzuchy na badyłowatych nożynach. Zniszczona przedwcześnie, zmęczona, wyczerpana, prawie już stara w wieku, gdy dla nas rozpoczyna się prawdziwe, pełne życie, bezgranicznie bierna i ocieżała z natury, kobieta ta nie zajmuje się niczym — najmniej zaś swą progeniturą<sup>267</sup>, która rośnie i chowa się pod pieczę Allaha. Nikt wprawdzie tych istotek nie krzywdzi, lecz nikt też nie utuli, nie przygarnie do ciepłej piersi. Choroby czepiają się ich wszystkimi porami, a śmierć je kosi jak łany zwarzonych przez mróz kłosów.

<sup>266</sup>hydrocefal — osoba z hydrocefalią, tj. z wodogłowie, chorobą polegającą na zwiększeniu objętości płynu mózgowo-rdzeniowego w mózgu, skutkującym powiększeniem się obwodu głowy u dziecka; wodogłowie prowadzi do opóźnień rozwoju, niekiedy do śmierci. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>progenitura (z łac.) — potomstwo. [przypis edytorski]



To, co tu z żalem stwierdzam, odnosi się zarówno do ludu, jak do najwyższych sfer społecznych. W lepiancy i pałacu, pod dachem dzikiego pasterza, przymierającego w wiecznym jarzmie niedoli, czy we wspaniałym domostwie człowieka, uprzywilejowanego przez fortunę i urodzenie — wszędzie panuje jednakowa, nieopisana obojętność na losy dzieci, powierzonych w najlepszym wypadku niedbałej opiece służby.

Przedwczesne i zbyt częste macierzyństwa nie tylko nie pozwalają kobiecie zrozumieć zadań i obowiązków matki, nie tylko rujną przedwcześnie jej młodość i zdrowie — lecz jeszcze niejednokrotnie o śmierć ją przyprowadzają. Bo jakkolwiek pod gorącym słońcem tej ziemi rozwija się ona fizycznie wcześniej niż kobieta Zachodu, jednakże w trzynastym lub czternastym roku życia nie jest stanowczo dojrzałą jeszcze do roli fizjologicznej, jaką jej narzucają, i przypłaca życiem gwałcenie praw organizmu.

Ta kobieta-dziecko odznacza się na punkcie wykształcenia i wiedzy otchłanną wprost nieświadomością. Nie mówię już o kobiecie z ludu, której ignorancja dość jest zrozumiała, lecz kobieta z arystokracji na równi ze swą siostrą z gminu ma umysł całkowicie nieuprawiony. Pojęcia jej o świecie rozciągającym się za Iranem są naiwne i nieskomplikowane. Wie, że gdzieś daleko, daleko za morzami, rzekami i górami jest *Frangistan*, olbrzymia, nieokreślona kraina, zamieszkała przez mniej więcej jednostajną rasę *frangi*. Braterstwo ludów Europy ziściło się w jej pierwotnym i upraszczającym sytuacji mózgu.

*Frangi* ci posiadają w jej oczach cenną zaletę: wyrabiają piękne przedmioty zbytku — tłoczone aksamity, sztywne atlasy, delikatne batysty, jedwabne pończochy, barwne wstążki, odurzające perfumy, doskonale bielidła, róże, karminy i czernidła, którymi Roger-Gallet i Pinaud hojnie rynki Wschodu zalewają.

W sklepach europejskich Teheranu, a szczególnie w wielkim holenderskim bazarze Toko, roztaczającym w swych towarach największą jaskrawość barw i wulgarność gustu, spędzają hanum perskie, którym majątek na to pozwala, długie dnia godziny. Są marnotrawne, gdyż nie znają wartości pieniędzy, chętnie biorą na kredyt, nie troszcząc się o zapłatę; brak im zupełnie elementarnej choćby sumiennosci.

Lubią zmieniać i wciąż zmieniać kostiumy; jedyna to z nielicznych rozrywek ich jednostajnego życia. Jakkolwiek, wychodząc na ulicę, muszą być niezmiennie ubrane w tradycyjne czadury i zasłony, namiętnie jednak zakupują kapelusze, zamienione w ogrodzie wszechkolorowego kwiecia, spośród którego wytryskują pióra strusie i węzły wstążek. Noszą biedaczki te kapelusze w pokoju, delektując się nimi przed lustrem i pyszniąc przed służącymi.

Cnota ich, choć czujnie strzeżona, wątła jest jak nic pajęczka. Nie wpojono w nie żadnych zasad ani pojęć moralnych. Toteż bez wyrzutów sumienia i walk wewnętrznych szukają wrażeń i urozmaicenia nudy życia, gdzie mogą i jak mogą. Niewidzialne są dla ogółu, dla tłumu, lecz łatwo odchylają zasłonę, gdy oko przez kratkę ażuru dojrzy w przejściu na ulicy, w bazarze, u podwojów meczetu młodego eleganta zręcznej postaci. Porozumienie następuje szybko. Jednostajność kostiumu, jednakością tajemnicą otaczająca je wszystkie na ulicy, ułatwia intrygi. Odziana w nędzny płóciany czadur, pożyczony od przekupionej służebnej, wielka pani dąży pieszo na miłosną schadzke; własny jej mąż przejdzie tuż przy niej i nie pozna jej pod tym przebraniem. Jednakże sprytny szef teherańskiej policji, Włoch z urodzenia, niejednokrotnie umiał powikłać nici sentymentalnych awantur różnych wytwornych arystokratek kryjących się pod czadurami niewolnic.

Trudniej niż kobiety służebne, współczujące losom swych pań i same od słabości serca nie wolne, przekupić jest eunuchów<sup>268</sup>. Lecz, że nie ma podwojów, których by złoto otworzyć nie zdołało, więc znajduje dobroczynny ten kruszec drogę i do rozumu eunuchów i zamyka ich oczy na to, czego widzieć nie powinni, a uszy na to, czego słyszeć nie trzeba. Oczywiście jednak wchodzenie z nimi w tego rodzaju układy powiększa jeszcze ciężką zależność oddanej pod ich nadzór kobiety. I te księżniczki, żony królewskie i arystokratyczne hanum, które wysoki ród skazuje na katusze posiadania stróża cnoty, nienawidzą ich głęboko i obawiają ich się zarazem. Ale żadna nie jest dotknięta w swej ludzkiej godności brutalną i poniżającą tą niewolą; cierpią z powodu tego jedynie jako z powodu niewygodnej komplikacji życia.

<sup>268</sup>*eunuch* (gr. dosł.: strażnik łoża) — wykastrowany mężczyzna lub chłopiec pełniący rolę strażnika haremu. [przypis edytorski]

Podczas mego pobytu w Teheranie wszystkie prawie kobiety kolonii europejskiej bywały u jedynej, zdaje się, z perskich kobiet wychowanej poniekąd według obyczajów Zachodu. Ojciec Bibi-hanum, zmarły w roku zeszłym w Paryżu Muszir-el-Dowleh, był człowiekiem wysokiej inteligencji i gruntownego wykształcenia; przez długie lata pełnił przy dworze tureckim funkcje ambasadora, po powrocie zaś do Teheranu piastował przez czas pewien godność wielkiego wezyra, a przez długie lata był ministrem spraw zagranicznych.

Biedna Bibi-hanum, wyrosła w Konstantynopolu, przywykła do swobodnego obcowania z ludźmi i swobodnego życia, do chodzenia z odkrytą twarzą i noszenia europejskiego kostiumu, powróciwszy w piętnastym roku życia do Teheranu, poczuła się zupełnie obca w swej ojczyźnie i jej obyczajach, którym jednak bezsilnie poddać się musiała. Wydano ją za mąż za ministra poczty i telegrafów, dla którego żywiła mniej niż chłodne uczucia i obdarzona nieuniknionym eunuchem. Wolno jej było, jak innym hanum perskim, widywać kobiety, lecz żaden mężczyzna nie miał prawa przekroczyć progu jej domu.

Odwiedzałyśmy ją dość często, szczerze współczując jej bolesnej doli. Zaledwie wchodziło się do salonu, wnet zjawiał się eunuch, powiadomiony przez służebną o nadejściu gości. Jeśli przybyła z wizytą hanum była mu już znana, witał ją mniej lub więcej uprzejmie; gdy fizjonomia jej zdawała mu się obca, bez żadnych ogródek zwracał się do pani domu, pytając głośno, kto jest ta dama. Nie można było usiąść do fortepianu, roześmiać się głośnie; we drzwiach ukazywała się natychmiast wstrętna postać eunucha. Ostre oczy patrzyły przenikliwie z twarzy suchej i starczej; z wąskich ust głos piskliwy wyrzucał szereg pytań: skąd ta wesołość, o czym te hanum tak rozprawiają? Bo nie rozumiał nas ku swemu umartwieniu; Bibi mówiła płynnie po francusku, w tym więc języku toczyła się rozmowa.

Pewnego razu, z okazji wyjazdu żony konsula francuskiego, z którą serdeczna wiązała ją sympatia, Bibi-hanum zebrała u siebie kilka kobiet europejskich, z nią i z opuszczającą Teheran panią A. w bliskich pozostających stosunkach. Byłam jedną z czterech zaproszonych.

Sądziłyśmy, iż eunuch, znający nas dobrze, nie będzie się obawiał tajemniczych kno-wań i konspiracji i oszczędzi nam swego widoku. Niestety, nadzieje nasze były płonne. Ani na chwilę nie opuścił jadalnego pokoju i stając za krzesłem swej pani, od czasu mieszał się do rozmowy. Nigdzie to poniżenie i ten smutny los kobiety nie raził mnie dotkliwiej, jak wobec młodej i niewinnej Bibi-hanum, do innego życia stworzonej, czystej istoty, której dziecięca dusza z pewnością była jak kryształ niepokalana i którą tylko chyba nieustanny dozór i wytrwałe szpiegostwo mogły nauczyć, iż są rzeczy, z którymi kobiety się kryją.

Podczas całego śniadania przygrywała w salonie orkiestra perska, wywodząc głuche i monotonne melodie, w których ucho daremnie doszukuje się harmonii. Gdy chwila-mi milkła muzyka, odzywał się uczony słowik, zamknięty, jak hanum perska, w klatce. Raczenie gości podczas obiadu śpiewem słowika jest tu obyczajem dość rozpowszechnio-nym. Bibi-hanum chciała nas przyjąć po persku, wiedząc, że to nas zabawi i zainteresuje. Na szczęście obiad podano po europejsku. Eunuch znikł dopiero z widowni, gdy zjawić się raczył do salonu na kawę drugi pan tej niewolnicy, jej mąż, Emin-el-Mulk. Widocznie zdecydowali, iż straż jednego z nich wystarczy, by upilnować Bibi od demoralizującego wpływu czterech europejskich kobiet. Ofiarowano też naszym oczom i uwadze tej tak pilnie strzeżonej cnoty młodej Bibi poruszające widowisko obrzydliwie sprośnego tańca, wykonywanego przez dziesięcio-, dwunastoletnich chłopców, ubranych po kobiecemu w sztywne, krótkie aksamitne spódniczki ukwiecone, tudzież cudacznie powykręcane kapelusze.

Chłopcy ci są piękni i wstrętni zarazem. Mają olbrzymie czarne oczy, podcienione kohołem i maleńkie wykarminowane usteczka, cerę smagłą i bladą, twarze okolone lokami czarno-rudych włosów. Niby chory wykwit dekadencji, wyglądają oni jak kwiaty zepsucia, jak kwiaty zgnilizny. Przy dźwięku tamburynów, piszczałek i flecików, wygry-wających zawodne i głuche motywy, drobne ich figurki wyginają się w rytmie drgań to

Kobieta

Ptak, Gość

Taniec

powolnych, to przędzych, w rodzaju *danse du ventre*<sup>269</sup>, lecz znacznie bardziej zaakcentowanego w jego wstrętnych tendencjach. Emin-el-Mulk czyta widocznie na naszych twarzach zażenowanie zamiast zachwyty, gdyż gestem popisy chłopców przerywa.

\*

Tańce te, wykonywane przez chłopców, ilekroć patrzą na nie oczy męskie, a przez dziewczęta wobec samych kobiet lub króla, są główną rozrywką, zakończeniem i urozmaiceniem perskich uroczystości. Raz jedynie widziałam tancerki na dość ciekawym dla europejskich kobiet święcie Fatimy (obchodzonym na pamiątkę córki Mahometa, Fatimy). Dziewczęta te niczym, ani ubraniem, ani twarzą, ani postacią, ani naturą tańca nie różniły się od chłopców.

Na święto Fatimy rozsyłała zaproszenia jedna z czterech głównych żon Nasr-Eddina, nosząca to imię. Zbierały się u niej małżonki monarchy, jego faworyty, żony dygnitarzy perskich i kobiety europejskie, których mężowie należeli do składu legacji lub pozostawali w służbie rządowej. Żaden inny mężczyzna prócz króla nie ma dostępu na tę uroczystość.

W przedśionku przyjmuje nas wdzięcznym uśmiechem i kilku uprzejmymi słowami stara hanum w ciężkich sztywnych materiałach; jest to podobno sama Fatima; przy niej stoi syn jej, elegancki i miły książę Nieb-Sultaneh. Na schodach, w korytarzach i w salonach roi się od eunuchów. Niesłuchany ich natłok przede wszystkim wzrok uderza. Jest ich chyba 300 co najmniej. Są starzy i młodzi, biali i czarni, jest kilku potwornych karłów, których wspomnienie zakłócić może spokój snu przeraźliwą marą. Wszystkie te twarze są jednakowo brzydkie i odpychające. Oczy bazylijszków, przywykłe do wpijania się w dusze biednych niewolnic, patrzą bezlitośnie i przeszywająco, wąska linia ust okrutnych przecina twarze bez zarostu; wszyscy — najmłodszy nawet — wyglądają na starców i wszyscy są nieopisanie wstrętni. Spotyka mnie smutny zaszczyt przyjaznych uśmiechów, jakie przesyłają mi z dala kat Bibi-hanum i usposobiony dla mnie życzliwie eunuch jednej ze znajomych mi żon szacha.

W wielkim środkowym salonie, którego przednia witrażowa ściana otwiera się na wesołą zielen ogrodów, zebrała się cała kobieca arystokracja Teheranu, by przedstawić zebrane swe wdzięki monarsze, jednemu mężczyźnie mającemu dostęp do tego gynecium<sup>270</sup>. Oczywiście nie biorę w rachubę eunuchów. Przed królem jednym ukazują się kobiety z odkrytą twarzą. Widzę wszystkie uznane piękności Teheranu... Pomiędzy ludem przeważa w Persji typ kobiety szczupłej, zręcznej i nerwowej. Konieczność zmusza kobiety klas biednych do większego ruchu i choć niesłuchanie mało w ogóle pracują, jednakże cośkolwiek koło domu robić muszą. Skutkiem więc nędznego odżywiania się nie tyją, jak ich arystokratyczne siostry, pędzące dni życia w nieruchomości pogańskich bożyszcz, przekarmione słodyczami, niewychodzące prawie nigdy piechotą i nierozumiejące nawet rozrywki spaceru w ogrodzie. Damy, które dziś oglądam, niezmiernie są okazałe. Twarze mają szerokie, rozlane i obficie umalowane. Pod pokładami pudru, rózu i czernidla zanika ich wdzięk naturalny. Łącząca brwi szeroka linia *surmeb* czy kohołu, szpeci piękne, aksamitne oczy; takąż linia zacienia lekkim puchem górną wargę.

Wiele hanum ma dnia tego długie suknie w rodzaju obcisłych polonez o długich i bardzo wąskich rękawach. Ubranie to widzę po raz pierwszy i znajduję<sup>271</sup>, że nie jest pozbawione pewnej elegancji. Niektóre z sukien, naszywane perłami i drogimi kamieniami, wyglądają niesłuchanie bogato. Słynna Anisseh Dowleh, najwięcej lubiana i szanowana z żon Nasr-Eddina, poważna i rozumna kobieta, rządząca całym haremem, a po trosze i jego panem, niemłoda już i nieładna, przybrana jest w kostium bajecznie okazały. Powłóczysta suknia z fioletowego aksamitu, obramowana wspaniałym szlakiem z ogromnych pereł i brylantów od szyi do stóp i naokół sukni biegnącym, mieni się tysiącnymi ogniami. Na rękach, na głowie, na szyi dźwiga sznury pereł tak wielkich, że już nieefekownych, pospinanych brylantowymi guzami. Wszystkie kobiety mają włosy splecione w kilka i kilkanaście warkoczy; głowa przykryta lekką, na krzyż złożoną chustką gazową,

Kobieta, Ciało

Strój, Kobieta

<sup>269</sup>*danse du ventre* (fr.) — taniec brzucha. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>*gynecium* (gr.) — pomieszczenie dla kobiet; pokoje kobiece. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>*znajdować* (daw.) — oceniać; odnosić wrażenie. [przypis edytorski]

obwieszona jest mnóstwem kosztowności. Podziwiam ślicznie falujące i przepięknego połysku czarne długie loki jednej z żon ministrów; zbliżam się do niej, by się tym kruczym spłotom lepiej przypatrzeć i widzę, że są... z jedwabnej szeli.

Stoły salonu zastawione są tacami owoców, lodów, sorbetów i wszelkich możebnych szirini, silnie aromatowanych; w cukierkach znajdują się ziarenka kminku, anyżu i płatki najróżnorodniejszych kwiatów: róż, fiołków, jaśminów; mdle to raczej niż smaczne.

Hanum zajadają słodczyce, szczebioczą i radują się głośno, podniecone i szczęśliwe, dumne też z tego, że przed europejskimi kobietami, odzianymi tak ciemno, bez klejnotów i ozdób błyszczących, występują w całym przepychu drogocennych błyskotek i bogatych materii.

Słyszę nagły ruch w korytarzach, eunuchowie schylają głowy, król wchodzi.

Nasr-Eddin nie jest już tak imponujący, jak w dniu Salamu, kiedy zdaje się pławić w glorii blasku, zdaje się być chwilami istotnie tym „Cieniem Boga, rozdawcą tronów monarchom świata”, jakim go mianują pompatyczne określenia. Mundur ma na sobie nie tak wspaniały.

Widzimy króla z bliska — ostre zmarszczki rysują się wyraźnie na twarzy, choć przez bohaterskie podkręcanie wąsów sili się na nadanie jej wyrazu dzielnej młodości.

Widzę, że kolekcja złotych monet, którą zawdzięczam specjalnemu pojmowaniu uprzejmości przez Persów, powiększy się za chwilę. Byłam zresztą o tym uprzedzona: w święto Fatimy król ofiarowuje każdej z zaproszonych na nie niewiast sztukę złota wartości 20 franków.

Lecz o ile przestało mnie razić obdarowywanie tymi pieniżkami wśród kwiecistych frazesów męża, mnie i mej córeczki przez różne dom nasz nawiedzające eksceleńce, o tyle ta ceremonia szybkiego rzucania monety na złożone ręce kobiet przykro mnie dotknęła. Pragnęłabym teraz być stąd daleko...

Nasr-Eddin przechodzi prędko, dając każdej sztukę złota, nie zatrzymując się na chwilę przy żadnej. Do nieznanych jeszcze wystosowuje parę tych zdań lakonicznych, których sekret uniósł ze sobą do grobu.

Ponieważ po raz pierwszy widzą z bliska mnie i moją córkę oczy monarchy, nie unikam elokwentnych specjalnie zapytań:

— *Femme de l'oculiste!*<sup>272</sup>

— *Oui, Majesté.*<sup>273</sup>

— *Sa fille?*<sup>274</sup>

— *Oui, Majesté.*

— *Très bien, l'oculiste, très bien!...*<sup>275</sup>

Boże, jak on się boi długich frazesów! Złote monety upadają w nasze ręce, odziane wedle wymagań ceremoniału w czarne jedwabne rękawiczki. Oddycham; nie jestem stworzona do tych uproszczonych sposobów wymiany myśli.

Teraz kolej na żonę doktora, Francuza, bardzo lubianego przez Nasr-Eddina, lecz nie-domagającego często na reumatyzmy i spędzającego stale kilka miesięcy do roku w łóżku.

Słyszę prędkie:

— *Schneider malade? Toujours malade!*<sup>276</sup>

Złota moneta spada w złożone ręce, szach kroczy już dalej.

Gdy przegląd kobiecej armii skończony, gdy wszystkie już otrzymały dar monarszy, zaczyna się zwykła muzyka poprzedzająca popisy choreograficzne.

Śliczne dziewczątka o wyuzdanych i zmysłowych fizjonomiach, wyprężając wężowo ciała, wykonywują szereg drgań konwulsyjnych, na które Nasr-Eddin i perskie damy patrzą z głębokim zainteresowaniem. Trwają te dreszcze lubieżne i drgania przez dobre pół godziny, nareszcie widowisko się kończy, uroczystość również, król opuszcza pałac. Eunuchowie przystępują poufale do swych pań-niewolnic; jedni szepczą tajemniczo, drudzy przemawiają tonem rozkazującym.

Jedzenie

Dar, Święto, Król

Taniec

<sup>272</sup>*Femme de l'oculiste* (fr.) — żona okulisty. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>*Oui, Majesté* (fr.) — Tak, Wasza Wysokość. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*Sa fille?* (fr.) — Jej córka? [przypis edytorski]

<sup>275</sup>*Très bien, l'oculiste, très bien* (fr.) — Bardzo dobrze, okulista, bardzo dobrze. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*Schneider malade? Toujours malade!* (fr.) — Schneider chory? Zawsze chory! [przypis edytorski]

Niejednokrotnie zmuszona byłam, ulegając prośbom różnych dygniterek leczonych przez męża, a pałających dlań jakoby wielką wdzięcznością, składać w towarzystwie jego i córeczki wizyty tym damom.

*Hakim* widocznie za mężczyznę nie jest uważany: kobiety przychodzą do lekarzy europejskich na konsultacje i wzywają ich do siebie. Podczas wszystkich tych przyjęć niewdzięczny eunuch nie opuszcza na chwilę salonu; śmieje się przenikliwie i trzeszczącym głosem miesza się do rozmowy, monotonnej i męczącej. Między zdaniami leżą stępy całe milczenia, tak jak między umysłowością kobiety Wschodu i Zachodu leżą niezgłębione przepaście.

Katuszę tych wizyt lżejszą mi jedynie czyni moja córeczka, która w ciągu kilku miesięcy płynnie nauczyła się szczebiotać po persku i podtrzymuje konwersację z niewiastami, które mlaskają językiem z zachwytu nad tą przemiłą *hanum-kuczulu*<sup>277</sup>.

Nie zapomnę nigdy pierwszej naszej bytności u jednej z operowanych przez mego męża małżonek szacha, której imię wyszło mi całkowicie z pamięci.

Poprzedniego dnia przysłała mi ona szal perski jako słaby upominek w dodatku do tych, które ofiarowała była memu mężowi, prosząc go jednocześnie, by nazajutrz przyjechał koniecznie do niej ze swą *hanum* i *hanum-kuczulu*.

Czas był wietrzny i chłodny; ubrałam na tę wizytę dziecko w płaszczyk świeżo z Paryża przysłany.

Po sakramentalnych: „*Achfale szuma hub est.*”<sup>278</sup> zasiadamy na obowiązkowe godzinne nudy; przyjmują nas zwykłymi szirinami i zwykłymi sorbetami, zwykłymi naparstkami kawy i herbaty i zwykłą rozmową.

W salonie nagromadzona jest najliczniejsza i najbrzydsza kolekcja lamp, porcelanowych i kryształowych lichtarzy i świeczników, wazonów, żardinierek i filiżanek, jaką kiedykolwiek widziałam. Wygląda to na ordynarny bazar w małej mieścinie.

Po nieskończeniu długo trwającym zachwycaniu się nad moją *kuczulu*, podczas którego zmuszona byłam wypróżnić szklankę herbaty, czareczkę kawy i miseczkę sorbetu z *sekendżebin*<sup>279</sup> — na znak dany przez panią domu jedna ze służebnic podaje jej pudełko, w którym na tle atlasu spoczywają dwie wielkie brylantowe spinki do mankietów. Sądzę, że to jeszcze prezent dla mego męża. Nie, to dla *kuczulu*. Lecz zamiast ofiarować dziecku wprost ekran, *hanum* pragnie wypróbować efekt brylantów na płaszczyku. Każe sobie podać nożyczki. Nic nie rozumiem, lecz zaczynam być z lekka zaniepokojona. *Hanum* z całą prostotą i flegmą naiwnej duszy robi na rękawach płaszczyka kilkakrotne nacięcia, szukając najwłaściwszego miejsca, wreszcie wykrawa na wierzchu okrągłe kółka pokaznej wielkości i tryumfalnie zasadza w nie spinki. Odsuwa od siebie dziecko, by się lepiej dziełu swemu przypatrzeć, i kiwając głową z uśmiechem zadowolenia, powtarza raz po raz:

— *Heili kaszenk hemszin! Hejli kaszenk!*<sup>280</sup>

Wszyscy z zapalem potwierdzają.

Ja w cichości ducha uważam, że byłoby daleko więcej „*kaszenk*”, gdyby klejnoty pozostały w pudełku. Lecz hipokryzja dobrego wychowania nakazuje mi przywołać na twarz najuprzejmiejszy uśmiech i oświadczyć, że nie znam rzeczywiście nic więcej wykwintnego nad ten sposób noszenia spinek brylantowych. Tylko zrywam się pospiesznie, dając hasło do odwrotu w obawie, by na moim kostiumie efekt ich nie był również demonstrowany za pomocą nożyczek.

Parę słów należy się haremowi, czy też enderumowi monarszemu. *Nasr-Eddin*, jakkolwiek nie dorównywał w liczbie żon zadziwiającemu *Fet-Ali-Szachowi*, otoczony był okazałym rajem niewiast.

Żon legalnych, tak zwanych *agdes*, król ma zwykle tylko cztery; powinny one pochodzić z rodziny księżęcej, lecz różnie się zdarza; serca królów bywają zapolne i słabe jak

<sup>277</sup>*hanum-kuczulu* — mała pani. [przypis autorski]

<sup>278</sup>*Achfale szuma hub est?* — Czy twoje zdrowie jest dobre? [przypis autorski]

<sup>279</sup>*sekendżebin* — syrop z octu, doskonały w smaku i orzeźwiający. [przypis autorski]

<sup>280</sup>*Heili kaszenk hemszin! Hejli kaszenk!* — Bardzo tak ładnie! Bardzo ładnie! [przypis autorski]

serca zwykłych śmiertelników i zapominają nieraz o różnicach społecznych. Dowodem tego legalne małżonki Nasr-Eddina.

Pierwsza z czterech agdes, matka drapieżnego i wojowniczego Zille-Sultana, prostej była rodu. Dlatego też, jakkolwiek wielkorządca prowincji Ispahanu najstarszym jest z synów, nie ma wszakże prawa do tronu i za przypadek szlacheckiego urodzenia nienawidzi szczerze Muzaffer-Eddina, syna drugiej z rzędu agdes, księżniczki krwi królewskiej, wnuczki Fet-Alego.

Za życia ojca, który chłodne dlań żywił uczucia, Zille-Sultan nosił podobno szablę, na której zdobnymi literami wryty był napis: „Tą szablą zetnę głowę mego brata”.

Obecnie schował prawdopodobnie szablę gdzieś głęboko, przekonawszy się, że pewne głowy nie tak łatwo ścinać.

Trzecią agdes była Fatima, matka Naieb-Sul-taneh, nieksiążęcego również pochodzenia; wreszcie czwartą — o ile mnie pamięć nie zawodzi — szanowna *szach-zadeh*<sup>281</sup>, której zawdzięczam wesołe wspomnienia i brylantowe spinki, lub też „miłość królestwa”, Anisesh Dowleh.

Poza żonami posiadał Nasr-Eddin siedemdziesiąt tak zwanych *sighe*, legalnych kochanek. Każda z nich, gdy raz chociaż doznała względów monarszych, otrzymywała w enderumie do końca dni swoich apartament z trzech pokoi, dość pierwotnie umeblowanych, nieodzownego eunucha, odpowiednią ilość służebnych, wreszcie 3.000 franków miesięcznej pensji, co wobec taniości materialnego życia w Persji przedstawia dość znaczną sumę. Trudno zresztą utrzymać siedemdziesiąt kobiet na królewskiej stopie.

Cztery pierwsze żony, cztery agdes, otoczone są za to wielkim bardzo zbytkiem.

Po każdej ze swych licznych podróży przywoził niestrudzony koczownik do Teheranu parę młodziutkich dziewcząt, często zaledwie dziesięcioletnich, które *ofiarowywali mu sami* czuli rodzice, troskliwi o dobro dzieci, pragnący *ulokować* je wygodnie, jak dobrze procentujący kapitał, i wyrobić sobie stosunki przy dworze. Nasr-Eddin powierzał je pieczy nadwornej ochmistrzyni *amine-agdes* (dosłownie: zaufanie rządu), pod dozorem której dawano im staranną edukację, skierowaną wyłącznie ku przypodobaniu się mężczyźnie i osłodzeniu chwil władcy i panu. A więc uczono te dziewczątka tańców, śpiewu, muzyki na cymbałkach, tamburynach i mandolinach, parę z nich brząkało nawet na fortepianie. Gdy wykształcenie ich osiągało pożądaną normę, przedstawiano je ponownie monarsze który — stosownie do swej fantazji — darzył je swą łaską i czynił z nich *sighe* lub też odsyłał je rodzicom.

Jeden jeszcze charakterystyczny szczegół. Nasr-Eddin nie pożywał ojcowstwa. Gdy którakolwiek z małżonek, poza agdes, obdarzała go potomkiem, spadała na nią nielaska króla, który na zawsze oddalał ją od swego oblicza. Nie wiadomo dokładnie, jakie względy powodowały tę surową decyzję. Nasr-Eddin lękał się może ciężkich obowiązków ojca, wymagających nadania odpowiedniego posagu córkom, a majątków i godności synom; może też — a nawet z pewnością — nie miał mimo dozoru eunuchów najmniejszego zaufania do wierności małżeńskiej swych *sighe*.

Służba kobieca haremowa składała się z 800 mniej więcej niewiast, tworzących całą hierarchię niewolniczą, o czynnościach ściśle odgraniczonych. Jedne podają tylko kaliany i kawę, drugie usługują do stołu, trzecie pełnią funkcje panien służebnych, inne jeszcze — kształcone w śpiewie i tańcu — rozweselają rozpaczliwą nudę zamknięcia. Najniższy wreszcie zajmują kuchenne pomywaczki i posługaczki, kopciuszki tego cechu.

Nasr-Eddin, o naturze gorącej, żywej i czynnej, z równym zapałem zajmował się sprawami publicznymi, jak oddawał się rozrywkom. Dzień swój dzielił sprawiedliwie pomiędzy przyjemności oczu i serca i obowiązki króla. Z rana był monarchą, szczerze dbałym o dobro poddanych, pragnącym uczynić dla swego kraju o wiele więcej, niż mu pozwalały zewnętrzne i wewnętrzne stosunki. Ten sto dwunasty z rzędu następca wielkiego Cyrusa gorliwie pracował dla Iranu, walczył z obskurantyzmem mułłów i sprzedajnością ministrów, karciał — o ile mógł — nadużycia, był bezwarunkowo jednym z najlepszych monarchów, jakich miała Persja. W południe, obiadując w którejś z sal pałacu, wysłuchiwał sprawozdań wielkiego wezyra, szefa policji, ministrów, wydawał rozkazy. Zmarły przed kilkoma laty dr Tholozan, Francuz, człowiek niepospolitego umysłu i wybitnej in-

<sup>281</sup>*szach-zadeh* — księżniczka. [przypis autorski]

teligencji, odczytany i wykształcony, uśmiechnięty filozof, rówieśnik wiekiem monarchy, przy którym przebywał od lat trzydziestu pięciu, odczytywał Nasr-Eddinowi codziennie „Figaro”<sup>282</sup> i rozprawiał z nim o kwestiach ogólnych.

Po tym poważnie spędzonym poranku szach odpoczywał wieczorem w swym enderumie, którego budynki przylegają do jego pałaców. W głównej sali tego przybytku rozkoszy zbierały się wszystkie *sighe* i uprzyjemniały czas władcy śpiewami, muzyką i tańcami. Od kilkunastu lat największym wpływem na monarchę cieszyła się Anisseh Dowleh, w ostatnich zaś dniach jego życia w sercu jego panowała wszechwładnie prześliczna córka jednego z ogrodników gulistanu, podniesiona do godności *sighe*. Wszystkie piękności enderumu zostały całkowicie zaniedbane dla jej cudnych oczu.

Ostatnia jeszcze uwaga o kobietach i zmarłym monarsze. Na uczczenie 50-letniego jubileuszu jego panowania ofiarować mu chciano pomiędzy licznymi prezentami, jakimi zasypać go mieli wierni poddani, 25 dziewcząt w wieku od lat dziesięciu do dwunastu, jako najpiękniejszą wiązkę kwiatów ku upamiętnieniu tego dnia solennego. Nie sądźmy tych ludzi według naszej moralności, nie przykładajmy do nich naszej miary... Olbrzymia noc, jedna i niezgłębiona, ciąży nad ich życiem!

Oczy monarsze nie ujrzały niesionych w holdzie niewiniątek; na dwa tygodnie przed rozpoczęciem jubileuszowych uroczystości Nasr-Eddin zginął z ręki Mirza-Rezy.

Chorowity i ciężki Muzaffer-Eddin żon ma niewiele; myśli raczej o nadwątłym zdrowiu i o normalnym funkcjonowaniu wątroby niż o rozrywkach oczu i uciesze serca. Za mego pobytu w Teheranie siedem tylko kobiet stanowiło enderum nowego monarchy. Naieb-Sultaneh nie zna pożądań serca i żon ma tylko cztery. Obyczaj Zille-Sultana są mi najzupełniej nieznane.

Religia oficjalna uznaje poligamię, lecz liczne krzewiące się w niej sekty odrzucają taką bezwzględnie. Brak materialnych środków przeszkadza masie ludu do wielożeństwa. Już jedna żona jest w Persji sprzętem kosztownym; jak podolać żywieniu i odziewaniu kilku? Toteż jednożeństwo, wypływające z konieczności materialnej i uswięcone przez zwyczaj, coraz więcej znajduje adeptów, coraz wyraźniej tryumfuje na całej przestrzeni Persji. Można śmiało twierdzić, iż monogamia jest w niej ogólna, poligamia stanowi rzadki wyjątek, luksus książęcy. Jednakże w drodze do Teheranu, pomiędzy Khoj i Tebrysem, noclegowaliśmy u niezamożnego Persa staruszka, który posiadał żon trzydzieści.

Nadzwyczaj łatwo otrzymać jest rozwód; również łatwo pobrać się ponownie rozłączonym małżonkom, jeśli tylko w przerwie czasu, przez który byli sobie obcy, żona nie wyszła ponownie za mąż. Daremnie zastanawiam się, jakie pobudki wewnętrzne stworzyły to prawo i jaką gwarancję daje ono szczęściu ponownie pobranych małżonków?

Oto w pobieżnych rysach los naszych siostr w Persji. Nędzny jest i okropny wobec naszego pojmowania praw kobiety. Lecz te nieświadome niewolnice, pogrążone w otchłani ciemnoty, nie cierpią, bo nie wiedzą. Nie znając niczego, niczego nie pragną i niczego się nie domagają; w wielkim buncie uciśnionego ducha rwą się do światła i swobody.

### XIII

*Warunki życia Europejczyków w Teheranie. — Mieszkania i meble. — Pośpiech poczty. — Rozrywki kolonii europejskiej. — Życie materialne. — Służba perska. — Moi służący. — Abbas i Abdullah.*

Jakim jest życie Europejczyków w Persji w ogóle, w stolicy Szah-in-Szaha w szczególności? Jakkolwiek wszyscy Europejczycy skarżą się z zasady i przez specjalną jakąś pozę na brak wygod, drożyznę, wyzysk, niemożność znalezienia tu niezbędnych, a cóż dopiero zbytekownych rzeczy — nie znam takiego, który by kraj ten bez żalu opuszczał, który by, opuściwszy go, za nim nie tęsknił, tak dni spokojnie i słodko przechodzą na tej ziemi Wschodu: smutki mniej ciężą, a przyjemności więcej cię radują pod promiennym słońcem, które często zbyt przypieka, lecz zawsze rozwesela i wszelkie melancholie rozprasza.

<sup>282</sup> „Figaro” — popularny konserwatywny dziennik paryski, założony w 1854. [przypis edytorski]

Trudno tu o różne wygody życia, nie ulega to wątpliwości. Domy przede wszystkim przerażają nas, gdy je po raz pierwszy widzimy: posadzkę zastępuje ubita ziemia, drzwi się nie zamykają, okna latają w zawiasach jak gorączką trzęsione; ściany wymalowane jednostajnie na niebiesko, żółto lub zielono okropnie rażą oko, przywykłe do delikatnych półcieni obić.

Nie mówię już o tym, że w paru choć pokojach pułap bez belek zastępuje sufit. A płaci się za taki dom równie prawie drogo, jak za porządne mieszkanie w Europie.

Gdy trzeba go zapłacić, należy pożegnać się ze złudzeniem znalezienia jakichkolwiek mebli; wszak Pers przeciętny ich nie potrzebuje: siedzi na ziemi, jada na tacy przed nim ustawionej, sypia na materacach. Pers zaś bogaty sprowadza całe umeblowanie z Europy.

Po parotygodniowych poszukiwaniach i krzątaniach jest się nareszcie w posiadaniu kilku tapczanów i kilku stołów z białego drzewa, kilkunastu krzeseł i paru foteli składanych, wyrabianych przez Anglików w Ispahanie... I to wszystko, powoli dopiero, korzystając z licznych wyjazdów członków ciała dyplomatycznego, którzy jak wędrowne ptaki z jednego końca świata na drugi peregrynują, skupuje się różne przedmioty więcej luksusowe.

Lecz już z pierwotnymi meblami pierwszych tygodni łatwo urządzić przyjemny kącik, zadowolający wszelkie wymagania estetyki. Skarby bazaru tak bliskie i *dellale* tak współczują losom *frenge* i tak zawsze gotowi są pozbyć się najcenniejszych swych drobiazgów. Pokoje wyściela się dywanami, ściany obwiesza się jedwabiami zahaftowanymi w delikatne różnobarwne desenie, płótnami bucharskimi prześlicznego efektu z olbrzymimi rzutami czerwonych kwiatów, starymi *gulduzzi*<sup>283</sup> z Resztu o tłach przyćmionych wyblakłych gobelinów. Z białych, haftowanych złotem zawojów mułłów robi się piękne firanki, a z kalemkorów wesołe i oryginalne obicia całych pokojów. Na tapczanach pokrytych materacami drapują się w ciężkich fałdach kilimy, które wyrabiają tu artystycznie, rzuca się na to kilka poduszek z indyjskich jedwabów lub materii ispahańskich i ma się sofę, ładną jak tapicersko-stolarskie arcydzieła cywilizacji. O drobiazgi i ładne drobiazgi nietrudno; w parę godzin zaopatrzyć się w nie można w bazarze, a zapelnione nimi mieszkanie już żyje, już jest miłe.

My dość szybko zainstalowaliśmy się w jaskrawoszafirowych pokojach naszego domu dzięki dobroci i delikatności Moktre-Dowle, ministra oświaty, za którego inicjatywą głównie mąż mój do Teheranu został wezwany i który wskutek tego (dziwny wyjątek pomiędzy Persami) poczuwa się do jakichś wobec niego obowiązków. Pierwszego zaraz dnia przysłała nam, „by hanum mogła urządzić sobie znośny kącik”, kilka dywanów, parę stołów, nieco krzeseł, lampy i rozliczne drobiazgi, wreszcie luksus nad luksusami, doskonały fotel na biegunach, którego mi wszyscy zazdroszczą.

Zakupami do gruntowniejszego naszego umeblowania zajmuje się kilku jego służących; w tydzień niespełna mamy łóżka, umywalnię, biurko, lustra, jednym słowem najniezbędniejsze meble. Wiele na tych sprawunkach zarabiają pośrednicy? Nie chcę tej kwestii zgłębiać; każda praca wymaga płacy, i słusznie!

Pesy miści i malkontenci biadają, iż brak im w Teheranie prócz różnych wygód domowych koncertu, teatru, odczytu, najnowszej książki i ostatniego dziennika. Bezwarunkowo obywać się trzeba bez „nowalii” intelektualnych i bez tych rozkosznych ploteczek brukowych, które są tłem i treścią wszelkich *Premiers-Paris*<sup>284</sup> i wszelkich *Actualités*<sup>285</sup>.

Nieubłaganie powolna poczta perska, wioząca dwa razy tygodniowo naszą korespondencję przez Tebrys, Khoj i Erzerum do Trebizondy i dwa razy stamtąd przybywająca, nie zna wartości czasu i nie rozumie trawiącej gorączki nowych wrażeń i nowych emocji. Tłuką się więc pocztarze po drogach górskich jak Allah pozwoli; listy i dzienniki przychodzą z Europy w dni 28, 35, 40... pierwszej zimy otrzymałam parę listów z Warszawy, które podróżowały dni 50!

Nie należy jednakże przypuszczać, iż jest się całkowicie od wieści ze świata odciętym. Czerwone i niebieskie słupy indo-europejskiego telegrafu istnieją nie tylko ku każeniu wdzięku wschodniego krajobrazu. Telegraf ten zawiadamia nas codziennie za pośred-

<sup>283</sup>*gulduzzi* — sukna nazywane w deseni innymi suknam i różnokolorowymi jedwabiami. [przypis autorski]

<sup>284</sup>*Premiers Paris* (fr.) — artykuły nagłówekowe w paryskich gazetach. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>*Actualités* (fr.) — Aktualności. [przypis edytorski]



nictwem litografowanych<sup>286</sup> świstków *News-Paper*<sup>287</sup>, rozsyłanych przez legację angielską szachowi, ministrom perskim i przedstawicielom państw europejskich, o wszelkich katalizmach, uroczystościach i poważniejszych wypadkach, zaszłych na obu półkulach.

Rozrywek w kółku europejskim nie brak; nie bardzo są może urozmaicone, lecz za to dość liczne, by wypełnić godziny beczynności rozbawionej kolonii. Używać można pod dostatkiem tenisu i polo, spacerów konnych i spacerów powozowych, przypatrywać się co tydzień *paper chase*<sup>288</sup> i wszelakim harcom i popisom urządzanym przez Anglików za Bramą Kasbińską, grać w teatrach amatorskich, nudzić się na niezliczonych *jour fixach*<sup>289</sup>, chodzić z obiadu proszonego na obiad proszony, z pikniku na wieczorowe zebrania, rzadziej nieco na bal. Za moich czasów z sukniami tylko był kłopot nie lada; Teheran nie posiadał ani jednej szwaczki; z mozołem i kosztem należało sprowadzać toalety z Europy. A jeśli nie korzystało się przy tym z uprzejmości „walizy dyplomatycznej” lub nie mogło znaleźć żadnej okazji, trzeba było na te suknie, podróżujące zwykłą karawanową drogą, wypoczywające całymi miesiącami na wszelkich większych etapach, czekać nieskończone czasy. Pierwszego roku naszego pobytu krawcowa moja wysłała mi z Paryża w lutym suknie, które odebrałam w końcu października!

Obecnie niedogodność ta jest usunięta; nieba życia kobiet światowych nie plami już żadna chmura, bowiem od lat trzech zainstalowała się w Teheranie niejaka pani Hoffman, przedstawicielka firmy Wortha<sup>290</sup>, ni mniej, ni więcej! Wszelkie fantazje toaletowe łatwo więc zadowolić, byle tylko kieszenie mężów na nie starczyły.

Zapomniałam jeszcze o trzecim i najpoważniejszym powodzie biadań niektórych Europejczyków. Uważają oni, że Persowie w swym kraju żyją za bezcen, a ich życie bardzo drogo kosztuje, że trzeba pięciorga lub sześciorga służących na pracę, którą w Europie jeden wykona, że kucharze przyprowadzają ich o choroby żołądka, karmiąc baranim tłuszczem zamiast masła, że cała służba zresztą kradnie bez litości.

Ja zrobiłabym Persji pod tym względem jeden tylko zarzut: przekarmia nas baranim mięsem, które pod wszelkimi postaciami w południe i wieczorem spożywać trzeba. A więc ma się co dzień rosół barani i pieczeń baranią, kotlety baranie i jeszcze baranie krokietki i potrawki, kurczęta, zajęce, dzikie ptactwo (bekasy, kuropatwy, jarząbki, przepiórki). Ryby: łososie z Rosji i pstrągi z górskich potoków, urozmaicają wprawdzie stół, lecz podstawą wszystkiego jest baranina. Wołowiny rzadko latem dostać można, czasem też niesmacznej bardzo cieleciny; raz do roku wieprzowiny, którą restaurator, Szwajcar, sprzedaje w stosunku do ceny innych mięs na wagę złota.

Można więc żalić się na jednostajność kuchni, lecz utyskiwania nad służbą uważam za przesadne. Prawdą jest, iż tu służba przywłaszcza sobie nieco pańskiego dobra, pobierając obfity haracz na zakupnach. Prawdą też, że nad ceną wszelkich produktów miejscowych, wszelkich zapasów żywnościowych nabywanych w bazarze zawisła dla Europejczyka czarna zasłona niezgłębionej tajemnicy. Ale gdzie na świecie dzieje się inaczej? Zarówno pod biegunami, jak pod zwrotnikami, w przycywilizowanych stolicach, jak w najzapadlejszych zakątkach ziemi — wszędzie wyzyskują cudzoziemców. Dlaczego Persi jedni mają się różnić na tym punkcie od wszystkich narodów ziemi i świecić im cnotą?

W Persji przynajmniej, szczęśliwie dla cudzoziemców, wszystko jest tak tanie (prócz produktów zagranicznych), że pomimo systematycznego zdzierstwa praktykowanego na szeroką skalę przez całą hierarchię służebną: *nazirów*<sup>291</sup>, kucharzy, stangretów, lokai, ke-raulów, można żyć bardzo wygodnie, nawet zbytkownie, wydając mniej bez porównania niż w jakiegokolwiek stolicy europejskiej.

Pilnować sług i chodzić z nimi po zakupy do bazaru niepodobna; najoszczędniejszemu nawet z Europejczyków do głowy to nie przychodzi.

<sup>286</sup>litografia (z gr.) — technika graficzna polegająca na wykonaniu rysunku tłustą kredką, farbą lub tuszem na płycie kamiennej, pokryciu go farbą drukarską i odbiciu na papierze. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>news paper (ang.) — dosł.: papier z wiadomościami; newspaper: gazeta. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>paper chase (ang.) — podchody: gra terenowa, w której jedna osoba lub grupa ucieka, pozostawiając po drodze ślady i wskazówki, a podążająca za nią grupa ma za zadanie ją złapać. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>jour fix (fr.) — przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>Worth, Charles (1825–1895) — angielski projektant mody damskiej działający we Francji; tworzył luksusowe ubrania na zamówienie. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>nazir — naczelny służący, zarządzający domem. [przypis autorski]

Byłby po pierwsze znacznie więcej jeszcze obdarty przez przekupnia niż przez swego sługę; po drugie, kurs na bazar tak jest daleki, a drogi doń wiodące tak błotniste i brudne, że tylko dorożką lub powozem wybrać się tam można.

I czy warto oddawać się tej zawziętej kontroli w mieście, gdzie przy wszelkich wyzyskach zając kosztuje krana<sup>292</sup>, czyli 20 kop., funt mięsa 5, 6, 7 kopiejek, gdzie jarzyny i owoce ma się za grosze.

Uważam to szpiegowanie ludzi, którzy nic a nic mniej nas przez to obdzierać nie będą, a znajdą tylko inny sposób przywłaszczania sobie naszych pieniędzy, za niepotrzebne zupełnie komplikowanie życia.

Pewien kucharz teherański, zbyt namiętnie przez swą panią śledzony, nadziewał zręcznie przez lata całe mięso kamieniami, aby miało pożądaną wagę. Często nawet przy tym systemacie<sup>293</sup> przeważało, a naiwna dama radowała się z błogością wielką, iż jedna pomiędzy wszystkimi nie jest okradana!

Ja trzymam się zasady wydalania zbyt niesumiennych służących, a zamykania oczu na drobniejsze oszustwa. Wyrzucam na przykład kucharza, który w pierwszym swym, po trzech dniach pobytu u mnie robionym rachunku notuje mi mniej więcej 20 jajek, 6 funtów mięsa i funt masła dziennie, inne produkta w teźże proporcji, na dwie istoty bez apetytu: sześciolatnie dziecko i chorą kobietę, ze wstrętem patrzącą na jedzenie. Mąż mój w tej epoce wyjechał był na parę tygodni do Teheranu, a służba, uważająca nasze pokarmy za nieczyste, nie jest i nie chce być żywiona.

Przejście z tym kucharzem nadaje się do komedii. Według swego rachunku wydaje 15 kranów dziennie, 5 według mego. Oznajmiam mu więc w lakonicznej przemowie, która rywalizować może z elokwencją Nasr-Eddina, iż jest największym ze złodziei Iranu i szukać może innego miejsca, ja bowiem jutro już na oczy go widzieć nie chcę.

W pół godziny po tej przeprawie zjawia się stangret z misją od kucharza.

— Hanum nie będzie chyba tak zawzięta i zapalczywa, ażeby pójść za głosem pierwszego i niesprawiedliwego uniesienia i pozbawiać miejsca jego przyjaciela, Mohameta! Mohamet skłonny jest ze swej strony do wielkich ustępstw. Będzie robił obiady i śniadania dla hanum, hanum-kuczulu, age<sup>294</sup> i zawsze choć jednego nieprzewidzianego gościa, czyli na osób cztery, obiady zupełnie wykwiłtne: z dwoma daniami mięsnymi, jarzynami, sałatami, kremami, owocami za 8 kranów<sup>295</sup> dziennie.

A na złe żywienie nas dwóch wydawał sumę dwa razy większą.

Rozumie się, iż „ustępstwa” Mohameta utwierdzają mnie w niezłomnym postanowieniu pozbycia się jego złodziejskiej postaci. Lecz z następnym kucharzem urządzam się w sposób przez tego proponowany, a przez wielu Europejczyków praktykowany.

Najopłakańszy to system; porzucam prędko i system, i kucharza, gdyż jest się skazanym na jedzenie różnych obrzydliwości pod pozorem, że oznaczona suma tylko na te obrzydliwości wystarczyć może.

Nowy więc kucharz gotuje świetnie i kradnie niewiele, lecz upija się, jak umięją się upijać synowie narodu, któremu religia zakazuje używania wszelkich trunków. Co wieczór karauly wynoszą go nieprzytomnego z kuchni.

Wreszcie trafiam na feniksa<sup>296</sup>, który pobiera zupełnie umiarkowany podatek i ma książeczkę rachunkową, która mnie wprost zachwyca.

W tej książeczce narysowana czterema linijkami kura dziobie płaty chleba; za nią grudki ciałek podłużnych odtwarzać mają jajka, okrągłych — jabłka, drobnych czarnych punkcików — winogrona. Czepia ich się długa forma na czterech nóżkach w cztery strony świata biegnących: to zając; przy nim nieforemna bryła przedstawiać ma *batman* mięsa (sześć funtów). Dalej sypie się w pyłek ser owczy, a za nim wyciąga się cudownej naiwności ryba.

<sup>292</sup> *kran* — równa się połowie franka. [przypis autorski]

<sup>293</sup> *systemat* (przestarz.) — system. [przypis edytorski]

<sup>294</sup> *aga* — pan. [przypis autorski]

<sup>295</sup> *8 kranów* — 4 franki. Wino, cukier, herbata, kawa kupuje się oddzielnie i do rachunków kucharzy nie należy. [przypis autorski]

<sup>296</sup> *feniks* — legendarny ptak odradzający się co kilkaset lat z popiołów; wg Pliniusza na świecie miał istnieć tylko jeden Feniks; tu przen.: coś nadzwyczajnego i trudnego do znalezienia. [przypis edytorski]

Gdy przypadkiem pozwalam sobie wątpić o jakimś zakupie, Abdullah podaje mi swe hieroglify, godne uwiecznienia na jakim obelisku, bym własnoocznie potworność mych podejrzeń sprawdzić mogła. Tę nieocenioną książeczkę przywiozłam z sobą do Europy i zawsze z jednakową przypatruję jej się lubością.

Stanowisko kucharza ze wszech miar jest uprzywilejowane. Pensję pobiera najwyższą (30–35 franków miesięcznie), zjawia się najpóźniej, gdyż muszę dodać, iż służący w ogóle nie mieszkają w domu swych chlebodawców. Wszystko to ma żony, dzieci i własne chałupki, więc na noc do siebie wraca. Tylko biedne karauli obowiązane są sypiać przy domu i strzec bezpieczeństwa i całości jego mieszkańców, rozkładają więc barłogi swe w bramie lub w stajni.

Kucharz zjawia się między dziewiątą i jedenastą i odchodzi po śniadaniu około drugiej, aby znów powrócić między trzecią i czwartą godziną wieczorem. Tyranizuje karaulów, którymi wciąż się posługuje, posyłając ich po chleb, po lód, po węgiel, po rzeczy, na których nic lub bardzo mało się zarabia, każe im zmywać i pokrzykuje na nich ustawicznie.

Na innych służących władza jego już się nie rozciąga. Ci są panami mieszkania i utrzymują w nim możliwie największy nieład. Ślaniają się po domu, powłócząc z lekka po dywanach miotłką z suchych gałązek lub niedbale powiewając jak sztandarem ściereczką od kurzu, muskają nią meble i drobiazgi.

Nie zazałam chwili spokoju co do czystości naczyń domowych od dnia, w którym zobaczyłam perłę służących, melancholijnego Abbasa, czyszczącego wraz z karaulami samowar i rondle w gęstozielonej wodzie basenu, w której kilkadziesiąt osób dziennie zanurza brudne ręce, sądząc, że je w taki sposób myje.

Biedny mój Abbas! Ćwiczyła się na nim nieubłaganie werwa naszych przyjaciół i nasz własny dowcip; rozweselał mi nieraz chwile smutku i nudy. I dziś wystarcza mi przypomnieć sobie pochyloną boleśnie na bok głowę, z kropelką wiszącą stale na końcu pałkowatego nosa, usta gapiowato otwarte, całą tę ogłupioną postać zaspanego muła, ażeby się ubawić wesoło.

W parę dni po przybyciu do Teheranu najęłam tego niedołągę, świeżo przybyłego z Tebrysu, nieumiejącego słowa po persku ani po turecku, bełkoczącego tak, że na dziesięć wyrazów jeden zaledwie można było zrozumieć, i zachowałam go aż do dnia mego wyjazdu z Persji.

Z początku trzymałam go z litości, taki mi się zdawał bezradny, nieudolny do niczego i nędzny... jak psy i dzieci Wschodu. Później przyzwyczałam się doń jak do niewygodnego, lecz dawno posiadanego sprzętu.

Jednakże w krótkim bardzo czasie przekonałam się, że mój Abbas nie jest bynajmniej bezradny, ale że wcale przyzwoity procent pobiera na zakupach, których przywilej pozostawia mu kucharz, i sztukę obdzierania nas posiadał na równi z innymi doskonale. Lecz nigdy niczego w domu nie ruszy. Pieniądze mogą leżeć na wierzchu, a szafy stać otworem. Zwyczajna kradzież, ten uproszczony sposób przyswajania sobie cudzego dobra, nie jest ani w charakterze jego, ani służby perskiej i Persów w ogóle.

Oszukiwać? Tak, dopóki można, dopóki ofiara się nie spostrzeże. Kraść? Nie... Tego nie uznają. Domy perskie nie są wcale przeciw złodziejom i rzezimieszkom zabezpieczone, a jednakże kradzieże są niemal nieznanne.

Abbas, zzbogaciwszy<sup>297</sup> się, zaczyna nabierać namiętności do stroju. Widząc na służących wszystkich naszych znajomych wyszamerowane i wyzłocone mundury generalskie, kupuje sobie mundur pułkownika, a jednocześnie prześlizgnął kostium *frengi*, który nosi od wielkich uroczystości: czekoladowy króciutki żakiet, którego wcięcie przypada w środku pleców, i wąskie spodnie kręcące się grajczarkowato<sup>298</sup> na nogach. Na ten kostium nikt z nas nie jest w stanie patrzeć bez homerycznych<sup>299</sup> wybuchów śmiechu; Abbas przyjmuje te niewłaściwe przejawy wesołości ze spokojem i pogodą umysłu filozofa.

Abbas ma jedną oplakaną wadę. Wyobraził sobie widocznie, że jak członkowie sławnej korporacji karaulów, majątek swój powiększy szybciej, zajmując się lichwą, i za

<sup>297</sup> zzbogacić — dziś popr.: wzbogacić. [przypis edytorski]

<sup>298</sup> grajczarkowaty — świderkowaty, mający kształt ostrza korkociągu (grajczarka). [przypis edytorski]

<sup>299</sup> homeryczny śmiech — niepohamowany, głośny, szczery, serdeczny śmiech; Homer w *Iliadzie* wspomina o „nieugaszonym śmiechu” bogów. [przypis edytorski]

ofiary takowej nas chce wybrać. Nie mogę posłać go z mego pokoju do gabinetu męża po pieniądze, by mi w tej chwili nie proponował pożyczki.

Przechyla swoją osłupiałą głowę więcej jeszcze na bok i bełkocze, jak gdyby miał usta pełne wody:

— *Hanum, men pul darem. Lazem est.*<sup>300</sup>

Czasem rozwesela nas ta jego mania pożyczkowa, lecz chwilami doprowadza do wściekłości. I pewnego razu posyłam go ze wsi do męża do Teheranu, a on znów rozpoczyna:

— *Hanum, czenta pul lazem est? Men pul darem.*<sup>301</sup>

Wykrzykuję mu w irytacji:

— Głupi jesteś! Masz mi przywieźć od pana sto tomanów (500 franków).

Abbas odpowiada dumnie:

— Ja mam sto tomanów! Ja mam więcej!

Przyszedł bez grosza, jest u nas od piętnastu miesięcy, a pobiera 25 franków miesięcznie. Imponuje mi naiwnością i pogodą, żadnym wyrzutem sumienia niezakłóconą, z jaką przyznaje się do swych łupiestw!

Jednak i Abbas, i Jahu Armeńczyk, mistrz nad mistrzami w sztuce przywłaszczenia sobie cudzego dobra, i cała ta czereda próżniaków stanowiąca służbę perską przywiązują się szczerze do swych państwa, *frenji* czy Persów; trudno też zachować o nich złe wspomnienie.

Nie zapomnę nigdy, że kiedy parokrotnie byłam ciężko chora, biedny mój, niedołężny Abbas z własnej inicjatywy rozkłada na noc swe szmaty pod oknem (Abbas sypia w domu), ażeby na wszelki wypadek pośpieszyć mi z pomocą; że ten próżniak, który zwykle pół dnia drzemie i wszystko robi, usypiając, wślizguje się jak cichy cień do pokoju już o piątej z rana, przynosząc świeży lód (wiedział, że na niego czekałam z upragnieniem) i wrzący samowar.

Okolo godziny dziesiątej cała służba przychodzi codziennie dowiedzieć się o moje zdrowie.

Cztery postacie ustawiają się rzędem przy progu: Jahu, Abdullah, Abbas i stangret. Głowa Abbasa wisi na boku jak ścięta, czekam tylko, kiedy spadnie z niej *khola*, kropelka drży na nosie, dwie kropelki kręcą się w oczach. Abdullah, krasomówca tej grupy, oświadcza mi niezmiennie głosem pogrzebowym, iż Allah jest wielki, co zdaje mi się oznaczać w języku prostym, iż stoję u niepożądanego progu wieczności, i co oczywiście znakomicie działa na podbudzenie mej odwagi i uspokojenie nerwów. Po onym skonstatowaniu wielkości Wszechpotężnego polecają mnie jego opiece w powodzi „*Masz-allah, Iusz allah, Bes-mellah!*” i odchodzą, kiwając żałośnie głowami.

Rozumie się, iż ta codzienna wizyta nie świadczy jeszcze o sile ich uczuć ludzkich. Lecz nie trzeba nawet tym ludziom, z natury krzykliwym, zalecać zachowywania się spokojnego. W domu panuje grobowa cisza, chodzą wszyscy jak cienie. A co jest najważniejsze, na czas mej choroby zawieszają prawie całkowicie akcję okradania, uważając, iż nie wypada obdzierać bezbronnych. Aga domem się nie zajmuje, bo zbyt poza domem od świtu do zmroku jest zapracowany; hanum, choćby chciała przypilnować, nie może. Więc szlachetnie rezerwują wszelkie łupiestwa na później, na chwilę, gdy hanum będzie mogła się bronić.

Dlatego, jakkolwiek Jahu założył podobno za nasze pieniądze sklepik na ulicy klubu, pięknie prosperujący, jakkolwiek Abbas po roku pobytu u nas chciał mi pożyczyć 500 franków, jakkolwiek kucharz rysuje na swej książeczce różne hieroglify, których postaci konkretnej nie tknęły nigdy nasze usta — szczerze przyznaję, że dobre o nich wszystkich zachowałam i zachowam wspomnienie.

Nie postawiłabym ich kandydatury do nagrody za cnotę i nieposzlakowaną uczciwość, lecz doprawdy są to sympatyczni rabusie!

## XIV

<sup>300</sup> *Hanum, men pul darem. Lazem est?* — Hanum, ja mam pieniądze. Czy ci potrzebne? [przypis autorski]

<sup>301</sup> *Hanum, czenta pul lazem est? Men pul darem.* — Hanum, wiele potrzeba pieniędzy? Ja mam pieniądze. [przypis autorski]

Stosunki towarzyskie Europejczyków z Persami są rzadkie i ceremonialne. Wiążą nas z niektórymi z nich dalekie sympatie; zbliżenie się nie następuje. Stoimy na dwóch przeciwnych krańcach myśli i dążeń; ideały nasze są wręcz odmienne. My żyjemy w ciągłej gorączce. Na warsztacie mózgu mamy zawsze mnóstwo przeróżnych kwestii literackich, filozoficznych i społecznych, absorbujących nas na razie wyłącznie, walczymy wciąż z nowymi wiatrakami. Oni śpią spokojnie na ruinach starej cywilizacji, rządząc się filozofią wypoczynku i kontemplacji. Każdy Pers zdolny byłby przesiedzieć życie nad basenem swego ogrodu, wpatrzony w tajemnice wody, odurzając się narkotykiem kalianu.

Prawdopodobnie robimy na nich wrażenie półwariatów; oni imponują nam czasem niezmałym spokojem wobec wszelkich katastrof, kataklizmów wstrząsających ludzkością, częściej jednak mącą tę niczym niezakłóconą pogodę. Wzajemnie się nie rozumiemy i nie staramy zrozumieć.

Życie towarzyskie w zupełności tam nie istnieje. Jest to logicznym i naturalnym wynikiem rozdzielenia społeczeństwa na dwie grupy: mężczyzn i kobiet, żyjących, zbierających się i bawiących się oddzielnie. Kobiety perskie z wyższych sfer pragną widoku swych sióstr z Zachodu, choćby dlatego, by móc je z bliska obejrzeć i przypatrzeć się, jak trzeba nosić mody frengistańskie, które bardzo je pociągają. Lecz nie wolno im rewizytować Europejsek. Nawet biednej Bibi-hanum cywilizowany jej małżonek nie pozwoliłby przestąpić progę domów europejskich: nużby spotkała tam mężczyzn? Nawet córka ministra oświaty, z którego rodziną pozostajemy w ciągłych i bliskich stosunkach, która stale się u mego męża leczy i rozplywa się w zachwytach nad moją *kuczulu*, zaprasza mnie często, lecz nigdy do mnie nie przychodzi. Przeprasza mnie gorąco i tłumaczy, że nie może, obyczaj nie pozwala; wszyscy by się na nią obruszyli.

Pozostają stosunki z mężczyznami. Tym wolno zarówno przyjmować Europejczyków, jak i u Europejczyków bywać. Wielki wezyr wydaje parę razy do roku obiady, na które zaprasza jedynie i wyłącznie członków koła dyplomatycznego wraz z ich żonami. Obiady te w pewnej części personelu dyplomatyczno-konsularnego są powodem wielkich agitacji i większych jeszcze tragedii. Kwestia miejsca, jakie mogą zajmować przy stole panowie Y. i Z. i ich małżonki, szeroko jest omawiana przez całą kolonię. Protokół bowiem nie we wszystkich punktach jest jasny, w niektórych nawet uporczywie milczy lub też pozostawia pole dowolnym interpretacjom. A od miejsca, które przysądzone będzie u stołu wielkiego wezyra panu X. lub panu Y., zależy niemal w pojęciu interesowanych honor i kariera męża i egzystencja żony.

Na moje szczęście nie bywam na tych obiadach, na nieszczęście jednak jestem powiernicą dwóch dam, których mężowie, a więc i one rywalizują o jedno i toż samo miejsce przy stole. Kto w dwóch tych rodzinach nie chce mieć wrogów, nie powinien ich nigdy zapraszać razem. Lecz czasem niepodobna tego uniknąć. Ja sama zmuszona byłam kilkakrotnie przyjmować ich jednocześnie. Sadzam męża jednej z prawej strony koło siebie, żonę drugiego z prawej strony mego męża. Zdaje mi się to najlepszym rozstrzygnięciem kwestii. Nieprawda, obie pary nic nie jedzą i zatruwają humor całego zgromadzenia swymi grobowymi minami.

Po pierwszym obiedzie, który odbył się u Sadrah-azama (wielkiego wezyra) za czasów mojej w Teheranie bytności jedna z tych moich przyjaciółek zjawia się u mnie już o dziesiątej z rana, rozpromieniona, szczęśliwa, wesoła.

— Cudowny dziś poranek! Może byśmy przeszły się nieco. Chodźmy do ogrodu Sadrah-azama rwać fiołki, dobrze?

Widzę, że zwyciężyła wczoraj i chce lubować się jeszcze swym zwycięstwem.

— Pani S. prawdopodobnie dziś leży; nie będzie mogła przyjść zanudzać panią swymi żalami. Zielona była wczoraj z rozpacz, nie miała nawet siły wdziękzyć się do eksceleńcji, przy której ją posadzono, i opowiadać o wielkich aliansach swej rodziny. Myślałam, że się rozplacze, żal mi jej nawet było! Ale trudno, sprawiedliwość przede wszystkim! Nam się należało pierwszeństwo. I czy wie pani, że intrygowali oboje przed obiadem, kokietowali Szeik Mohammeta, by dowiedzieć się o porządku miejsc przy stole.

Szeik Mohammed to faworyt Sadrach-azama, młoda nadzieja kraju, przyszły minister, doktorek, który tak pięknie wystukuje na fortepianie jednym palcem.

Po śniadaniu jawia się moja druga przyjaciółka zgnębiona, przybladła, zmizerowana. Pytam jej się naiwnie, czy dobrze bawiła się u Sadrach-azama.

— Jak to, nic pani jeszcze nie wie? Posadzili ich przed nami. Gdybyśmy przypuszczali mogli, że spotka nas taki afront, nie poszlibyśmy na ten obiad. Nie chcę mówić źle o naszym ministrze, lecz jego obowiązkiem było stanowczo temu się sprzeciwić: wszak to od niego tylko zależało. Nie, to przechodzi granice wszystkiego. Nie pozwolimy sobie tak wobec innych legacji ubliżać. Mąż mój został tu przysłany ze specjalną misją. A ten dragoman jakiś, który karierę życiową skończy na konsulacie?

W głosie brzmi bezgraniczna, niewypowiedziana pogarda.

— Okropne jest, doprawdy, to dopuszczanie ciała konsularnego do oficjalnych dyplomatycznych przyjęć. Powinno się tych ludzi trzymać z daleka. Czyż oni są z naszego towarzystwa?

Łzy wytryskują jej strumieniem z oczu. W głębi duszy jakkolwiek zwykle biorę w życiu stronę pokrzywdzonych i współczuję wszelkim cierpieniom, szczerze mnie cieszy w tym wypadku zwycięstwo mej przyjaciółki numer pierwszy.

Choć zarazona ogólną próżnością kółka, jest sprytna, inteligentna, dowcipna, ma dość szerokie poglądy i naturę dużo szlachetniejszą od numeru drugiego, obdarzonego umysłem ciasnym i sercem oschłym. Sądzę, że łzy, które wylewa przez okrutnego Sadrach-azama, są może jednymi z pierwszych, jakie troski życiowe przywołały jej do oczu.

Ofiara losu i niezbadanych tajemnic protokołu idzie płakać dalej.

— Ale to tak się nie skończy! — dodaje rozgorączkowana, żegnając się z nami. — Mąż mój zanieś skargę do ministerium; ta kwestia musi być rozstrzygnięta, bo dłużej na takie obelgi narażeni być nie chcemy. Przyjdziecie do nas dziś na obiad, dobrze? Wy tylko i najbliżsi przyjaciele z naszej legacji. Odczytamy razem podanie męża do ministerium; wyślemy je pojutrze przez walisę. *Tant pis*<sup>302</sup>, jeśli się ministrowi nie podoba!

Ministerium, zainteresowane w kwestii tak niesłychanej wagi, daje po czterech miesiącach odpowiedź godną Pytii<sup>303</sup> greckiej. Nikt tych zawikłanych okresów<sup>304</sup> i konsyderacji<sup>305</sup> wszelkiego rodzaju zrozumieć nie może. Obiedwie strony tłumaczą je na swoją korzyść, obiedwie tryumfują i obnoszą po kolonii to arcydzieło oficjalnej mądrości, napawając błogością wszystkie złośliwe dusze, urozmaicając monotonię *jour fixów* i... wy czekując niecierpliwie przyszłego obiadu u Sadrach-azama.

— Bo rozumie się, my teraz będziemy pierwsi. Jasne to jest z odpowiedzi ministra.

— Nie wątpi chyba pani, że nas przed nimi posadzą. Inaczej odpowiedzi ministra zrozumieć nie można.

Oto obiady u wielkiego wezyra i ich skutki.

Tenże wielki wezyr i ministrowie bywają na oficjalnych obiadach i przyjęciach u Europejczyków. Udają, że słuchają z przejęciem koncertu, szczerze śmieją się z komedii *Labiche'a*<sup>306</sup>, w których przeważa element łatwej i dla wszystkich umysłów dostępnej farsy, lecz najlepiej bawią się przy zielonym stoliku. Persowie uprawiają namiętnie grę w karty; sprawiedliwość nakazuje mi niestety dodać, że również namiętnie i naiwnie przy grze oszukują. Gdy przypadkiem przegrają, nie śpieszą się z zapłatą, uważając, jak nieoceniony prefekt policji Aten, o którym opowiada About w swej *Grèce contemporaine*, że gdy nie można sobie oszczędzić przykrości przegrania, należy choć uniknąć bólu uiszczenia się z długu. Unikają go więc troskliwie. Nie mówię, rozumie się, o paru największych potęgach Iranu, o wielkich wezyrach ani pierwszych ministrach... lecz nie bardzo od nich oddalać się trzeba i niedaleko od nich szukać nieuiszczalnych partnerów wista lub pokera.

Te pierwsze ekscelencje Persji przyjmują u siebie z wykwintem europejskim, sami umieją jeść po europejsku. Nie przysięgłabym, że to bardzo lubią. Jestem nawet niezłom-

<sup>302</sup>*tant pis* (fr.) — nieważne. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>*Pytia* — kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>*okres* (tu daw.) — zdanie, fraza. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>*konsyderacje* (z łac.; przestarz.) — rozważania, roztrząsania. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>*Labiche, Eugène* (1815–1888) — komediopisarz francuski. [przypis edytorski]

nie przekonana, że szmerek chleba w trąbkę zwinięty uważają za znacznie dogodniejszy od wszelkich łyżek i innych komplikacji nakrycia.

Wszyscy ci dygnitarze prawie mówią dość poprawnie po francusku, czasem po niemiecku lub angielsku. Na parogodzinną pogawędkę przy stole nie są, *ma foi*<sup>307</sup>, więcej od wielu „ludzi Zachodu” nudni ani męczący. Trzeba ich tylko zbyt często tytułować. Są ekscelencjami, a próżność ich nie lubi, ażeby o tym zapominać, słodki wyraz mile głaszcząc ich po sercu.

Gdy mam u siebie jednocześnie przyjaciółkę numer drugi i jakiego perskiego dostojnika, mogę oszczędzić sobie trudu mozolnego wykrztuszania ekscelencji. Przyjaciółka mnie wyręcza; w każdym zdaniu zdąży kilka razy umieścić lube duszy Persa dźwięki:

— *Certainement, Excellence! Vous ne croiriez pas, Excellence! Comment donc, Excellence.*<sup>308</sup>

Ekscelencja promienieje błogością.

Najprzyjemniejsze wspomnienie z perskich stosunków zachowuję o rodzinie ministra oświaty, Mohbere Dowleh. Wszyscy jego synowie, jak już poprzednio mówiłam, są wychowancami europejskich uniwersytetów; czytają dużo, prenumerują mnóstwo francuskich oraz niemieckich dzienników i miesięczników. O wszystkim, co nas interesuje w dziedzinie literatury i sztuki, mogą mówić kompetentnie. Najstarszy z nich, Sanieh-el-Dowle, który dostąpił kosztownego zaszczytu otrzymania za żonę jednej z córek Muzafer-Eddina, jest prawdziwym uczonym, najwięcej może wszechstronnie i poważnie wykształconym człowiekiem w Persji.

Sąsiadujemy z nimi bardzo z bliska; wielki ogród otaczający zabudowania ich birunu i enderumu rozciąga się na wprost naszych okien, wzdłuż naszej ulicy. Chiarani-Dowleh, synowie i wnucy<sup>309</sup> ministra często do nas zachodzą na długie pogawędki. Uderza mnie drobny jeden, a charakterystyczny szczegół. Gdy tylko moja psina — potworny kulawy Hideux — zaczyna łaścić się do najczęściej nas odwiedzającego średniego syna Khan-Khanuma, ten człowiek łagodny i dobrze wychowany odpędza go ostro, bojąc się jak ognia dotknięcia zwierzęcia, a to przez przesąd religijny. Zauważyłam również, iż Khan Khanum, wyszedłszy z berlińskiego uniwersytetu i biegły w różnych naukach ścisłych, kroku bez swego różańca nie robi. Zawzięcie przesuwając jego paciorki, rozprawiając jednocześnie o rzeczach, niemających nic wspólnego z Mahometem i stoma imionami Allaha. Jeden przykład więcej zewnętrznej hipokryzji religijnej Persów.

Mohbere Dowleh kilka razy do roku przyjmuje u siebie mężczyzn z kolonii dyplomatycznej i profesorów kolegium. Kobiet jakoś nigdy nie zaprasza. Nie wiem, czy sympatii dla męża, którego staruszek bardzo lubi, czy też naszym dobrym z całym ich domem stosunkom zawdzięczam zrobienie dla mnie wyjątku i wydanie specjalnego na mą cześć obiadu, który zresztą w niczym nie różni się od wszystkich przyjęć Europejczyków i obiadów u dygnitarzy perskich, na których poprzednio asystowałam. Nakrycia eleganckie, kuchnia wykwiwna, wytworne wina; są też i sorbety, lecz nikt ich nie pije oprócz samego ministra, wyrozumiałego na wszelkie innowacje, lecz wiernie obserwującego dawne obyczaje.

Przypominam sobie pierwszy nasz obiad u konsula w Trebizondzie i za cały napój karafki napełnione słodkim płynem! Jeść baranie kotlety lub siekaninę z ostrym sosem i popijać to sorbetem! Na szczęście w Teheranie nawet Persi nie wymagają od Europejczyków takich poświęceń. Raczą nas tylko, jako próbkami perskich przysmaków, niezliczoną ilością przedobiadowych zakąsek: grochu, migdałów, orzechów, pistacji i wszelkich móżdżnych ziarneczek, suszonych w piecu i obsypanych solą.

Spożywałam już tego dużo i zasmakowałam w tym bardzo w drodze z Tebrysu do Teheranu. Persowie popijają to zwykle czystym *raki*<sup>310</sup>.

Nie przypominam sobie, czy mówiłam już, że wszyscy Persowie, biedni czy bogaci, namiętnie jedzą surowe ogórki, nie zadając sobie, rozumie się, trudu obierania takowych. Zajadają też surowe śliweczki, które otrząsają z drzew, gdy zupełnie jeszcze są zielone,

<sup>307</sup>*ma foi* (fr.) — szczerze mówiąc. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>*Certainement, Excellence! Vous ne croiriez pas, Excellence! Comment donc, Excellence* (fr.) — Oczywiście, Ekscelencjo! Nie uwierzyłby pan, Ekscelencjo! Rzecz jasna, Ekscelencjo. [przypis edytorski]

<sup>309</sup>*wnucy* — dziś popr.: wnukowie. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>*raki* — wódka ryżowa. [przypis autorski]

śliweczki gorzkie i kwaśne nad wyraz. Sprzedają je nawet w bazarze... Nie potrzebuję dodawać, iż parę szklanek *raki* kończy najczęściej śliwkową ucztę.

O ile stosunki z cywilizowanymi Persami mogą być nawet przyjemne, o tyle rozpaczliwa jest konieczność przyjmowania u siebie różnych na pół dzikich eksceleńcji.

W parę miesięcy po wstąpieniu na tron Muzaffer-Eddina mój mąż zmuszony był zaprosić dwóch takich świeżo przez nowego monarchę upieczonych dostojników. Nazwiska mieli ci dygnitarze nieskończone. Gdy mówię nazwiska, właściwiej byłoby powiedzieć tytuły, gdyż nazwiska są tu wynalazkiem nieznanym; istnieją tylko imiona i tytuły, a niektóre z tych ostatnich tak niepomiernej długości, że uczyć się ich trzeba mozolnie.

Kiedy zgromadzi się kilku panów, z których jeden nazywa się Hadži-Zejnal-Abeddin-Khan-Moil-ol-Atteba, drugi Mirza-Seid-Ahmed-Nasrul-Atebba, trzeci inaczej jeszcze, nadzwyczaj trudno cudzoziemcowi znaleźć w tym imię i wiedzieć, co jest tytułem.

Dwie grube, tłuszczem lśniące postacie, wyglądające na rzeźników, przybywają w otoczeniu pół tuzina sług na godzinę przynajmniej przed chwilą na obiad oznaczoną. Po francusku nie mówią wcale. Ja zaś po persku umiem się porozumiewać z kucharzem, który mówi: „*Hanum, emruz miburym*<sup>311</sup> *petits pois, rol-au rent, roti, crem*” (wszystkie nazwy pokarmów znają po francusku). Ja odpowiadam: „*Bechter est*<sup>312</sup> *poulet, timbale, asperges*” — i rozmowa skończona. Umieję też kazać służącemu iść za drzwi lub nazwać go złodziejem. Są to ostateczne kresy mej elokwencji, a taką rozmową bawić eksceleńcji nie mogę. A oni, jakkolwiek dzicy, czują, że powinni ze mną głównie konwersować. Zastępuję brak słów uśmiechami, lecz eksceleńcje nudzą się trochę, ja szalenie.

Eksceleńcje jeść nie umieją. Pocą się i cierpią katusze, skazani na używanie łyżki, noża i widelca. Z zupą jakoś jeszcze idzie. Lecz ryba, lecz mięsa! Dostojnicy mają odwagę swego niedołęstwa. Męczą się, by trudność przezwyciężyć, lecz przyznają się szczerze, iż nakrycia nieczęsto dotąd komplikowały naturalną swobodę ich ruchów. Nie potrzebują tego mówić!

Abbas, przy progu stojący, boleśnie i pogardliwie patrzy na ich niedołęstwo, rzucając mi spojrzenia iskrzące dumą i tryumfem. On inaczej od nich umiałby zachować się przy stole europejskim.

Pod koniec obiadu jeden z dygnitarzy dostaje czkawki, lecz zupełnie nie zażenowany tą drobną a naturalną dolegliwością, dobrotliwie i pobłażliwie uśmiecha się do mnie i do *kuczulu*, z którą zawiązał długą rozmowę.

Dygnitarze przysli o szóstej, odchodzą o drugiej w nocy. Upadamy ze zmęczenia. Wszyscy europejscy goście odchodzą, by zmusić ich do opuszczenia miejsca. Na próżno, daremnie! Eksceleńcje, rozsiadłe w fotelach, błogo przetrawiają przejedzenie.

Boże, uchroni mnie na przyszłość od dzikich eksceleńcji.

## XV

*Wieś Tedźryszu. — Droga powrotna. — Kasbin, Mazreb-Kabrzan, Pa-czinar-Mendźyl, Rustem-Abbad. — Kudum. — Las Gilanu. — Reszt.*

20 września. Jutro wyjeżdżamy. Czepiają mnie się pod tym skwarnym niebem wszystkie choroby, febry i gorączki; klimat, nielitościwie suchy, wycieńcza niesłychanie. Zdaje mi się codziennie, że żyć zaczynam dopiero wieczorem, gdy od gór chłód zawieje i cienie przymraczają słońce. Wprawdzie takich ofiar tego słońca jest zaledwie parę w naszej kolonii; wszyscy Europejczycy aklimatyzują się tu doskonale; dzieci wyglądają jak pączki różane, rosną i rozwijają się świetnie.

Lecz i ja, mimo iż ledwie na nogach się trzymam, z żalem opuszczam ziemię światła i przeczystych szafirów nieba, i wieś Tedźryszu<sup>313</sup>, zwykłą całej kolonii francuskiej let-

<sup>311</sup>*Hanum, emruz miburym* — Hanum, dziś zrobić. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>*Bechter est* — Lepiej jest. [przypis autorski]

<sup>313</sup>z *żalem opuszczam (...)* *wieś Tedźryszu* — Europejczycy zamieszkują latem trzy wsie Szymranu: Gulahek, pierwsza z nich i najbliższa miastu, należy do legacji angielskiej; druga, Zergendeh, do legacji rosyjskiej; trzecia, Tedźrysz, najdalej w górach położona i o 15 kilometrów od miasta odległa, zamieszkiwana jest przeważnie przez Francuzów. [przypis autorski]



nią rezydencję, wioszczynę o nędznych błotnistych chałupkach i wielkich zacienionych ogrodach, w których sączą się strumyki źródlanej wody.

Mój dom w Tędzyszu. Cztery brzydkie izby, całe we drzwiach szklanych. Lecz z bolakhaneh mam widok przepiękny. Ściana okien patrzy na ogród dziki, wielki, zapuszczony; drzewa owocowe i winogrod<sup>314</sup> kryją się pomiędzy platanami, topolami i jujubami; granaty rozkwitają gorące, krwawe kielichy. Trawa zarasta drogi i ścieżki, wytryskują z niej krzaki lilii czerwonych. Ogród to bez muru, bez żadnej od włóczęgów, rabusiów i złodziejów ochrony; nie należy ich się jednak obawiać ani strzec przed nimi w miastach i wsiach Persji.

Za ogrodem idzie drugi ogród, za drugim trzeci, cały szereg ogrodów; wszystkie biegną ku łańcuchowi Elbursu, ostatni u stóp gór się ściele. Dalekie wierzchołki iskrzą się brylantami śniegów, wiją się po nich strumienie węzowatą wstęgą roztopionego srebra; w słońcu mieni się turkusowa kopuła meczetu, zawieszona w kępie zieleni na stromym stoku góry; mała wioszczyna tuli się do świętego przybytku. Stada owiec znaczą się ciemną, ruchomą, falującą plamą; w kryształowo przezroczystym powietrzu każde drzewo, każda ścieżka, każdy załamek gór i cień każdy rysują się tak wyraźnie, jak gdyby te góry tuż przy nas, tuż za ogrodem były.

W ogrodzie, pomiędzy drzewami, wieśniacy dom ten nam odnajmujący rozłożyli namiot, a naokół niego całe swe gospodarstwo; wygląda to na obozowisko cygańskie. Na fajerce drzewnego węgla warzy się ryż w zadymionym kociołku, półnagie dzieciaki tarzają się w trawie, hanum, zapatrzona w przestrzeń, w niemym osłupieniu raz po raz zaciąga się kalianem. Co kilka dni któryś z małych nagusów przynosi mi jako *piszkiesz* kobiałkę uplecioną z łozy, pełną moich własnych śliwek, winogron lub gruszek. Kosztuje mnie to regularnie krana, bo nie można nie dać srebrnej monety, gdy w tak uprzejmy i pełen wdzięku sposób wieśniacy podnoszą i bez tego już bardzo wygórowaną cenę letnich mieszkań.

Jutro daleko będę od wsi Szimranu, od dróg górskich, na których co dzień odbywam konne przejażdżki, dróg szeleszczących topolami, wysrebrzonych jujubami, jasnych, świetlnych, wesołych.

Wszystkiego mi żal: płaczących modlitw muezzinów i tych dziwnych śpiewów innych zawodzących, które tu na wsi zwiastują południe, i derwiszów, przemawiających pięknie i poufale, zwanych Europejczyków, jak dawnych znajomych, „*hanum hakime czeszń*”<sup>315</sup>, „*wazir mukhtar inglisz*”<sup>316</sup>, każdego wedle jego tytułu i godności. Żal mi wsi i żal mi miasta; żal całego tego nienaruszonego jeszcze przez naszą cywilizację zakątka Wschodu.

21 września. Wyjeżdżamy z Tędzyszu o piątej z rana. Dzień dzisiejszy spędzimy w mieście, nocą wyruszamy ku Kasbinowi, Resztowi i Morzu Kaspijskiemu.

Ostatni wieczór w gronie najbliższych przyjaciół spędzamy u doktora Tolozana, ulubieńca i przyjaciela Nasr-Eddina, przy którym pół życia przebył. Dwukrotnie powracał był do Europy, dwukrotnie nostalgia za Persją i królem z powrotem go tu przygnała. Siedemdziesięcioletni starzec ma umysł tak żywy i otwarty, wykształcenie tak wszechstronne, że gawęda z nim jest jedną z najprzyjemniejszych rozrywek, jakie w Teheranie znaleźć można. Sceptyczny a wyrozumiały filozof patrzy na świat, życie i ludzi z wysokości siedemdziesięciu lat mądrego doświadczenia, z pewną pogardą i z wielką pogodą i pobłażliwością.<sup>317</sup>

...Znów niesie nas pocztowa karetka o przybrukanych szafirowych atlasach. Dawny pewnie pojazd monarszego enderumu, który obwoził po mieście i okolicach nudę jakiej pięknej hanum. Powóz z hałasem toczy się po kamienistej Chiarani Lalazar (ulica Tolozana lub ulica klubu), przejeżdżamy Majdani Tophaneh; słońca Iranu i wojacy z majoliki o groźnie nastroszonych wąsach patrzą na mnie po raz ostatni z murów arsenału. Przy Bramie Kasbińskiej, którą odryglowują ze zgrzytem i hałasem ciężkich zawias, zatrzymują nas na półgodzinne jakieś wyjaśnienia czerwono umundurowane karauły.

<sup>314</sup>winograd — tu: winna latorośl, krzewy winne. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>hanum hakime czeszń — żona okulisty. [przypis autorski]

<sup>316</sup>wazir mukhtar inglisz — ministrze angielski. [przypis autorski]

<sup>317</sup>Siedemdziesięcioletni starzec ma umysł tak żywy i otwarty... — Doktor Tolozan zmarł przed dwoma laty. [przypis autorski]

Już wyjechaliśmy z miasta. Na prawo rysuje się łańcuch Elbursu, biegnący ku Kasbinowi; góry stoją ciche i tajemnicze, ubrane przez zalewające krajobraz promienie księżycy w fantastyczne cienie i blaski. Mijamy szybko *czapar-khaneh*, dziesięć minut, kwadrans najwyżej w nich się zatrzymując.

22 września pod wieczór jesteśmy w dawnej stolicy szacha Tamaspaspa, w Kasbinie, z którego przed dwoma niespełna laty dążyliśmy w noc wigilijną do Teheranu. Tu nas czekają służący, wysłani przed dwoma dniami z końmi wierzchowymi, dalszą bowiem drogę odbywać trzeba konno. Juczne bydłeta z bagażami wyruszyły z Teheranu jeszcze wcześniej i robić muszą poważne etapy, by na dwudziestego siódmego stanąć w Reszcie, skąd przeprawimy się do Fuzeli, portu Morza Kaspijskiego, a dalej podążymy statkiem do Baku lub Petrowska.

Dojeżdżam do Kasbinu w stanie tak oplakany, że marzyć nawet nie można o wyruszeniu dalej na noc. Zdaje się też niepodobne, bym mogła się utrzymać na koniu. Więc wyprawiamy konie do następnej stacji pocztowej, wioski Aga-Baba, do której droga o tyle jest jeszcze znośna, że niektórzy podróżnicy odważają się odbywać ją w karecie lub faetonie<sup>318</sup>. Pójdziemy za ich śladem.

23 września. Wyruszamy wczesnym rankiem. Droga na pozór niezła; biegnie przez monotonną, smutną, nagą, z lekką falującą płaszczyzną, która wiosną przedstawia prawdopodobnie wesoły i miły zakątek starannie uprawnej ziemi, gdyż mnóstwo kanałów przerywa pola. Lecz teraz zbiory już zrobione; widać tylko, jak daleko sięgnąć okiem, przepalone przez słońce ścierniska i ugory.

Jedziemy już tak może dwie, może trzy godziny, gdy nagły trzask i hałas oznajmiają jakąś katastrofę. Złamała się oś powozu. Jesteśmy w czystym polu równie daleko od Kasbinu, jak od Aga-Baby, nikogo na drodze nie widać. Dobra godzina mija, jedzie wreszcie jakiś dellal w stronę Kasbinu. Zachęcony hojnym pizkieszem, zawraca do Aga-Baby, by sprowadzić naszych służących i konie. Dellal ma dobrego osielka i pędzi szybko; po trzygodzinnym bezradnym wyczekiwaniu pod słońcem, które z wolna nas roztopia, widzimy wreszcie nasze konie.

Wczoraj straciliśmy pół dnia, dzisiaj kilka godzin; trzeba będzie robić podwójne etapy; statek nie czeka. Nie zatrzymujemy się więc w Aga-Baba, gdzie mieliśmy wypocząć w południe. Dziwnie wygląda ta wioska, ogrodzona murem błotnym, a której domy tak są do siebie zbliżone, że z *balakhaneh* z jednego na drugi przechodzić można i spacerować po dachach jak po równej drodze.

Minąwszy tę osadę, zaczynamy piąć się w górę. Następna stacja pocztowa, Mazreh<sup>319</sup>, jest już prawie u stóp Elbursu. Zbiór to nędznych i brudnych lepianek. W *czapar-khaneh* (dom pocztowy) dymno, duszno i przeraźliwie smrodno; oddychać niepodobna. Wychoďte przed dom i znajduję przyczynę zatrutego powietrza: o kilka kroków ode drzwi przy bocznej ścianie gnije koń zdechły, nad którym krążą czarne chmury much i mustyków<sup>320</sup>; poszarpane to już przy tym przez różnych drapieżników żądnych padliny. Musimy się tu, niestety, zatrzymać chwilę, aby dać wypocząć koniom, bo następna stacja daleko, lecz rozkładamy manatki na trawie o paręset metrów od *czaparu*.

\*

Teraz już wyjeżdżamy w góry Elbursu i pniemy się po stromych ścieżkach, równie okropnych, równie niebezpiecznych, równie zarzuconych kamieniami i pełnych wybojów, jak drogi gór Małej Azji. A jest to przecież niby trakt pocztowy, tędy przybywają do Persji wszyscy Europejczycy. Od roku pracuje tu gorliwie nad reperacjami i ulepszeniami jakieś towarzystwo belgijskie czy niemieckie; zdaje mi się jednak, iż ich ulepszeń nie odkryłby najdokładniejszy mikroskop.

Dotarliśmy do najwyższego punktu tej części Elbursu, zwanego wąwozem Kharzanu, stajemy na chwilę, by okiem ogarnąć krajobraz. Ostatni to szczyt, z którego dojrzeć możemy płaskowzgórze Iranu. Tam daleko Kasbin, opuszczony dziś z rana, znaczy się ciemną plamą; na zachód od niego potężny wierzchołek Tronu Salomona (4800 metrów) iskrzy

<sup>318</sup>*faeton* — lekki powóz używany do spacerów. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>*Mazreh* — dziś popr.: Mazra'eh, ok. 40 km na wsch. od Kazwinu. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>*mustyk* (zool.) — drobny owad, którego samice żywią się krwią ssaków; meszka. [przypis edytorski]

się w bieli śniegów srebrzystych, na wschodzie Sawalan<sup>321</sup> (4400 metrów), jeden z legendowych przytułków arki, na południu łańcuch gór Karaganu<sup>322</sup> zamyka horyzont siną linią falujących wzgórz.

Ledwie minęliśmy wąwóz Kharzanu, wchodzimy w jakąś szczelinę, w której chwytamy nas z wściekłą siłą wiatr tak zimny i tak przejmujący, iż mrozi poprzez pośpiesznie nałożone okrycia. Kapelusz mego małego, które jedzie konno ze służącym, siedzącym z tyłu, leci w przepaść, szczęściem, iż w podręcznych walizkach są inne. Wicher dmie i wyje z szalonym impetem, oddech tłumi i mowę tamuje. Nie darmo nazywają tę szczelinę „wąwozem siedmiu wiatrów”. Jest jeden tylko, lecz za kilka wystarczy!

Nagle nowy załam drogi i wiatru już ani śladu, cisza powietrza niczym niezmacona; od skał nagrzanych przez słońce dyszy żar ciężki, choć noc już zapada.

Kharzan, nowa stacja, gdzie powinniśmy zanoć, lecz gdzie zmieniamy tylko konie pod bagaże. Jest to mała górka osada, równie biedna i brudna jak Mazreh. Ma tylko olbrzymi karawanseraj, niezbyt jeszcze zniszczony. Nie potrzebuję dodawać, iż słudzy i czerwadarzy mówią mi, wskazując nań z pobożnym przejęciem:

— To zbudował Szah-Abbas!

Jest coś wzruszającego w kulcie tego narodu dla wielkiego króla, którego imię opromienia im chwałą wieki minione i przypomina, że mieli historię i przeszłość, wielkich wojowników i wielkich monarchów. Dlatego też, jakkolwiek Persowie często bywają dzicy, zawsze próżni i zawsze kłamliwi, wszyscy jednakże okazują w pewnych chwilach i w pewnych okolicznościach godność i szlachetność obejścia, która nieświadomemu nawet ich dziejów pokazuje dowodnie, iż muszą mieć za sobą tradycję, historię i wieki niezależnego istnienia politycznego.

Choć noc już zapadła, nie zatrzymujemy się w karawanseraju Szacha-Abbasa, z którego wychodzi, dążąc do Teheranu, nieskończona karawana mułów i osłów. Dzień to chyba najstraszniejszego dla mnie zmęczenia; cudem nadludzkich wysiłków i potężnych doz eteru<sup>323</sup> trzymam się na koniu. Najgorszą część drogi przebywamy teraz nocą; na szczęście towarzyszy nam pełnia księżycowa. Jasno jest jak we dnie; srebrne blaski kładą się na górach, które muszą się mienić w słońcu wszystkimi kolorami tęczy, takie bogactwa mineralne kryją, w takie nieprawdopodobne, a prawdziwe jednak przybierają się barwy. Jedne niebieskie, drugie purpurowe, dalej żółte i białe, nie widzę już tych, które leżą na dalszym planie. Góry piękne, w których chciałoby się szukać pałaców z bajki czarodziejskiego Sezamu, otwierającego skarby swych wnętrzy<sup>324</sup> oślepieniem wspaniałością ich przybytków oczom.

Lecz jaka oplakana droga! W dół się teraz spuszcza po ścieżkach prawie prostopadłych, po których pną się może z łatwością kozły skalne i giemzy<sup>325</sup>, lecz na których ludziom i koniom utrzymać równowagę niełatwo. Raz po raz spod stopy zwierzęcia kamień stacza się w przepaść. Czerwadarzy zmuszają nas do zejścia z koni w ponurym wąwozie, po którym przed wiekami chodził chyba gniew boży, nad którym szalały kataklizmy, wyrwijając z posad skały, łamiąc je i druzgocząc.

Idziemy parę godzin po tych obłamach kamieni, upadam kilka razy, daleko lepiej byłoby mi na koniu. Wreszcie widzę dachy wioszczyny, to Pa-czinar, stacja, w której wypoczniemy. Oddalony od wioski wznosi się samotny na wzgórzu *czapar-kbaneh*, najbrudniejszy i najsmutniejszy z tych, które dają nam przytułek i nocleg podczas tej drogi. W odrapanej i zadymionej izbie *balakbaneh*, do której wchodzimy po drabiniastych schodkach, stoją dwa tapczany z białego, a raczej z czarnego już drzewa i stół kulawy. Pomimo nieopisanego zmęczenia nie spoczęłabym na tych tapczanach. Szczęściem mamy

<sup>321</sup>na zachód od niego [Kaswinu] potężny wierzchołek Tronu Salomona (4800 metrów) iskrzy się w bieli śniegów srebrzystych, na wschodzie Sawalan (4400 metrów), jeden z legendowych przytułków arki — autorka pomyliła kierunki: masyw zwany Tronem Salomona, Tacht-e Solejman, w którym znajduje się od drugiego do wysokości szczyt w Iranie (Alam Kuh, 4850 m), znajduje się ok. 90 km na wschód od miasta Kazwin, natomiast Sabalan (4811 m), nieaktywny wulkan w paśmie Małego Kaukazu, ok. 500 km na północny zachód od Kazwinu. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>Karagan, właśc. Do Khabaran — masyw górski w paśmie gór Elburs w Iranie. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>eter (pot.) — eter dietylowy, szybko się ulatniająca ciecz o odurzającym zapachu; stosowany w XIX w. jako środek znieczulający. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>wnętrzy — dziś popr. forma D. lm: wnętrz. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>giemza (zool.) — kozica, ssak parzystokopytny zamieszkujący wysokie góry. [przypis edytorski]

Wiatr

Historia, Duma

Noc, Góry, Księżyc

Góry, Niebezpieczeństwo

teraz z sobą polowe łożka. Mustyki kásają zawzięcie; powietrze tak ciężkie i duszne, że mimo okien otwartych, a właściwie nieistniejących, oka zmrużyć nie można; męczymy się tak do samego ranka.

24 września. Wyjeżdżamy wcześniej z tego ponurego Pa-czinaru, ażeby skorzystać z chłodnych godzin poranku i dociągnąć przed wieczorem do następnej stacji, gdzie chcielibyśmy wypocząć wreszcie nieco; przejeżdżamy okropny most, na którym zręczność naszych koni wystawiona jest na ciężką próbę. Jedziemy wzdłuż doliny Szah-rudu (rzeki królewskiej), dopływu Sefid-rudu (rzeki białej). Łoże rzeki wyschło prawie, otaczają je krwawą czerwienią fale pagórków i świeża zieleń trzciny i sitowia.

Bez jednej chwili wypoczynku, bez żadnego posiłku spędzamy dziesięć godzin na koniu, galopując często, gdy droga nieco równiejsza; stajemy wreszcie o czwartej popołudniu w Mendżylu<sup>326</sup>, wiosce, do której dążyliśmy. Nieprzytomna prawie padam na łożko i usypiam snem tak ciężkim, że nie słyszę burzy, piorunów i grzmotów, które rozszalały się nad górami i wstrząsają ścianami nędznego *czapar*.

25 września. O piątej z rana jesteśmy już znów w drodze; przebywamy mozolnie rzucony na Sefid-rud słynny na całą Persję most Mendżylu, zwany mostem „dwóch wiatrów”, wyje na nim od początku do końca roku szalona wichura; latem idą te huragany wietrzne od Morza Kaspijskiego, zimą od przeciwnej strony. Zdejmujemy kapelusze: jest to ostrożność niezbędna, wicher dmie z taką mocą, iż nie dziwię się licznym dość wypadkom, których smutny ten most bywa teatrem.

Krajobraz okolic Mendżylu przedstawia ponury widok zniszczenia i żaloby, góry dzwacznie poszarpane, strome skały, jałowe urwiska. Sefid-rud płynie wąskim korytem w szczelinie górskiej, nad którą czepia się droga.

Lecz nieco dalej pejzaż się ożywia; błada, przyćmiona zieleń gajów oliwnych, otaczających szerokim kręgiem wioskę Rudbar, jedyną w Persji miejscowość, naokoło której zajmują się kulturą oliwek, niewiele daje cienia, lecz choć wzrok rozwesela. Przebywamy tę wioskę pod sklepieniem z mat, pokrywającym główną jej ulicę, zamienioną w bazar.

Za Rudbarem droga znów oplakana, lecz towarzyszy nam już stale zieloność, góry porastają lasem, w dolinie wije się Sefid-rud, a raczej świeci kamieniami wyschłe prawie jego łożysko.

Czwarta stacja pocztowa, w której zatrzymujemy się na noc, Rustem-Abbad, stojące na straży lasów Gilanu. Z tych lasów, przesiąkniętych wilgocią, błotnistych, sączących strumienie poprzez gęszcze lian splecionych, podnoszą się niezdrowe wyziewy, robiące z tej prowincji, roztaczającej podzwrotnikowy przepych roślinności, najniezdrowszy zakątek kraju. „Jeśli chcesz umrzeć — mówi przysłowie perskie — jedź do Gilanu”. Szerzy się tu febra błotna, której ataki wybuchają ze straszną siłą i nierzadko przyprawiają o śmierć, zwłaszcza Europejczyków, mniejszą siłą fizycznej odporności niż Gilani obdarzonych.

Od dwóch lat nie widziałam lasu; mówiłam już, że środkowa Persja bardzo biednie jest zadrzewiona. I ten potężny wykwit roślinności, który wzrok mój w tym dziewiczym lesie pieści, wprawia mnie w zachwyty. W cieplarnianej, ciężkiej i duszącej atmosferze wyrastają niebotycznie wszystkie drzewa ogrodów i drzewa lasów: figi i granaty, morwy i brzoskwinie, pomarańcze i cytryny rosną tu, jak wiatr je posiał; olbrzymie mimozy i akacje nisko opuszczają gałęzie delikatnych i drżących listków, naokół pni wiją się czerwone pędy winogrodu.

Miejscami, gdy grunt mniej wilgotny, roślinność przerzedza się nieco, zmienia charakter; widzimy dęby, cyprysy, topole, tamaryksy i terebinty<sup>327</sup>, stojące jak wielkie bukiety ciemnej zieleni. Gdzieniegdzie przeświecają dachy osad, ścielą się pola ryżowe i plan-tacje jedwabników.

Dwa dni podróżujemy przez ten las dziewiczy. Pomiędzy Rustem-Abbadem i Resztem, kresem naszej konnej drogi, jedna jeszcze stacja chroni się w lesie Gilanu; jest nią wioska Kudaszu, której *czapar-khaneh* najprzyzwoitszym jest może z przytułków całego tego traktu pocztowego.

27 września stajemy w Reszcie, stolicy Gilanu. Położenie geograficzne tego miasta, bliskiego zatoki Enzeli, przez którą Persja eksportuje swe produkty do Rosji, robi zeń

<sup>326</sup>Mendżyl — dziś popr.: Mandżil, miasto w płn. Iranie, u podnóża gór Elburs, nad rzeką Safid Rud, tuż przy zaporze wodnej, zbudowanej w 1962. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>terebrint — pistacja terpentynowa, gatunek drzewa z rejonu Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

ważny punkt handlowy, którego doniosłość wzrosnie jeszcze, gdy linie kolei przerzną Iran we wszystkich kierunkach.

Ma się już pod wieczór, gdy tu docieramy; przejeżdżamy bazar, niemający innego pokrycia jak maty rozciągnięte nad korytarzami wąskich i pogmatwanych uliczek. Kucharze bazarowi rozdmuchują ogień pod potężnymi kotłami ryżu; naokoło stoją miseczki kwaśnego mleka i półmiski *torszi*<sup>328</sup>, piramidy czerwonych jajek i stosy rodzenków nadzianych kebabami.

Z Resztu trzeba jechać powozem do wioszczyzny Peri-Bazar<sup>329</sup>, położonej u brzegów rzeczki tegoż imienia, a przez rzeczkę i jezioro stojącej wody zwane Murd-ab (martwa woda) dociera się do zatoki Enzeli.

Nie znam nic oryginalniejszego nad przeprawę przez wody Peri-bazaru. Jesteśmy w okazałych rozmiarów barce, w której prócz nas i naszych bagaży mieści się jeszcze ze dwudziestu wszelkiego rodzaju obdartusów, przewożących towary do Enzeli, wykrzykujących przeraźliwie i nieustannie. Barkę ciągną na sznurach ludzie idący brzegiem; mnóstwo takich barek w tenże sposób prowadzonych krąży po rzeczce, wymijając się przy ogłuszających krzykach przewoźników. Rzekę ze stron obu otaczają liściaste lasy, piękne jak lasy gór Gilanu: dojrzewają w nich pomarańcze i granaty, zielenią wiąz, platany, mimozy, topole.

Gdy z rzeki w jezioro wpływamy, przewoźnicy odrzucają sznury i zaczynają wiosłować. Jest ich sześciu; płynie szybko bez najmniejszego wstrząśnienia po gładkiej i niezmaczonej fali wód Murd-abu.

Znów gwar, zgiełk, zamieszanie i krzyki nieludzkie; jesteśmy już w zatoce, już wylądowujemy. Szarpia nas tuziny nowych obdartusów, wydzierając sobie nasze bagaże i pędząc z nimi do zajazdu.

Przez otwarte okna izby widzę kołyszący się na morzu spokojnym, sinym i wysrebrzonym w słońcu, okręt kompanii „Cansare et Mercure”, który za kilka godzin daleko nas stąd ku Europie powiezie.

Pod oknem staje derwisz wędrowny z nastroszoną głową, pałką jak maczuga w ręku i siekierką o dziwacznych rysunkach zawieszoną na ramieniu, uśmiecha się do mnie życzliwie, wyciągając rękę.

Żal za tym rozśłonecznionym, a pełnym tak oryginalnego, tak odrębnego wdzięku Iranem, który zachował całą wewnętrzną poezję wieków ubiegłych, w którym oko napawa się czarodziejskimi obrazami życia i natury, niezatarte zostawiającymi wspomnienie, żal ostry i głęboki ściska mi serce w chwili, gdy rzucam srebrną monetę w wyciągniętą rękę derwisza, polecającego mnie łasce Allaha.

Przedemną okręt, choroba morska, Baku, naftą przesiąknięte, skwarne Tyflis, w kotlinie górskiej uwięzły, potem Kaukaz i kolej przez długie trzy doby... wreszcie nasze widoki, nasza wieś ojczysta, kraj rodzinny, Warszawa i rodzina, której od lat sześciu nie widziałam. Trzeba mi o nich pomyśleć, by smutek z duszy otrząsnąć.

Rzeka

<sup>328</sup>*torszi* — marynaty. [przypis autorski]

<sup>329</sup>*Peri-Bazar* — dziś popr.: Pırbazar, ok. 10 km na płn. od Rasztu. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ratuld-rakowska-podroz-polki-dopersji/>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Ratuld-Rakowska, *Podróż Polki do Persyi*, cz 1 i 2, A. T. Jeziński, Warszawa, 1904

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Górka, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6218-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.